

Tom Clancy

WALKIRIA



WALKIRIA

Przy współpracy Steve'a Pieczonika

Tom Clancy
Zwiadowcy IV - Walkiria

**Przy współpracy Steve'a Pieczenika
Cykl: Net Force. Zwiadowcy tom 4
Tłumaczyła Anna Zdziemborska**

Podziękowania

Pragniemy podziękować następującym osobom, bez których ta książka by nie powstała. Są to: Dianę Duane, która dopracowała maszynopis; Martin H. Greenberg, Larry Segriff, Denise Little

i John Helfers z Tekno Books; Mitchell Rubenstein i Laurie Silvers z BIG Entertainment; Tom Colgan z Penguin Putnam Inc.; Robert Youdelman, Esq.; oraz Robert Gottlieb z William Morris Agency, agent i przyjaciel. Szczerze dziękujemy za pomoc.

* * *

Była piąta trzydzieści nad ranem i nawierzchnia pasa startowego bazy Sił Powietrznych Muroc nadal tonęła w mroku. Niebo, powoli przechodzące z czerni w indygo, wciąż usiane było gwiazdami, mrugającymi w ten charakterystyczny sposób, który zdradza bardzo niską temperaturę w stratosferze. Pokryte pustynnym szronem rośliny, porastające pobocze drogi kołowania, lekko chrzęściły pod stopami. Daleko poza drogą, wśród tonących w mroku drzew i płataniny krzaków, dwa przedrzeźniacze wdały się w sprzeczkę o terytorium, naśladując na przemian odgłosy wydawane przez wszystkie znane im zwierzęta. Była to nieprawdopodobna kolekcja: szczekanie piesków preriowych i wycie wilków, a od czasu do czasu kiepska imitacja startującego silnika odrzutowego. Madeleine Green, przez swych licznych przyjaciół nazywana Mają, stała na ciemnym pasie. Uśmiechnęła się do siebie, słysząc melodyjne trele ptactwa o tej nieprzyzwoicie wczesnej porze, a potem odwróciła się w stronę właściwego celu, dla którego się tu w ogóle pojawiła.

Maszyna niczym cień rysowała się na tle krwistoczerwonej linii horyzontu. Miała pięćdziesiąt sześć metrów długości, dziewięć wysokości i trzydzieści jeden i pół metra od jednej końcówki skrzydła do drugiej. Kiedy Maja podeszła bliżej, aerodynamiczna, wydłużona sylwetka samolotu, stojącego niewzruszenie w bladej poświacie, przybrała popielatosrebrzysty kolor w świetle księżyca w pełni, chowającego się za horyzont daleko na zachodzie. Tenisówki Mai prawie nie robiły hałasu w zetknięciu z podłożem. I tak powinno być, ponieważ personel naziemny zajął się w pierwszej kolejności tą częścią nawierzchni, usuwając z niej każdy najmniejszy kamyczek i ziarenko żwiru na ponad czterokilometrowej drodze kołowania, która pod koniec dnia doprowadziła ich do pasa startowego, usytuowanego na dnie wyschniętego słonego jeziora. Tego ranka powtórzą „odkurzanie”, tak na wszelki wypadek.

Maja zatrzymała się przy końcówce ogromnego prawego skrzydła i spojrzała w górę. Wisiało jej nad głową jak gigantyczna wersja wiaty dla samochodu. Znajdowało się jakieś sześć metrów nad nią, odbijając spodnią częścią delikatny różowozłoty blask poranka, ukazując niewyraźny cień strun, zastępujących tradycyjny dźwigar i żebra. Wewnątrz skrzydła znajdowała się pionowa, stalowa konstrukcja ulowa, tak cienka, że bez trudu można by ją wziąć za folię: trzeba było opracować cały wachlarz

nowych technologii obróbki specjalnej stali na pokrycie płatowca, na tyle mocnej, żeby mogła pełnić rolę skrzydła, a jednocześnie wystarczająco lekkiej (pomimo olbrzymich rozmiarów), żeby samolot był w stanie oderwać się od ziemi. Kiedy mu się to uda – polecą, wykorzystując „falę zgęszczeniową”, wytworzoną przez długi nos samolotu przujący powietrze. Zostanie ona następnie wtłoczona pod szerokie skrzydło typu delta, dodając siły nośnej. Maszyna o masie startowej 205 ton latała lekko... i szybko. Osiągnie dwa machy, a w porywach nawet trzy albo więcej... ile – tego nikt dokładnie nie wiedział. Nikt jeszcze nie wypróbował jej granic możliwości. Oprócz Mai... która dzisiaj zamierzała odbyć dziewiczy lot. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Zadrzała lekko w zimnym powietrzu poranka i... roześmiała się, ponieważ chłód był wirtualny, w równym stopniu co niebo i samolot. Maja znajdowała się w wirtualnej symulacji. Weszła pod olbrzymi kadłub, wolno zbliżyła się do podwozia i położyła rękę na jednym z metrowej wysokości kół, z prawej strony wózka podwozia. Napisanie oprogramowania, zawierającego fizyczne właściwości kół, zabrało Mai prawie cały dzień. Gdyby wsiadła do samolotu i wykonała nim dokładne odwzorowanie jego dziewiczego lotu, hamulce zawiodłyby w trakcie lądowania, koło by się zablokowało, po czym opona zaczęłaby się palić tak gwałtownie, jak oryginał pewnego słonecznego poranka w 1964 roku. Zresztą, cały samolot zachowywałby się dokładnie tak jak podczas pierwszego lotu, chociaż Maja zamierzała zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Na tym polegało wyzwanie w przypadku jej symulacji. Pracowała nad nią z przerwami prawie od roku.

Oczywiście, nie napisała sama każdej linijki kodowania – miała do pomocy oprogramowanie układu symulacji, zajmujące się powtarzającymi się partiami kodu – jednak to Maja była mózgiem symulacji. Przystudiowała każdy aspekt, dotyczący materiałów użytych do budowy samolotu, motywację jego konstruktorów (w stopniu, w jakim było to możliwe w odniesieniu do tak odległej historii), upodobania inżynierów, zawirowania pogodowe podczas testów – dosłownie wszystko. Czuła, że zna ten samolot lepiej niż jego twórcy. Co zresztą trudno byłoby stwierdzić z całą pewnością, ponieważ w większości już nie żyli. Ale i tak podejrzewała, że byliby z niej zadowoleni. Dzięki jej wysiłkom, amerykański naddźwiękowy bombowiec XB-70 Valkyrie znów żył... i latał.

–Hojotoho – powiedziała cicho; tak brzmiał bojowy okrzyk Walkirii w operach Wagnera.

Z roztargnieniem drapała paznokciem ogromną gumową oponę, wpatrując się w jaśniejący horyzont na wschodzie. W głębi pustyni przedrzeźniacz wyśpiewywał melodię, która bardziej przypominała twórczość Schoenberga niż Wagnera, podczas gdy jakiś mały ptaszek rozpoczął nieświadomie, lecz dość bezczelnie swój własny kontrapunkt. Niedługo pojawią się inni. Maja nie była odosobniona w pasji do sztuki tworzenia wirtualnej symulacji obiektu lub przedmiotu we wnętrzu „laboratorium” – osobistej przestrzeni, podobnej do staromodnych stron w Sieci, chociaż nieporównanie bardziej interaktywnej. Zainteresowania Mai nieco bardziej skłaniały się ku aspektom mechaniki symulowania, w porównaniu z upodobaniami reszty

grupy, z którą pracowała.

Niektórzy z nich preferowali symulowanie w trybie historycznym. Bob, na przykład, od prawie dwóch lat pracował nad rekonstrukcją bitwy pod Gettysburgiem. W związku z tym Maja spędziła więcej czasu, niżby sobie tego życzyła, w miejscach, które śmierdziały czarnym prochem strzelniczym, i gdzie widoczność ograniczała się do trzech metrów z powodu dymu od ognia artyleryjskiego. Za każdym razem, kiedy przelatywały przez nią archaiczne kule, podskakiwała do góry, chociaż nie robiły jej przecież najmniejszej krzywdy. Pociski okazywały się śmiertelne w skutkach tylko dla równie wirtualnych żołnierzy w rekonstrukcji. Problem Boba, zdaniem Mai, polegał na tym, że był on do tego stopnia pedantyczny w krwawych kwestiach, iż po uczestnictwie w kolejnej części jego wersji bitwy pod Gettysburgiem, Maja wracała do świata rzeczywistego kompletnie pozbawiona apetytu. Pozostali dokuczali mu, twierdząc, że powinien być równie drobiazgowy w odniesieniu do mundurów swoich postaci, co w przypadku ich wybebeszonych wnętrzości. Bob odcinał się twierdząc, że najpierw załatwia najważniejsze sprawy. Niektórzy przyjmowali tę argumentację, ale Maja zastanawiała się nad kondycją niektórych organów wewnętrznych Boba, a w szczególności jego mózgu.

Pozostałe symulacje były nieco mniej drastyczne, przynajmniej z jej punktu widzenia. Fergal miał fioła na punkcie „klasycznego” okresu maszyn kołowych, z początków zeszłego stulecia do połowy lat trzydziestych i odtwarzał pojazdy zasilane parą albo o dziwnych nazwach, na przykład Humber. Sander miał bzika na punkcie dość osobliwego i trudnego do sklasyfikowania samolotu, wyprodukowanego – najwyraźniej w pośpiechu – przez Niemcy pod koniec drugiej wojny światowej. Należał do grupy samolotów tak zwanego Tajnego Projektu – dziwacznego asortymentu prototypów latających talerzy napędzanych odrzutowymi silnikami. Właśnie w takiej symulacji uczestniczyła tydzień temu cała grupa, i Maja musiała przyznać, że śmiała się tak samo głośno, jak pozostali, kiedy program symulacji Triebflugel zakończył się katastrofą, a silniki odpadły od płatownia, niszcząc połowę budynków, które Sander rozrzucił tu i ówdzie po wirtualnym lotnisku.

Kelly'ego fascynowały okręty podwodne i rekonstruował po kolei dziwaczne jednostki o napędzie spalinowym, z którymi brytyjska flota eksperymentowała pod koniec pierwszej wojny światowej. Projektowano je z tyloma usterkami, że Maja nie mogła zrozumieć, jakim cudem Kelly zmusza je do działania. A tak właśnie było, przez co nawet najmniej zainteresowani tematem członkowie grupy symulowania byli pełni podziwu dla osiągnięć Kelly'ego.

Oczywiście, sama symulacja nie wystarczyłaby, żeby wzbudzić podziw. Należało ją jeszcze umieścić w odpowiednim otoczeniu i jak najdokładniej oddać tło historyczne. Chodziło o odtwarzanie rzeczywistości w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa.

Liczyły się najmniejsze drobiazgi. Maja przeniosła wzrok na goleń podwozia i wolno przejechała palcem po zimnym metalu. Na palcu została jej cieniutka warstewka szronu. Przyjrzała się z bliska pojedynczym kryształkom lodu. Każdy z nich został przez nią zaprogramowany. No, nie osobiście. W części było to

oprogramowanie „fraktalne”, do którego wystarczyło wprowadzić wzory danej charakterystyki cech fizycznych i poinstruować program, żeby zastosował te wzory do całego środowiska za każdym razem, kiedy powinny się pojawić. Maja cieszyła się, że tej nocy temperatura spadła poniżej zera. Szron programuje się łatwiej niż deszcz, a poza tym ładniej wygląda.

Zapatrzyła się w górę... i nagle zorientowała się, że patrzy na spodnią część kadłuba, na lewo od drzwi komory bombowej, od której znów odpryskiwała farba. Nie był to poważny problem w tej symulacji. Natomiast dla oryginalnego XB-70 w początkach jego istnienia łuszczenie się farby było przyczyną sporego zamieszania do czasu, aż technicy odkryli źródło problemu. Technicy w hangarze kładli na Valkyrie nowe warstwy farby za każdym razem, kiedy leciała po tego, czy innego ważniaka z Sił Powietrznych, a w rezultacie odkształcały się powłoki spowodowane wysoką temperaturą podczas lotu sprawiło, że farba zaczęła pękać i odpryskiwać. Ale Maja przysięgłaby, że poinstruowała głównego menedżera symulacji, żeby wyeliminował odpryskiwanie farby. Po pierwsze dlatego, że technicy w końcu zrozumieli, że wystarczy pojedyncza warstwa białej, przeciwoodblaskowej farby, więc taka interwencja z jej strony była całkowicie „legalna”. Po drugie, niektórzy członkowie grupy Mai zauważyliby odpadanie farby i zaczęliby jej z tego powodu dokuczać, nie dając sobie wytłumaczyć, że to „oryginalna cecha projektu”, a nie błąd oprogramowania. Maja odetchnęła głęboko.

Roddy...

–Kod dostępu – powiedziała do komputera symulacji.

–Autoryzacja – odezwało się oprogramowanie układu.

–Pięć osiemnaście pięćdziesiąt dwa – powiedziała. Była to data urodzin jej babci.

–Dostęp udzielony. Czynność?

–Pokaż mi podprocedury farby – poleciła Maja.

Przestrzeń wokół niej została podzielona w ten sposób, że Maja miała w zasięgu wzroku zarówno Valkyrie, jak i linijki jaśniejącego w powietrzu tekstu. Nie cały kod miał formę tekstową. Część została opracowana w trybie graficznym. W powietrzu przed nią pojawiło się sześć próbek farby, wielkości mniej więcej trzydziestu centymetrów kwadratowych. Na każdej widniała mała, świecąca kropka, czyli hiperpołączenie z jej innymi właściwościami fizycznymi.

–Procedura selekcji – powiedziała Maja.

–Słucham.

–Zastosuj farbę zero trzy.

–Przyjąłem.

–Usuń farbę z obiektu.

–Wykonane – poinformowało oprogramowanie układu, a pozbawiony farby samolot nabrał bladego, srebrno-różowego odcienia wschodzącego słońca, odbijającego się od stalowego kadłuba.

–Nałóż jedną warstwę farby zero trzy.

–Wykonane. – I samolot znów stał się biały, dzięki czemu od jego boku odbijał się blask zachodzącego księżyca, a na brzuchu, na górnej części kadłuba i wysokim

podwójnym usterzeniu ogonowym różowiły się promienie słońca ze wschodu.

–Zapisz podprocedury farby; zachowaj tę zmianę dla prototypu – poleciła komputerowi Maja.

–Wykonane.

–To wszystko. Zachowaj i zakończ.

–Zachowane – poinformował ją komputer i zamilkł.

Maja westchnęła i jeszcze raz spojrzała w górę na Valkyrie, po czym rozpoczęła obchód, upewniając się, że nie zapomniała o czymś tak rzucającym się w oczy jak farba. Są obydwa skrzydła? Są. Obydwa stery pionowe? Są. Wycieka coś, co nie powinno? Nie. Jakież rysy? Dziury, oprócz tych autorstwa konstruktorów samolotu?

Maja robiła coś więcej, niż zwykły obchód, typowy dla każdego pilota przed startem. Sprawdziała, czy nie ma w samolocie zmian, których być tam nie powinno: na przykład szczegółów z późniejszych lub innych wersji tego modelu. W przypadku produkowanych przez dłuższy okres samolotów, jak Spitfire, czy jego rywal, Messerschmitt Bf 109, istniała niezliczona liczba ich wariantów. Nie daj Boże, żeby sokoli wzrok któregoś kolegi czy koleżanki wypatrzył w samolocie coś, czego tam być nie powinno. Jedyna nadzieja w tym, że nie czytali do końca kodowania, czy materiałów źródłowych... ani nie przeprowadzili własnych badań odnośnie tematu projektu. Jednak znając tę bandę oraz fakt, że część z nich nie miała prywatnego życia poza symulacjami, Maja zdawała sobie sprawę, że nie powinna na to zbyt liczyć. Od początku przystali na surowe reguły gry. Siódemka – chociaż teraz było ich dziewięcioro, nazwa pozostała – najpierw zbierała się z różnych części Sieci, żeby pomagać sobie nawzajem przy najbardziej uciążliwych fragmentach symulowania, będąc tym, czego symulujący od nich potrzebował: bezwzględny chociaż życzliwi krytykami. Regularnie podawało się grupie parametry „laboratorium” oraz informowało o wszelkich większych zmianach: w oprogramowaniu, platformie komputera, implantu, czy innych środkach dostępu do świata wirtualnego.

Kiedy dany członek grupy czuł, że jest gotowy do zaprezentowania pozostałym symulacji – z reguły na dziesięć dni przed planowanym pokazem – podawał grupie kod pozwalający na oglądanie symulacji lub przynajmniej jej podstawowej części. Następnie członkowie Siódemki wspólnie oglądali pokaz symulacji i brali udział w dyskusji, na której oceniali danego członka grupy – nie aż tak oficjalnie jak na jakichś zawodach, ale wystarczająco obiektywnie, a czasem wręcz bezlitośnie. Należało przyjąć krytykę bez kręcenia nosem, ponieważ w większości przypadków miała ona na celu pomoc w osiągnięciu coraz lepszych wyników.

Niektórzy członkowie Siódemki chcieli zająć się symulacjami zawodowo, kiedy osiągną wiek umożliwiający im wejście na rynek pracy. A kilkoro z nich zamierzało go podbić bez względu na wiek – biznes symulacji potrzebował każdej pary rąk. Istniały przypadki czternasto i piętnastoletnich milionerów, którzy wpadli na pionierskie rozwiązania.

Maja uważała dwójkę swoich kolegów – Fergala i Sandera – za najbardziej bliskich sukcesu na tym polu. Fergal miał na tym punkcie takiego świra, że wszyscy byli pewni, iż poza symulowaniem nic się dla niego nie liczy. Natomiast Sander,

absolutne przeciwieństwo Fergala, traktując symulacje jak fantastyczną zabawę, należał do tych geniuszy, którzy ni stąd ni zowąd wpadają na Wielki Pomysł.

Maja wątpiła, żeby sama poszła tą ścieżką. Oprócz symulowania, miała zbyt wiele innych zainteresowań, przede wszystkim muzykę i projektowanie systemów. Ale, jak mawiała jej matka, była to „jeszcze jedna struna w jej gitarze” i nie widziała niczego złego w doskonaleniu się w symulacjach, które mogą zapewnić jej tymczasowe źródło utrzymania na drodze do ważniejszego celu.

Znów położyła rękę na metalowej powłoce, która przybierała coraz bardziej zdecydowane odcienie różu, w miarę jak słońce wędrowało w górę. – Dobrze, Rosweisse – szepnęła. – Bierzmy się do roboty...

–Schody – powiedziała i natychmiast się pojawiły.

Wspięła się powoli do kabiny pilotów, ponieważ stopnie mogły być śliskie od mrozu.

–Osłona – powiedziała. Osłona kabiny pilota posłusznie się uniosła.

Ktoś już siedział w fotelu po prawej. Brązowe włosy, brązowe oczy, nie za wysoka – co Maję nieodmiennie cieszyło, przynajmniej od kiedy jej starszy brat zaczął rosnać jak szalony i zaczepiać głową o framugi drzwi. Osoba siedząca obok była raczej szczupła, nie idealnie piękna, ale całkiem niczego sobie, z oczami rozstawionymi dość szeroko, co dawało wrażenie ciągłego zdziwienia na twarzy. Ciekawe, że swój wygląd nie robił na niej wrażenia, kiedy patrzyła w lustro. W takiej postaci jednak zawsze ją dziwił.

–Dzień dobry – powiedziała.

–To się okaże – odpowiedziała Druga Maja.

Maja długo zastanawiała się, kto by się dobrze wywiązał z roli drugiego pilota. Mogła zrekonstruować jednego z oryginalnych pilotów, ale bała się, że symulacja stanie się zbyt dokładna i zacznie powtarzać błędy oryginału. A ponieważ jej ojciec zwykł mawiać: „Jeśli chcesz, żeby robota została dobrze wykonana, zrób ją sama”, w rezultacie postanowiła, że tak właśnie postąpi.

Jej drugi pilot był dokładną kopią jej samej, starannie zaprogramowaną i wyposażoną we wszystkie wiadomości Mai i konstruktorów na temat XB-70, jednak z podkreśleniem wybranych przez nią preferencji.

–Jak bardzo jesteśmy zaawansowani? – spytała swojego sobowtóra.

–Nie za bardzo – odpowiedziała Druga Maja z lekkim uśmiechem. – Wiesz, że lubię wszystko sprawdzać dwa razy...

Maja roześmiała się, zastanawiając się, czy przypadkiem nie spędziła zbyt dużo czasu na tym aspekcie symulacji. Perfekcjonistka, pomyślała. Miała to po ojcu. Nie znosił niechlujstwa, czy pracy na pół gwizdka, a Maja w tej kwestii całkowicie się z nim zgadzała. Zajęła miejsce w fotelu po lewej stronie i spojrzała na tablicę przyrzędów. Była mniej rozbudowana niż w nowym Boeingu MDD 787, ale i tak dość imponująca – zanim człowiek się do niej przyzwyczaił. Na środku, ponad dźwigniami ciągu sześciu silników J93 znajdowały się wskaźniki obrotów, prędkościomierz, wskaźniki ciśnienia hydraulicznego i innych nudniejszych funkcji. Rzędy przełączników i pokręteł powyżej oraz poniżej odpowiadały za systemy ostrzegania

załogi, przesuwane końcówki skrzydeł i

obsługę podwozia, systemy przeciwpożarowe, i tak dalej. Samolot w końcu pochodził z przed ery komputerów i wszystko było obsługiwane przez personel pokładowy. Mai nie mieściło się to w głowie, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, iż piloci testowali ten samolot i przede wszystkim musieli się skupiać na takich sprawach jak liczba machów i jak maszyna zachowuje się w powietrzu. Po bokach znajdowały się przyrządy do pomiaru wysokości, machometr, urządzenia do rejestracji parametrów lotu próbnego i tym podobne.

Wszystkie urządzenia były analogowe – niektóre, jak układ nastawienia częstotliwości radiowej, w lewym górnym rogu tablicy przyrządów, były ni mniej ni więcej, jak małymi obrotowymi wskaźnikami. Wszystko to wydawało się Mai niesłychanie prymitywne. Z drugiej strony, samolot miał wiele zalet. Ponieważ pochodził sprzed ery tranzystorowej, był, na przykład, odporny na impuls elektromagnetyczny, towarzyszący wybuchowi nuklearnemu.

Prędzej czy później i jego wyposażono by w bombę atomową, pomyślała Maja, zapinając pasy we wnętrzu specjalnej kapsuły, mającej za zadanie chronić czteroosobową załogę w razie katapultowania przy prędkościach naddźwiękowych. I to zaraz po wprowadzeniu go do eksploatacji... Ta jedna kwestia psuła Mai nieco przyjemność z symulacji. W obecnym wcieleniu samolot był jedynie deską projektową dla zaawansowanej technologii naddźwiękowej. Ale zasięg i prędkość maszyny od razu wskazywały na to, że Siły Powietrzne przeznaczyły go do przenoszenia bomb atomowych. Jedynie zestrzelenie przez Rosjan w 1961 roku U-2 pilotowanym przez Francisa Gary Powersa, świadczące dobitnie o tym, że raketowe pociski przeciwlotnicze rozwijają się szybciej niż samoloty, uchroniło Valkyrie od takiej misji. Sprawilo też, że zakończono jej program, podobnie jak w przypadku F-108 Rapier, który miał być myśliwcem eskortującym Valkyrie.

Maja miała mieszane uczucia na temat tego okresu w historii. Ten piękny samolot nie był przyczyną tragedii w Hiroszynie ani Nagasaki, jednak gdyby był dostępny w 1963 roku, kiedy kubański kryzys raketowy sięgnął szczytu, trudno powiedzieć, jak to się mogło skończyć, biorąc pod uwagę naciski generała Curtisa LeMaya, żeby prezydent wyraził zgodę na uprzedzające uderzenie atomowe.

Jednocześnie Maja żałowała, że nie skierowano Valkyrie do produkcji, ponieważ byłaby niezrównanym bombowcem, jak na swoje czasy. Nikt w latach 60. na świecie nie dysponował samolotem, zdolnym jej dorównać. Chociaż trudno przewidzieć, jak długo utrzymałaby się w czołówce. Maja zdawała sobie sprawę z faktu, że przewaga militarna jest wyjątkowo chwiejna, zwłaszcza gdy zaangażowane strony grają bardzo serio w tę śmiertelnie niebezpieczną grę.

Zagłębiła się w fotelu i westchnęła. Umieściła stopy na pedałach orczyka i lekko je przycisnęła. Nie poddały się – wspomaganie hydrauliczne wciąż nie było włączone i tak zostanie aż do późnego etapu uruchamiania silników.

–Rzeczywiście nie jesteś na zbyt zaawansowanym etapie – powiedziała do swojej bliźniaczki.

–Podobnie jak ci w 1964 roku – odparła Druga Maja.

–No dalej, do roboty.

–Dobrze. – Maja sięgnęła po plik kartek, przyczepiony po lewej stronie szarej podstawy sterów z matowego metalu i wzięła do ręki wielokrotnie kartkowaną listę kontroli przedstartowej. Odwróciła poplamioną okładkę i zaczęła czytać na głos pierwszą stronę.

–Częstotliwość?

–Dziewięć-sześć-przecinek-zero-zero-jeden – poinformował ją jej odpowiednik, przechylając się, żeby sprawdzić dane na liście znajdującej się po prawej stronie fotela drugiego pilota.

–Fotele wyrzucane?

–Zawleczki wyjęte i zabezpieczone.

–Kabina?

–Hermetyczna.

–Systemy hamulcowe?

–Jeden, dwa, trzy. Włączone i sprawne.

–Panel kontroli i system nawigacyjny?

–Obydwa włączone.

–Rewersy?

–Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Wyłączone.

–Zakrętomierz ze wskaźnikiem ślizgu?

–Włączony.

–Żyroskop precesyjny?

–Włączony.

–Czas? – spytała Maja.

–Piąta trzydzieści trzy, dwudziesty pierwszy września, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku.

–Nie ten czas, gapo. Czas na zewnątrz.

–Dwudziesta zero trzy, dwudziesty października, rok dwa tysiące dwudziesty piąty.

–Sztuczny horyzont?

Nagle – w miejscu, gdzie znajdowałyby się osłona kabiny pilotów, gdyby była opuszczona – pojawiła się twarz jej ojca, tak niespodziewanie, że Maja aż podskoczyła. Zainstalowała audiowizualne łącze ze światem zewnętrznym w formie układu zobrazowania danych w polu widzenia pilota, ale teraz w powietrzu wisiała głowa jej taty. Sprawiała dość osobliwe wrażenie, zwłaszcza, że „matujący” efekt komputerowego przetwarzania danych sprawiał, że miejsca, w których przeredzała mu się już czupryna, lekko połyskiwały.

–Cześć tato – powiedziała. – Oślepiasz mnie.

–Jak to?

–Twoja głowa – znów stoisz dokładnie pod lampą. Możesz się trochę przesunąć? Zrobił to, z rozbawieniem na twarzy, i oświetlenie na jego głowie nieco się zmieniło, chociaż nadal pozostawał w centrum.

–Chciałem się tylko upewnić, czy odrobiłaś pracę domową. – Litości! – prychnęła.

–A ty? – zwrócił się ojciec Mai do sobowtóra córki.

–Odrobiłam – odpowiedziała „bliźniaczka” Mai. – Jest w komputerze, jeśli chce pan rzucić na nią okiem.

–Litości! – obruszył się ojciec Mai, doskonale naśladowując mimikę córki. – Przyjmuję rachunek różniczkowy za pewnik, ale nie mam zamiaru się w niego zagłębiać... na ile to możliwe. Maja, mama pyta, czy już skończyłaś, bo chciała, żebyś rozejrzała się po jej VR i jeszcze raz znalazła ten przepis na pierniczki. Siedzi po uszy w przepisie Nana Do na ciasto owocowe i nie chce wchodzić do Sieci.

Maja kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Kuchnia była teraz miejscem o wiele niebezpieczniejszym niż jej wirtualny świat. – Dobrze, tato. Wychodzisz już?

–Niedługo. Baw się dobrze, kochanie.

–Dzięki, tato.

Zniknął, a Maja pozwoliła sobie na szerszy uśmiech, dochodząc do wniosku, że w miarę utraty włosów, jej ojciec coraz bardziej przypomina Czarnoksiężnika z Krainy Oz. Jej matka, która czasem bardziej niż ojciec przypominała roztargnionego profesora, to już całkiem inna historia. Kiedy nie tworzyła i nie instalowała systemów komputerowych dla rozmaitych firm, co, jak podejrzewała Maja, przynosiło jej spore dochody, zamieniała się w kucharza amatora, wymyślającego niesamowite potrawy, na które nikt przy zdrowych zmysłach nigdy by nie wpadł. W przypadku jej matki, oznaczało to, iż kiedy zbliżały się święta, zaczynała piec tony ciasta owocowego dla znajomych oraz budowała chatki z piernika – choć „chatka” to może nieodpowiednie słowo. Odtwarzała w pierniku budynki projektu Franka Lloyda Wrighta, łącznie ze słynnym Szklanym Domem, o oknach z cukru, które zresztą również robiła sama, ponieważ „nikt nie umie ich dobrze wypolerować”.

To matka zaraziła Maję bakcylem „symulowania”, chociaż jej symulacje miały tak szeroki zasięg, że Maja nie raz odchodziła od nich kręcąc w zdumieniu głową.

Teraz też tak robiła. – Przypomnij mi, żebyś poszukała tego przepisu na strukturalny piernik – powiedziała do Drugiej Mai. – Na czym to skończyłam?

–Na sztucznym horyzoncie – odpowiedział jej sobowtór. Maja spojrzała na wskaźnik sztucznego horyzontu, kulę zanurzoną w przezroczystym płynie z widoczną sylwetką samolotu oraz podziałką sferyczną i wcisnęła guzik. Sylwetka przybrała pozycję wskazującą na to, że obecnie samolot stoi na ziemi.

Spojrzała na swoją towarzyszkę i zobaczyła, że tamta robi to samo z kopią sztucznego horyzontu po stronie drugiego pilota.

–Włączony – odezwała się kopia Mai.

–Wariometr?

–Włączony.

–Hermetyzacja zbiorników paliwa?

–Jeden do osiem. Szczelne. Ktoś jest na płycie lotniska – powiedziała nagle Druga Maja.

–Co? – zdziwiła się Maja. Zaprogramowała swoją przestrzeń wirtualną w ten sposób, że gdy pojawiał się w nim ktoś obcy, rozlegało się głośnie dzwonięcie. Podniosła się trochę i wyjrzała znad krawędzi kabiny pilotów. Po nawierzchni pasa

przechadzał się Roddy L'Officier, poklepując się i wykonując dla rozgrzewki całą serię innych gestów. – Przyszedłeś za wcześnie! – zawołała do niego. – Idź sobie i wróć za piętnaście minut.

–Nie ma sprawy – odpowiedział Roddy. – Pokręcę się w okolicy.

–Jak chcesz – odpowiedziała Maja, siadając na miejsce i dodała półgłosem: – Odmroź sobie tyłek, nic mnie to nie obchodzi.

Przez chwilę zbierała rozproszone myśli. Trochę to trwało. Z całej grupy swoich przyjaciół najmniej lubiła właśnie Roddy'ego. Należał do osób wybitnie naprzykrzających się otoczeniu. Z wyglądu nic ciekawego: ciemnowłosa, niewysoki, grubawy, z dziecięcym tłuszczykiem, z którego pewne osoby wyrastają dość późno, zwłaszcza gdy lubią niezdrowe jedzenie. Do tego nieprawdopodobny chwalipięta – błyskotliwy i zawsze gotowy o tym przypomnieć otoczeniu. Ponadto miał manię na punkcie ukradkowego zbierania informacji na temat wszystkiego wokół. Zawsze udzielał rad i wtrącał się do cudzych spraw, czy ktoś go o to prosił, czy nie.

Maja zazwyczaj starała się go ignorować. Nie porozumiewała się z nim za pomocą przyjacielskich maili, jak w przypadku reszty grupy. On natomiast ich jej nie szczędził, pokazując się w niesłychanie szpanerskim fotelu implantowym i oceniając jej symulacje swoim piskliwym, przemądrzałym głosem, nierzadko kilka miesięcy po oficjalnej prezentacji i, ogólnie rzecz biorąc, mówił jej, co powinna zrobić, żeby jej symulacje były „do przyjęcia”.

Może dla niego, pomyślała Maja. Mały, drobiazgowy głupek. Najwyraźniej mylił mnie z kimś, kogo w ogóle obchodzi jego zdanie. Wzięła głęboki oddech. Miała gorący temperament i czasem nie potrafiła nad nim zapanować. Nie ulega wątpliwości, że Roddy ma powody, żeby tak się zachowywać. Przede wszystkim nigdy nie wspomina o swojej rodzinie. Maja podejrzewała, że musi mieć w domu trudną sytuację. To nie moja sprawa, pomyślała i wróciła do sprawdzania listy kontrolnej, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego ktoś, kto nosi tak drogie ubrania i najnowsze fasony markowych płaszczy, jednocześnie nie dysponuje gotówką, kiedy ich grupa wybiera się na pizzę. Dziwne.

Musiała jednak przyznać, że chociaż zazwyczaj Roddy założył za skórę, to czasem – czy nawet często, przyznała niechętnie – jego rady okazywały się przydatne. Naprawdę znał się na symulacjach. Gdyby tylko potrafił nie zachowywać się jak dobrotliwy geniusz, oferujący pomoc niedorozwiniętym kolegom.

–Nowi goście – poinformował ją sobowtór.

–Co jest, do licha? – mruknęła Maja i znów wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła trzech nowych przybyszów. Co się dzieje z tym dzwonkiem? – Nie znacie się na zegarkach, czy co? – zawołała do kolegów. – Nie widzicie, że nie skończyłam jeszcze procedury przedstartowej? Przyjdźcie trochę później.

–Nie zwracaj na nas uwagi, pokręcimy się tu trochę. – Usłyszała wesóły głos Boba, dochodzący dokładnie spod samolotu. – Hej, spójrzcie na to...

Maja uśmiechnęła się wbrew własnej woli. Bob zazwyczaj nie był zbyt wylewny w pochwałach i starał się zachować pokerową twarz, jednak zdaniem Mai robił tak, ponieważ bardzo żywo reagował na otaczający go świat i od pewnego czasu starał

się ten fakt zachować dla siebie.

–Madeline, czy nie mogłabyś tu trochę podnieść temperatury? – rozległo się wołanie innej osoby. To Mairead, uwielbiająca komfort i narzekająca, jak zwykle, na warunki zewnętrzne. Maja przypomniała sobie z rozbawieniem, jak Mairead narzekała na „zanieczyszczenie powietrza” spowodowane przez strzały armatnie podczas rekonstrukcji bitwy pod Gettysburgiem.

–Przykro mi, Mair! – odkrzyknęła Maja. – Ale to środek pustyni pod koniec września. Czego się spodziewałaś, plaży?

–Przecież na pustyni jest gorąco!

–Nie nocą – odezwał się ktoś inny, głęboko spod kadłuba samolotu. Shih Chin. – Zrób sobie kurtkę i siedź cicho. Liczę kroki.

Maja znów się uśmiechnęła. Chin należała do ludzi, którzy zawsze muszą wiedzieć dokładnie, jak duże jest konkretne miejsce czy przedmiot. Jeśli liczy krokami długość Valkyrie, mają ją z głowy na kilka minut. – A niech to – powiedziała Maja do swojego drugiego pilota. – Zapomniałam na czym skończyliśmy.

–Na TACANie*.

–Włączony – powiedziała Maja, marszcząc brwi. Na pokładzie samolotu znajdował się tylko jeden system TACAN, co zdaniem Mai stanowiło duży problem. W czasach przed erą satelitów geostacjonarnych, określających położenie danego obiektu z dokładnością do kilku metrów, możliwość ustalenia własnej pozycji miała decydujące znaczenie i do tego właśnie służył TACAN, jednak do tego zadania lepiej nadałyby się dwa lub trzy takie systemy. Najwyraźniej jednak dowództwo Sił Powietrznych doszło do wniosku, że piloci XB-70 nie potrafią się zgubić, a jeśli nawet, to najwyżej wyciągną mapę i odczytają swoją pozycję. Albo zatrzymają się na stacji benzynowej i spytają o drogę, pomyślała Maja. Idioci. Ale na początku lat sześćdziesiątych wszyscy starali się zmniejszać koszty. Budżet, który początkowo miał pokryć cały program, został ograniczony do trzech egzemplarzy samolotu, w związku z czym NASA oraz Siły Powietrzne zamierzały wykorzystać do maksimum zainwestowane środki. Na tym etapie dodatkowy TACAN wydawał się prawdopodobnie zbędnym luksusem...

–Dalej! – krzyknął wirtualny odpowiednik Mai. – Skup się. Widać, że się denerwujesz.

–Nigdy – powiedziała Maja, ale uśmiechnęła się kącikiem ust, wracając do procedury przedstartowej. – Zapis testów?

–Włączony.

–System kontroli ciągu? – Była to jedna z najważniejszych części samolotu – dławiki wewnątrz wlotów powietrza, które będą się rozszerzać i zwężać, regulując przepływ powietrza do turbin.

–Sprawny.

–Akcelerometr?

–Włączony.

–Monitory?

–Zasilanie w normie.

–Kontrola sygnału sterującego?

–Włączona.

Maja przyglądała się, jak jej drugi pilot przerzuca ostatni przełącznik.

–To wszystko?

–To wszystko.

–Świetnie.

Wstała, przeciągnęła się, a potem zaczęła ostrożnie schodzić po schodkach.

Niebo, po przejściu kilku faz wściekłego rózu i brzoskwini, nagle zbladło, szykując się do przyjęcia barwy czystego złota, kiedy znad niskich, poszarpanych szczytów górskich na krańcu tego świata wynurzy się pierwszy, oślepiający promień słońca.

Kiedy zeskoczyła z ostatniego szczebla, pozostałe wirtualne formy jej kolegów zgromadziły się wokół niej. Bob, jak zwykle, sceptyczny; Mairead potrząsająca imponującą czupryną rudych loków, zaskoczona ogromem skrzydła, na które patrzyła z zadartą głową; pozostali szli w stronę Mai, dotykając po drodze tych części samolotu, do których mogli dosięgnąć, czyli do podwozia, tak ogromnego, że wyglądali przy nim jak karły.

Oczywiście, sam rozmiar nie wystarczy, żeby zaimponować tej bandzie. Maja przypomniała sobie ich krytykę podczas symulacji Chin, która odtworzyła dźwig latający Arcturus... zresztą zasłużoną, skoro w połowie symulacji odpadły mu koła. Uwagę Mai zwrócił odgłos uderzeń. Odwróciła się i zobaczyła, że Roddy kopie opony Valkyrie.

–Hej! – zawołała, ale dała sobie spokój.

Nie będzie drobiazgowa. Podstawki klinowe pod koła trzymała symulacja, a oponom i tak nic nie zrobi. W końcu zbudowano je, żeby radziły sobie z lądowaniem samolotu o masie ponad dwustu ton. Chociaż nie można powiedzieć, żeby za każdym razem dawały sobie z tym radę, pomyślała z niepokojem. Jednak ten problem odłożyła na potem. Cała grupka zebrała się wokół niej i Maja, wskazując ręką do góry, oznajmiła: – Oto Valkyrie XB-70.

Kelly pokazał palcem lewą część kadłuba tuż pod kabiną pilotów, gdzie widniał napis ROSWEISSE.

–Co to?

–Jej imię – powiedziała Maja, rumieniąc się lekko z zakłopotania.

–Biała róża? – Wszyscy się roześmieli. – Co to za imię dla Walkirii? –

Zainteresujcie się twórczością Wagnera – odparła Maja. – Można nosić nazwę delikatnego kwiatu, a mimo to doskonale nadawać się do zabijania. – Spojrzała zaczepnie na Kelly'ego. – Zresztą lepsze to, niż nazwać okręt podwodny „Niezniszczalnym”, a ten przy pierwszej okazji wylatuje w powietrze.

Kelly nagle zainteresował się podwoziem i Maja natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, że tak z niego zakpiła.

–Cóż – odezwała się swoim zrównoważonym tonem Chin. – Nie oceniliśmy jeszcze działania tej maszyny. Obejrzyjmy ją sobie dokładnie.

Grupka rozpoczęła obchód, a Maja, która szła razem z nimi, starała się patrzeć na Rosweisse, jakby widziała ją po raz pierwszy. Koła, pomyślała, kiedy przechodzili

obok podwozia, ta zniszczona opona... siłą woli wyrzuciła z głowy to zmartwienie. Teraz nic na to nie poradzi, chociaż już niedługo mogą pojawić się problemy. Maja dołożyła wszelkich starań, żeby zbudować samolot dokładnie tak, jak zrobili to jego konstruktorzy, łącznie z ich błędami... a następnie poświęciła całą energię, żeby mimo wszystko go uruchomić. To była jej mała, prywatna krucjata. Jeśli odniesie sukces, będzie mogła powiedzieć „a nie mówiłam” całemu światu, a w szczególności gryzipiórkom z za biurek. A w końcu, kiedy już wyciśnie z symulacji wszystko, co się da, wyśle ją mózgowcom z NASA/Dryden, sprawującym obecnie kontrolę nad kompleksem, będącym kiedyś bazą Sił Powietrznych Muroc/Edwards, żeby sami ją ocenili.

Oczywiście dla Valkyrie to nic nie zmieni, ponieważ nigdy nie uniesie się ponownie w powietrze. Jedyna maszyna tego typu, AV-1, stała cicho i spokojnie w hangarze Współczesnego Lotnictwa w Muzeum Sił Powietrznych w byłej bazie Wright Patterson, otoczona ledwo wyczuwalną aurą dramatyzmu i melancholii. Była ostatnią ze swojej rodziny, ponieważ jej młodsza siostra AV-2 została przypadkowo zniszczona przez F-104 Starfighter podczas swojej czterdziestej pierwszej misji powietrznej. Stabilizatory zerwane ze skrzydła podczas kolizji uniemożliwiły jej uniknięcie odwróconego płaskiego korkociągu. Rozbiła się o ziemię, zabijając jednego z dwóch pilotów, który nie zdążył się katapultować. A zanim to się stało, wstrzymano fundusze na produkcję AV-3.

Zdaniem Mai, te trzy maszyny miały w sobie ogromny potencjał, który zaprzepaszczone z powodu pecha, krótkowzroczności i samego projektu, zbyt wymagającego, jak na ówczesną technologię materiałową. Można było siedzieć i rozczulać się nad straconymi szansami, albo można było ją zrekonstruować i naprawić tyle błędów, ile się da, licząc, że odniesie to pożądany skutek. – Podejmowanie działania – powiedziała jej matka, przechodząc któregoś wieczoru przez jej symulację w drodze na spotkanie, na które potrzebowała kilku przepisów – jest ważne, nawet gdy na to nie wygląda.

–Jest o wiele większy od Blackbirda – zauważył Sander, kiedy przechodzili pod podwójnym usterzeniem ogonowym, znajdującym się kilka metrów nad ich głowami. Jakiś czas temu Sander wykonał symulację Blackbirda, i to doskonałą, odwzorowując urzekający stary samolot zwiadowczy, do tego stopnia, że paliwo wyciekało przez uszczelki, zanim żar ponaddzwiękowego lotu wydłużył go o trzydzieści centymetrów, nadając mu odpowiedni kształt. Z tego powodu piloci klęli na niego na czym świat stoi. Maja natomiast jeszcze tydzień po symulacji Sandera czuła odór paliwa.

To musiało być psychosomatyczne, powtarzała sobie, zdecydowanie preferując takie wytłumaczenie niż myśl, że jej mózg utracił zdolność odróżniania świata rzeczywistego od wirtualnego.

–Samo paliwo, które ma w zbiorniku – powiedziała Maja – waży tyle, co cały Blackbird. Skonstruowano ten samolot z myślą o sytuacjach, kiedy nie można liczyć na tankowanie w powietrzu. Ponieważ wtedy cywilizacja mogła już nie istnieć, zniszczona po wymianie atomowych ciosów...

Szli dalej, wokół ogona. Szron zniknął powoli z nawierzchni, zostawiając tylko mokre smugi w miejscach, gdzie leżała grubsza warstwa. Słońce odbijało się od białej farby, oślepiając wszystkich. Z ich pozycji ostry nos samolotu był prawie niewidoczny. Maja liczyła na to, że dostrzegą w Valkyrie to co ona... czyli fantastyczną maszynę.

Jednym z powodów, dla których Maja zainteresowała się XB-70, pomijając fascynującą historię, było jej czyste piękno. Przypominała stare naddźwiękowe samoloty pasażerskie, będące (w pewnym sensie) jej dziećmi. Łączyła je ta sama, długa, prosta, patrycjuszowska w formie igła nosa, która obniżała się podczas lądowania, szczupła sylwetka i wielkie, zgrabne skrzydła typu delta, przypominające lepiej znane Concorde. Maja dawno temu zakochała się w tych starych samolotach pasażerskich, chociaż od lat przebywały na emeryturze i kiedy przez przypadek natknęła się na tę ich opuszczoną macochę, przysięgła sobie, że wykona jej porządną symulację. Świadomość, że maszyna od samego początku sprawiała kłopoty swoim konstruktorom, jedynie wzmocniła postanowienie Mai, że znów wzniesie Valkyrie w powietrze. Lotnictwo pasażerskie obrało zdecydowanie inny kierunek. Obecnie ogromne, poddźwiękowe samoloty Boeing MDD 797, które zastąpiły stare 747, regularnie i oszczędnie transportowały jednorazowo ponad tysiąc ludzi; kilka lat temu w powietrzu zadebiutowały o wiele droższe ponaddźwiękowe podorbitalne samoloty, wyglądem i konstrukcją bardziej przypominające promy kosmiczne niż XB-70. Jednak żaden z nich nie był tak elegancki, ani niepowtarzalny jak Valkyrie, przynajmniej zdaniem Mai. I wyglądało na to, że kilkoro jej kolegów podziela tę opinię.

–Skrzydła o zmiennej geometrii – zauważył Fergal.

–Dzięki nim nie grozi mu przeciągnięcie podczas startu i lądowania – wyjaśniła Maja. – Końcówki odchylają się do tyłu dwadzieścia pięć stopni po przekroczeniu prędkości pięciuset kilometrów na godzinę, a sześćdziesiąt pięć stopni dla lotu do trzech machów łącznie. To największe ruchome urządzenie aerodynamiczne, którego kiedykolwiek użyto... ma sześć metrów szerokości przy krawędzi spływu.

–Doprawdy imponujące – powiedział Roddy lekko drwiącym tonem, świadczącym o tym, że nawet jeśli samolot wzbudził jego podziw, nie zamierza tego po sobie pokazać.

Maja zignorowała go. Zatrzymała się przy stopniach prowadzących do kabiny pilotów.

–Ładna z niej sztuka – powiedział Sander.

–Z niej? – powtórzył drwiącym tonem Roddy.

–Okręty i samoloty zawsze są rodzaju żeńskiego – wyjaśniła spokojnie Maja. – Nazwij je męskim imieniem, a na pewno rozbiją się albo spłoną. To nie moja opinia, tylko prawda. Nie można mieć opinii na temat prawdy... Był to ulubiony cytat jej taty, autorstwa jakiegoś zmarłego

muzyka.

Roddy prychnął i odwrócił się.

–No dobra – odezwał się Sander. – Obejrzeliliśmy samolot. Rzeczywiście fizycznie

odpowiada twojemu opisowi. Więc, co zamierzasz z nim zrobić?

–To co oni zrobili za pierwszym razem – odpowiedziała Maja. – Wystartować i zobaczyć, jak sobie radzi.

–Nie zamierzasz pokonać bariery dźwięku?

–Tchórz – powiedział Roddy, udając że się trzęsie ze strachu.

Fergal rzucił mu chłodne spojrzenie. – Znow pokazujesz swoją prawdziwą naturę, Roderick? – Jego akcent rodem z Yorkshire zabrzmiał jeszcze bardziej nosowo niż zazwyczaj i Maja odniosła – nie pierwszy raz zresztą – wrażenie, że Fergal też nie przepada za Roddym.

–Drogi Rodericku – powiedziała Maja – zamierzam osiągnąć dwa machy i zostać tak przez okres nazywany później „kąpielą w ukropie”: niektóre elementy płatowca zaczynały funkcjonować prawidłowo dopiero wtedy, gdy miały możliwość odpowiedniego ukształtowania się w wysokiej temperaturze, charakterystycznej dla dłuższego lotu z ponaddźwiękową prędkością. Na pewno sprawi mi przy tym mnóstwo kłopotów. Wtedy też tak było. Ale myślę, że poradzę sobie lepiej od nich.

–Zapaliło się podwozie, prawda?

–Nie do końca – powiedziała Maja. – W systemie hamowania nastąpił nagły wzrost ciśnienia. To zablokowało tylne koła podwozia głównego po lewej stronie i zapaliły się opony. Moim zdaniem, błędnie, użyto jednego z systemów hydraulicznych. Chcę się przekonać, czy tym razem uda mi się naprawić tę usterkę.

–Z którego miejsca obserwujemy? – spytał Fergal.

Gdy grupa ludzi miała razem oglądać symulację, a obszar symulowania był dość ograniczony, wybierało się „punkt obserwacyjny”.

–W tylnej części kabiny pilotów – powiedziała Maja. – Drugi punkt będzie w jednym z samolotów obserwacyjnych.

Zupełnie niespodziewanie, i – na co liczyła Maja – efektownie, pojawiły się one na pasie startowym, kiedy tylko o nich wspomniała: trzy Starfighter?-104, oślepiając słońcem odbijającym się od wypolerowanych kadłubów, z zapuszczonymi już silnikami, wyjąłymi z mechanicznym entuzjazmem. Wszyscy zamrugali oczami i zatkali uszy. Maja znow zaczerwieniła się ze wstydu. Zapomniała ściszyć dźwięki; przed wschodem słońca było tu tak cicho. Powiedziała: – Zredukuj o sześćdziesiąt decybeli.

–Komputer posłusznie wykonał polecenie i potrójne wycie Starfighterów zmieniło się w gardłowe buczenie.

–A więc – odezwała się Maja – usiądźcie wygodnie...

W sporej odległości od Valkyrie pojawiło się osiem krzesel i Siódemka ruszyła, żeby zająć na nich miejsca. Maja została sama, po raz pierwszy tego ranka czując ukłucie strachu.

Dlaczego? Przecież nie ma się czego bać... Z wyjątkiem zniechęconej myśli, że może się jej nie udać... zwłaszcza w obecności całej grupy. A jeśli coś pójdzie nie tak? Odetchnęła głęboko i odwróciła się do schodków, które teraz były mokre i śliskie od roztopionego szronu. Położyła dłonie na szczeblu na wysokości oczu i zaczęła wchodzić, pocieszając się w myślach: To naprawdę dobra symulacja. Nie

zauważą, że pocą mi się dłonie...

Maja usiadła w fotelu po lewej, odetchnęła głęboko i zaczęła końcowy przegląd.

–Startujemy? – zapytała Druga Maja.

–Zaczynaj listę – odpowiedziała Maja.

–Masa paliwa?

–Trzydzieści ton.

–Siłowniki nosa?

–Gotowe.

–Klapy?

–Auto.

–Trymery?

–Auto.

–Rozruch silnika numer jeden.

–Startuje.

Nagły wstrząs przebiegający przez kadłub zawsze ją zaskakiwał – niczym odgłos gwałtownie wzrastającego poziomu adrenaliny. Niemal czuła ciarki na plecach, jakby palił ją żar. Rossweise zbudziła się do życia. – Mieszanka paliwowa?

–Bogata.

–Ciśnienie hydrauliczne?

–Oba systemy sprawne.

Mają zdziwiła suchość w ustach. Przecież nie robię tego po raz pierwszy, pomyślała. Widać niektóre symulacje są bardziej realne od innych.

–Klapy? – zapytała zduszonym głosem.

Druga Maja roześmiała się – co było prawdopodobnie najrozsądniejszą reakcją, a już na pewno czymś, co Maja zrobiłaby w takiej sytuacji, gdyby była mniej zdenerwowana. A niech to! –

Już wspominałam, auto – poinformowała Druga Maja.

–Usterzenie pionowe?

–Auto.

–Temperatura silnika numer jeden?

–Na zielonym polu.

–Dobrze. Rozruch silnika numer dwa.

–Włączam. Mieszanka wzbogacona.

Cały samolot zatrzęsł się wraz z momentem obrotowym, kiedy kolejny silnik zbudził się z wyciem do życia, po chwili dorównując hałasem pierwszemu.

–Machometr?

–Zero przecinek zero... Alarm! – oznajmiła Druga Maja, kiedy w kabinie pilotów rozległ się stłumiony pisk. – Awaria układu chłodzącego drugiego silnika.

–Wyłączyć i uruchomić ponownie. – To samo miało miejsce podczas startu w 1964 roku. Maja jak dotąd nie rozszyfrowała przyczyny tego konkretnego problemu i mogła jedynie „obejść” go w symulacji. Na szczęście w świecie realnym nie przyniósł on żadnych poważniejszych następstw.

Druga Maja wyłączyła silnik numer dwa i wraz z ze swoim dowódcą zaczęły

odczekiwać przepisowe dwie minuty. Daleko na płycie lotniska Maja dostrzegła sylwetki wyciągające szyje z ciekawości, ponieważ jej koledzy i koleżanki, którzy nie zajęli jeszcze miejsca w punkcie obserwacyjnym, zaczęli się zastanawiać, co się stało. Gdzieś zza pleców dobiegł ją głos Fergala:

–Rozmyśliłaś się, Maja?

–Taka obowiązywała wtedy procedura ponownego rozruchu – odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. – Rozruch – zwróciła się do Drugiej Mai.

–Włączam.

Znów pojawiło się drżenie i silnik zaskoczył z jękiem. Tym razem wydawał jednostajny dźwięk.

–Czas?

–Siódma czternaście.

–Doskonale. Włączyć silnik numer trzy.

–Włączam. Mieszanka wzbogacona.

–Silnik numer cztery?

–Włączam.

–Osłona kabiny – powiedziała Maja, a jej współpracowniczka sięgnęła ręką i nacisnęła dźwignię. Wstrząs powtórzył się przy uruchamianiu każdego silnika, a ich wycia nie zagłuszyła nawet szczelna osłona kabiny, chociaż dźwięk zmienił nieco barwę w kabine ciśnieniowej. Maja przełknęła kilka krotknie, aż odetkały się jej uszy.

–Wszystko? – spytała Drugą Maję.

–Tylko ruszać w drogę.

–No to ruszajmy – zdecydowała Maja, obejmując rękami stery. – Usunąć podstawki hamulcowe.

Podstawki zniknęły. Powoli, centymetr po centymetrze, Rosweisse zaczęła sunąć po pasie, nabierając prędkości.

–Wieża kontrolna Muroc, tu AV-1 – odezwała się Maja.

Zawsze się uśmiechała, wywołując ich. – „Wieża kontrolna” w rzeczywistości składała się z pojedynczego aluminiowego baraku wyposażonego w radio oraz znużonego oficera dyżurnego.

–AV-1, masz pozwolenie na pas cztery lewy. Start według uznania – powiedział suchy głos: kolejny właściciel międzynarodowego akcentu kontrolerów ruchu lotniczego, identycznego na całym świecie.

–Przyjęłam, Kontrola Muroc, dziękuję i życzę miłego dnia – powiedziała Maja, szczęśliwa, że nie musi mówić nic więcej. W ustach miała tak sucho, że nie mogła przełknąć. Skupiła się na kołowaniu, co było dość trudnym zadaniem. Na tak wczesnym etapie prac nad Valkyrie nie wiedzano jeszcze, dlaczego samolot sprawia problemy przy kołowaniu. Trzeba było kilkuset metrów, żeby zahamować przy prędkości zaledwie ośmiu kilometrów na godzinę. Maja mogła jedynie zacisnąć zęby, podobnie jak jej odpowiedniczka, co widać było po jej wyrazie twarzy. – Zbliży się koniec jeden zero – powiedziała Druga Maja po chwili, głosem zabawnie wibrującym od podskakującego samolotu.

–Skręt w lewo o dziewięćdziesiąt stopni na końcu czwórki – powiedziała Maja. Jej

sobowtór pokiwał głową.

Znały tę procedurę na pamięć.

Trzęsły się i trzęsły i trzęsły, aż wreszcie pojawił się zakręt.

–Czy kiedykolwiek ustalili, co było przyczyną drgań podczas kołowania? – spytał Alain.

–Z tego co wiem, nie – odpowiedziała Maja. – Podejrzewam, że wszyscy piloci, którzy latali na tej maszynie, potrzebowali sztucznych szczęk po odejściu na emeryturę.

Maja przyhamowała lekko, kiedy zbliżyły się do skrętu. Drgania nasiliły się, tak jak zawsze w tym momencie, po czym zelżały nieco, kiedy wyjechały na prostą. Jazda pasem startowym trwała dłuższą chwilę, ale żaden z obserwatorów nie odezwał się ani słowem. Byli przyzwyczajeni do długich chwil oczekiwania w przypadku niektórych symulacji, ponieważ wiele wyjątkowych zdarzeń składało się z krótkich momentów gorączkowej akcji, przeplatanych dłużyznami. – Obróćmy ją – powiedziała wreszcie

Maja do swojego sobowtóra. Valkyrie skręcała z trudem – jej hydraulika nie najlepiej się sprawdzała przy tak małych kątach.

Po kilku minutach – Maja nie śpieszyła się, ponieważ nie chciała, żeby drgania się nasiliły – ustawiły samolot na czwartym lewym pasie i na chwilę zapanował całkowity bezruch. Spojrzała na rozległy, srebrzysty obszar wyschniętego słonego jeziora, rozciągający się przed ich oczami. Mimo tak wczesnej pory, wysoka temperatura wprawiała powietrze na tle gór w drgania, nadając im nierealne i niewyraźne kształty.

–Czas? – spytała Maja.

–Ósma dwadzieścia cztery.

–Nieźle – powiedziała Maja, ponieważ dokładnie o tej porze testowy lot Valkyrie wszedł w fazę startu. Sięgnęła na prawo do sześciu dźwigni, objęła je ręką, upewniła się, że ma wszystkie – w końcu było ich sporo. – Gotowa?

–Gotowa!

Czyżby ten drugi głos też stał się nieco chropowaty z emocji? Maja uśmiechnęła się szeroko i pchnęła dźwignie ciągu do krańcowej pozycji przed włączeniem dopalacza.

Rosweisse zaczęła się toczyć. Wstrząsy wyraźnie się nasiliły, ale wraz ze wzrostem prędkości zaczęły zanikać i nagle zupełnie ustały. – Dwadzieścia kilometrów na godzinę – powiedziała Druga Maja. – Trzydzieści. Czterdzieści...

Maja przełknęła ślinę, po raz ostatni zerkając na wskaźnik prędkości naziemnej i prędkościomierz. – Osiemdziesiąt... Huk silników zagłuszył hałas opon jadących po nawierzchni pasa. Dało się już wyczuć tę subtelną zmianę w samolocie, tę lekkość, wrażenie, że chce się oderwać, pewność, że zrobi to w każdej chwili, że walczy z przyciąganiem i wygrywa. – Sto sześćdziesiąt. Sto dziewięćdziesiąt, dwieście...

–V1* – oznajmiła Maja, wpatrując się w śmigającą za oknem, srebrzystą nawierzchnię, zbyt szybko, żeby można było zatrzymać na czymś wzrok na dłużej, jeśli znajdowało się dalej niż piętnaście metrów. Minęły drzewa, wyglądające jak figurki z patyczków, kiedy samolot osiągnął prędkość przeciągnięcia i nadal ją

zwiększał. Skrzydła wgryzały się w powietrze, a cały kadłub trząsał się nieco od przedstartowych turbulencji. Tylko góry przed nimi wyglądały na nie wzruszone. – Dwieście pięćdziesiąt.

Maja próbowała przełknąć, ale się jej nie udało. – Zbliżamy się do V2 – oznajmiła, mocniej zaciskając rękę na sterach.

–Dwieście osiemdziesiąt. V2.

Maja pochyliła się do przodu, uważnie obserwując wskaźnik kąta natarcia. Niewielkie przekroczenie dopuszczalnej normy i Valkyrie przewróci się na plecy; już kilkakrotnie próbowała to zrobić. – Kąt natarcia dziewięć stopni.

Nos zaczął się unosić. Z tyłu za nimi nagle wzmógł się hałas, kiedy przednia goleń oderwała się od ziemi. Stery zadrżały Mai w rękach. Trzymała je mocno, podczas gdy wydawało się jej, że fotel, na którym siedzi, cofa się.

Nagle hałas ucichł. Huk silników pozostał daleko w tyle, a Maja czuła tylko ten cudowny, nieustający pęd do góry, coraz dalej od pasa startowego. Nad nasadami skrzydeł Valkyrie pojawiły się smugi kondensacyjne i utworzyły za samolotem dwa warkocze. – Czteryzeropięć – powiedziała Druga Maja.

–Przyjęłam – odpowiedziała Maja. Na razie odwzorowywały oryginalny lot w najistotniejszych szczegółach.

–Zwiększam pułap.

–Nos przechodzi na auto.

–Przejdź na trzyjedenzero i tak zostań. – Maja nadepnęła na pedał orczyka, kiedy podniósł się opuszczony pod czas kołowania nos samolotu i przesunęła stery w prawo oraz odepchnęła je od siebie. Silniki zareagowały natychmiast i bez najmniejszego wysiłku. Istniała ogromna różnica pomiędzy zachowaniem tej maszyny na ziemi – gdzie poruszała się niczym tłusta krowa – a sposobem w jaki latała. Maja odwróciła się i popatrzyła na eskortujące ją samoloty, które na razie bez wysiłku utrzymywały prędkość Valkyrie. Niedługo pokaże im, na co ją stać.

–Wysokość dwa tysiące – powiedziała, żeby zarejestrować dane oraz na potrzeby widowni, schowanej za nią w jednym z F-104, lecącym najbliżej jej lewego skrzydła.

–Skrzydła na dwadzieścia pięć stopni.

–Zablokowane.

–Muroc, kurs jedenpięćzero.

–Przyjąłem, AV-1, macie zezwolenie na jedenpięćzero.

Umieściła dźwignie w pozycji pełnego dopalania i skierowała się na zachód, nad wyschnięte koryto jeziora, szybko nabierając wysokości. Valkyrie zaczynała się czuć jak ryba w wodzie.

–Wznosi się jak nietoperz – zauważył Sander.

–To jeszcze nic – powiedziała Maja. – Podskoczmy pół kilometra w górę w niecałe dziesięć sekund. Ona lubi wspinaczkę... to dzięki nowatorskiej konstrukcji skrzydeł. – Maja rzeczywiście musiała pilnować, żeby samolot nie wznosił się zbyt stromo – kiedy dopalacze pracowały na pełen gaz, Rosweisse reagowała na stery aż nadto entuzjastycznie. To skłaniało Maję do spekulacji, czy Valkyrie poradziłyby sobie z manewrem „kobra”. Prędkość nie stanowiłaby problemu, natomiast

wytrzymałość płatowca stała pod znakiem zapytania. W każdym razie Maja nie zamierzała przekonać się o tym ani przypadkiem, ani celowo podczas tego konkretnego lotu. Delikatnie cofnęła dźwignie ciągu, ale dla Rosweisse nic to nie znaczyło – nadal pięła się do góry, odpychając na boki powietrze. – Wzrasta temperatura kadłuba – poinformowała ją Druga Maja, zerkając przez ramię, żeby sprawdzić, czy uda się jej zobaczyć specyficzne zjawisko „gęsiej skórki”, które w takich wypadkach pojawia się na pokryciu kadłuba.

–Osiemdziesiąt stopni Celsjusza.

–Brzmi nieźle. Zwiększamy prędkość – powiedziała Maja. – Wciąż się wznosimy.

Muroc, AV-1, zmiana kursu na trzyzerozero.

–Zezwolenie na trzyzerozero, AV-1.

–Temperatura kadłuba 90 stopni – oznajmiła Druga Maja, patrząc przez szybę kabiny pilotów na błękit nieba.

Pustynia pod nimi rozciągała się jak nieskończenie wielki brązowy dywan.

–Skrzydła do sześćdziesięciu pięciu stopni – powiedziała Maja.

–Zablokowane.

–Sześćset kilometrów na godzinę.

Przyśpieszenie było imponujące. Maję wbijało w fotel. Uwielbiała to. To chyba nie najlepszy moment, żeby spróbować przekonać ich do Wagnera, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Nie raz już rozkoszowała się rykiem silników, któremu akompaniował wagnerowski „Cwał Walkirii”, pełna wersja z chórem. Ten nieokiełznany stwór, przecinający wyższe obszary stratosfery, nierzadko wytwarzając wyładowania elektrostatyczne, kiedy przebijał chmury na mniejszych wysokościach, doskonale pasował do opisu swoich imienniczek: szybkich, śmiertelnie niebezpiecznych, a jednocześnie na swój sposób radosnych. Po raz kolejny Mai zrobiło się szkoda, że nie wyprodukowano więcej egzemplarzy, żeby ludzie walczący w szlachetnym celu mieli taką broń... a w wolnych chwilach możliwość rozkoszowania się lataniem na takiej maszynie; piloci przyznaliby się do tego tylko kolegom po fachu.

–Siedemset – poinformowała ją Druga Maja. – Dziewięćset.

Pojawiły się lekkie wstrząsy, nic poważnego. XB-70 doświadczało jedynie w niewielkim stopniu kłopotów z lotem poddźwiękowym w porównaniu z mniejszą kuzynką X o niższym numerze, częściowo dlatego, że była masywniejsza oraz dlatego, że fala zgęszczeniowa radykalnie zmieniała czołową falę uderzeniową podczas przekraczania bariery dźwięku.

–Tysiąc. Temperatura powietrza?

–Minus pięćdziesiąt.

–Zbliżamy się do bariery dźwięku.

Rozległy się dwa stłumione odgłosy i wzdłuż kadłuba Valkyrie przetoczyła się fala uderzeniowa. Wstrząsy wewnątrz kabiny pilotów ustały, nawet silniki zdawały się pracować ciszej, przez co hałasy wytwarzane przez kadłub stały się wyraźniejsze.

–Jeden mach – powiedziała Maja. – Jeden przecinek dwa.

Z punktu obserwacyjnego za jej plecami rozległy się entuzjastyczne okrzyki. –

Och, dajcie spokój – powiedziała Maja – nataką prędkość potrafią się rozpedzić nawet pojazdy czterokołowe.

Pchnęła lekko dźwignie do przodu. Po przekroczeniu bariery dźwięku, nabieranie prędkości stało się jeszcze prostsze – zupełnie jakby samolot przedtem znajdował się w wodzie, a teraz wydostał się na powietrze nagłym skokiem. To jej żywioł, pomyślała Maja, do tego została stworzona... do życia powyżej jednego macha. – Jeden przecinek trzy – powiedziała. – Jeden przecinek pięć...

Rozległ się alarm. Maja gwałtownie obróciła się. To nie był żaden z alarmów, które pojawiły się podczas pierwszego lotu; nic nie powinno zdarzyć się do czasu, aż...

–To napęd – powiedziała Druga Maja. Wydawało się, że jest równie przejęta.

–Co się dzieje? – Maja z całych sił ścisnęła stery. Samolot nie przejawiał na razie żadnych niepokojących oznak.

–Awaria dławików. Wloty dwa i trzy.

–Jakie obroty?

–Dwójka pokazuje dziewięćdziesiąt osiem procent.

To akurat zdarzyło się podczas prawdziwego lotu. Oblatywacze wyłączyli ten silnik, kiedy łopatki turbiny zaczęły się przegrzewać. – Wyłącz go – powiedziała Maja.

–Sprawdź czy to jakoś wpłynie na dławiki w trójce.

Druga Maja sięgnęła do dźwigni drugiego silnika i wolno go wyłączyła, a następnie przerzuciła główny włącznik. Valkyrie podskoczyła lekko jak na wyboistej drodze. Tego można się było spodziewać, ponieważ fala zgęszczeniowa o zmienionej konfiguracji otoczyła kadłub samolotu. – Co się dzieje z trójką?

Rozległ się kolejny, głośniejszy alarm. – Niedobrze – odpowiedziała Druga Maja. – Temperatura na czerwonym polu.

Maja poczuła falę gorąca, ale tym razem nie ze wstydu. Valkyrie zaczynały opanowywać wibracje tak silne, jakie spotyka się na ziemi, ale na pewno nie w czasie lotu.

Kłopoty. I to duże. A żaden z nich nie pochodził ze scenariusza.

Tam na wszystko była przygotowana...

–Pożar w jedyńce! – zaalarmowała ją Druga Maja.

–Szóstka traci...

Bum! Rozległ się huk powietrza na zewnątrz. Samolot wracał do prędkości poddźwiękowej, i to w sposób niekontrolowany. Nos zaczął opadać coraz bardziej i bardziej. Maja ciągnęła stery, ale bez widocznych rezultatów.

–Trójka nie działa! – krzyknęła Druga Maja, podczas gdy samolot leciał na łeb na szyję w kierunku ziemi. – Piątka nie działa!

Ziemia pod nimi kręciła się jak staroświecka płyta kompaktowa. Tylko że nie była pod nimi, a nad nimi, widoczna przez dach osłony kabiny pilotów. I zbliżała się z dużą prędkością. Maja i jej sobowtór wisiały na pasach. Bombowiec wpadł w odwrócony, płaski korkociąg.

Maja pociągnęła na siebie stery i trzymała je tak, chociaż wrywały się jak piskorz. O, nie, nie uda ci się, pomyślała i trzymała je z ponurą determinacją. Jej sobowtór po drugiej stronie kabiny pilotów robił dokładnie to samo. – Sztuczny

horyzont zwariował! – krzyknęła.

–A co innego miał zrobić?

Maja czuła mdłości i cieszyła się w duchu, że nie miała czasu zjeść śniadania. – Przeciążenie! – krzyknęła do komputera, który natychmiast wykonał polecenie i zniwelował siły odśrodkowe, które wkrótce przepchnęłyby jej krew do dolnej części ciała.

Maja potrząsała głową do momentu, aż odzyskała jasność myśli i skupiła się na dzikich podrygach sterów, starając się zignorować ból w ramionach.

Ciągnęła stery z całych sił. Wydostanie się z dwuwymiarowego korkociągu jest praktycznie niemożliwe. W przypadku korkociągu prostego szansę nieco wzrastają. Zakładając, że starczy pułapu. Obecnie wysokościomierz pokazywał 7000 metrów, a spadała w tempie 250 metrów na sekundę. To daje mniej niż pół minuty. Ciągnęła stery niczym lejce wyjątkowo narowistego, spanikowanego konia.

Przerażający, wirujący widok nieba ustąpił miejsca jeszcze bardziej przerażającemu widokowi nieba pół na pół z ziemią. No dalej, mówiła w myślach Maja, wciąż nie zwalniając uchwytu, no dalej...

Jedyne czego chciała, to zobaczyć tę brązową ziemię przed nosem samolotu. Z tym sobie poradzi. Hydraulika nadal działała, pedały orczyka też, chociaż z pewnym trudem. Gdzieś w głębi słyszała głos, „Upewnij się, że wciąż jesteś nad słonym jeziorem. Nie spadnij gdzieś, gdzie mogą być ludzie”.

Naciskała przez cały czas lewy pedał orczyka i ciągnęła stery.

Wysokościomierz wskazywał 6000, 5000, 4000 metrów, zostawiając jej niewielkie pole manewru. Ziemia zajmowała coraz większą część szyby kabiny pilotów, niebo coraz mniejszą, podczas gdy Maja niezmordowanie ciągnęła za stery. Wreszcie ziemia całkowicie wypełniła szybę przed jej oczami. Tego właśnie chciała.

–Teraz – powiedziała do swojego sobowtóra i odepchnęła od siebie stery.

Nic.

3000, 2000...

–Katapultujemy się! – wrzasnęła Druga Maja.

–Takiej opcji nie przewiduję – powiedziała Maja. – To tylko symulacja. Tu nie można umrzeć. A ja nie pozwolę, żeby Valkyrie rozbiła się w ten sposób. – Nie było już widać nieba. Tylko ziemię, ale korkociąg stawał się nieco wolniejszy...

1000.

Na wysokości dziewięciuset metrów odpadło lewe skrzydło – najpierw końcówka, potem u nasady. Mimo rewolucyjnej konstrukcji, nie przewidziano, że samolot będzie musiał znosić tak ekstremalne przeciążenia. Maja zacisnęła zęby i wzmocniła chwyt na sterach.

Nic innego jej nie pozostało...

Utrata skrzydła paradoksalnie zmniejszyła nieco prędkość spadania, tak że Maja miała okazję rzucić okiem na wysokościomierz, który wskazywał trzysta metrów, a potem... Ciemność. Wszystko przez chwilę było całkowicie czarne. Maja słyszała jedynie szalone bicie własnego serca. Potem znów pojawił się świat, tyle że widziała go z pozycji pilota samolotu obserwacyjnego. Daleko pod nią coś paliło się między drzewami. Valkyrie miała wciąż prawie cały zapas paliwa. Sporo czasu upłynie zanim wypali się nafta lotnicza.

Tło symulacji dostosowało się do powstałego błędu, ponieważ komputer Mai, obsługujący jej laboratorium zarejestrował fakt, iż centralny przedmiot symulacji przestał istnieć. Maja stała teraz około półtora kilometra od miejsca wypadku, tam gdzie przed wschodem słońca znajdowała się Valkyrie, a pozostali członkowie grupy szli w jej kierunku. Patrzyła, jak się do niej zbliżają, starając się uspokoić oddech.

Każdy z nich miał inny wyraz twarzy. Wysoki, ciemny Bob był zupełnie skonsternowany, jakby na jego oczach księżyc spadł z nieba; uroczą Mairead też zmieniła się na twarzy, i szła ze zmarszczonymi brwiami, które równie dobrze mogły oznaczać zdziwienie co niezadowolenie; szeroka twarz Fergala przedstawiała wizerunek osoby nie mogącej się zdecydować, czy pokazać po sobie rozbawienie czy bezmierny smutek. Kelly wyglądał na zrezygnowanego, nie tylko z powodu klęski Mai, ale i swoich własnych, które ostatnio dość często mu się zdarzały. Sander był wkurzony, ale nie na Maję, tylko na Alaina, który ewidentnie świetnie bawił się całą sytuacją. Z twarzy Chin nie dało się odczytać zupełnie nic, natomiast Roddy...

Maja przełknęła z trudem. Byli już blisko – grupa jej rówieśników, na których opinii – przynajmniej w tej dziedzinie – najbardziej polegała... i na oczach których poniosła tak haniebną klęskę.

Zebrali się wokół niej.

–Co to było? – spytała Chin.

Maja pokręciła głową. – Nie wiem. Wypadek.

–Albo jakiś błąd w twoim oprogramowaniu – powiedział Alain, wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy.

Z przyjemnością startaby mu go pięścią, ale to nie było w jej stylu. Zamiast tego, powiedziała tylko: – W takim razie mogłeś mi łaskawie wcześniej zwrócić uwagę na tak duży problem, chyba że sam go nie zauważyłeś.

Alain zamrugał oczami.

–Czy ktoś zauważył coś w oprogramowaniu Mai, co mogło spowodować katastrofę? – spytała Chin.

Wszyscy zaprzeczyli ruchem głowy... i Maja zanotowała, że tylko Roddy się nie poruszył, czujnie obserwując reakcję pozostałych.

–To bardzo skomplikowana symulacja – powiedział Fergal, przynajmniej do tego stopnia doceniając Maję. – Tysiące rzeczy mogło się nie udać. A prawdziwa maszyna rzeczywiście sprawiała pilotom mnóstwo kłopotów, prawda?

–Zgadza się – odpowiedziała Maja – ale nie takich.

–Więc nie masz pojęcia, co się stało.

Pokręciła głową, czując w głowie kompletny mętlik. Kelly westchnął. – Cóż – powiedział i spojrzał na pozostałych. – Nie możemy jej za to ocenić.

–A to niby czemu? – zaprotestował Alain.

Maja spojrzała na niego, ale swoje myśli zachowała dla siebie, chociaż z wielkim trudem. Przystojny, sympatyczny, uprzedzająco grzeczny Alain, który rzadko wypowiadał się na jakiś temat. I tylko czasem, kiedy wreszcie z czymś się zdradzał, okazywało się, że nie jest taki, na jakiego wygląda.

–Przedstawiła swoją symulację do oceny – powiedział Alain. – A ta zupełnie się nie udała. Czy nie powinniśmy tego ocenić?

–Grupa nie oceniła mnie – odezwał się Kelly – kiedy K12 otworzyła wszystkie zawory denne i zatoniła. To była totalna katastrofa... ale okazało się, że oprogramowanie zawierało błędy. Skąd wiemy, że w tym przypadku nie chodzi o to samo? Powinniśmy przynajmniej to sprawdzić.

Wszyscy spojrzeli po sobie. – To ma sens – zauważył Fergal. – Maja, będziesz chciała to sprawdzić?

–Uważam, że powinniśmy wziąć pod uwagę tylko to – wtrącił Alain, pokazując palcem czarną smugę dymu, unoszącą się w powietrze jakieś półtora kilometra od nich.

Spojrzał po pozostałych członkach grupy.

–Ktoś zgadza się ze zdaniem Alaina? – spytał Fergal.

Znów wszyscy spojrzeli po sobie. Mairead pokręciła głową. Chin, Bob i Sander też.

Maja odetchnęła. Szczęście w nieszczęściu, pomyślała. Ale i tym razem zauważyła, że Roddy zachowuje się z wyjątkową rezerwą.

–Mamy większość – powiedział Fergal. – Maja, lepiej przyjrzyj się temu jeszcze raz. Ocenimy cię ponownie, kiedy będziesz gotowa.

–Dobrze – zgodziła się Maja. – Dzięki.

Kilkoro z nich westchnęło i odwróciło się w kierunku słupa dymu w oddali.

Wtedy Roddy po raz pierwszy spojrzał Mai prosto w oczy.

–Mam nadzieję – powiedział – że to cię czegoś nauczy.

Spojrzała na niego zdumiona. – Co? O co ci chodzi?

–Mam nadzieję, że to cię nauczy, żebyś była ostrożniejsza. Jeśli pozwolisz, żeby inni manipulowali przy twoim oprogramowaniu... mogą ci się przydarzyć przykre

niespodzianki. A ty na takie nigdy nie jesteś przygotowana.

–Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz – powiedziała Maja, odwracając się od niego. – A ponieważ w większości przypadków ty również nie, to mamy remis. – Nie była w nastroju do wysłuchiwanie złośliwych komentarzy.

–Poza tym, jeśli to nie jest konstruktywna krytyka, to...

–Ależ jest – przerwał jej Roddy. – I bardzo mi ją ułatwiłaś. I nie tylko mnie. Sama się o to prosiłaś. – Roddy posłał jej uśmiech. Pozostali zaczęli powoli skupiać na nim spojrzenia. – Nie zabezpieczyłaś swojego oprogramowania, Maja. Umożliwiłaś dostęp do niego z Sieci, używając tylko jednego poziomu ochrony, tylko jednego hasła.

Maja patrzyła na niego osłupiała. – Chcesz powiedzieć... że je złamałeś?

–Daj spokój, Maja – powiedział Roddy. – Daty urodzin twoich dziadków, rodziców i rodzeństwa są dostępne dla osób postronnych. Twoja zresztą też, ale na szczęście nie ośmieszyłaś się do tego stopnia, żeby się nią posłużyć.

–Chwileczkę – włączył się do rozmowy Fergal. – Znowu zniszczyłeś czyjąś symulację?

Roddy zlekceważył jego uwagę. Tymczasem Maja nie znajdowała słów, żeby wyrazić swoje uczucia.

–Nie ustaliłaś też minimalnej ilości czasu do wykorzystania w twoim laboratorium – kontynuował Roddy.

–A co najważniejsze, nie porównałaś plików, zanim się nim dziś posłużyłaś. Gdybyś to zrobiła, zauważyłabyś zmiany, które wprowadziłem. – Uśmiechnął się szeroko.

–Nie byłem jednak taki nierozważny jak ty. Nie zostawiłem wyraźnych śladów swojej działalności. Rozrzuciłem moje podprocedury po całym twoim oprogramowaniu i zaszyfrowałem sekwencje uruchomienia. Nie miałabyś problemu z pozbyciem się ich. Nie zabierze ci to więcej niż miesiąc, bo w plikach rezerwowych zrobiłem to samo, więc je też będziesz musiała oczyścić. Nie zaszkodzi być dokładnym.

–Roddy – odezwała się China, podejrzanie wolno dobierając słowa. – Już raz odstawiłeś taki numer. Z Blackbirdem Boba, jeśli się nie mylę. Wtedy przyrzekałeś, że to się więcej nie powtórzy.

Roddy wzruszył ramionami. – Nie potraficie przyjąć konstruktywnej krytyki – powiedział. – Ja tylko pokazuję wam, że jesteście za bardzo zadowoleni z siebie, chcę was nauczyć lepiej się zabezpieczać i zachowywać się trochę bardziej profesjonalnie, a wy zaraz na mnie napadacie.

Trudno było w to uwierzyć, ale Roddy się do nich uśmiechał.

–Nie widzicie, że robię to dla waszego dobra? Kiedy wreszcie znajdziecie się w prawdziwym wirtualnym świecie, jeszcze będziecie mi dziękować.

–Na to bym nie liczyła – powiedziała Maja. – Nie podziękowałabym ci za ostatnią kroplę wody na pustyni, ty...

–Tak też myślałem. Nie potrafisz przyjąć tego jak należy. A ja sądziłem, że masz taki potencjał. Mój błąd... mniejsza z tym. Maju – powiedział prawie słodko Roddy –

może jednak powinnaś zająć się tylko grą na akordeonie.

Utkwiła w nim wściekle spojrzenie, ale Roddy prawie natychmiast wyniósł się z jej symulacji.

Maja spojrzała na twarze pozostałych członków grupy. Bob powiedział zdezorientowany: – Nie wiedziałem, że grasz na akordeonie.

–To – zaczęła Maja – jeden z niewielu instrumentów, na których nie umiem grać. Nie zgadzam się zostać królową póleczki w Wirginii. A ten paskudny, mały... Możecie w to uwierzyć?! Możecie uwierzyć w ten stek bzdur?!

O mało nie wyszła ze skóry, czym wprawiła w osłupienie nie przyzwyczajonych do takiego widoku kolegów.

–Ponieważ to nie twój błąd spowodował problem w symulacji – powiedział Fergal – to oczywiste, że nie będziemy się upierać przy jej ocenie. Przykro mi, że tak się stało, Maju.

Parę innych osób też wyraziło jej współczucie. Tylko Alain zachował kamienną twarz.

–No dobrze, a co z Roddym? – spytała Chin. – Pozwolimy, żeby taki numer znów uszedł mu na sucho?

Maja była jej dogłębnie wdzięczna, że sama nie musiała tego powiedzieć.

Sander pokręcił głową. – Sam nie wiem – zaczął wolno, jak zwykle, kiedy nie był pewien, co myśleć o jakiejś sprawie – ale może on w pewnym sensie ma rację? Może Maja powinna była być ostrożniejsza? – Odwrócił się od niej.

–No, bo daj spokój, urodziny babci? To jedno z pierwszych haseł, które wypróbowałyby haker, gdyby cokolwiek o tobie wiedział. Może Roddy rzeczywiście zrobił ci przysługę.

Maja spojrzała na szeroką, rozsądną twarz Sandera, zasłoniętą częściowo blond czupryną i tylko pokręciła głową. – Nie mogę uwierzyć, że dałeś się nabrać na takie rozumowanie. Nie uważasz, że w prawdziwym świecie wybrałabym hasło, którego nikt by tak łatwo nie odgadł?

–Ale to praktyka przed wejściem w prawdziwy świat – zauważył Kelly.

–Może i tak, ale wciąż tylko praktyka! I wszyscy się na to zgodziliśmy! Posłuchajcie, to ma być bezpieczne miejsce do symulowania. Mamy surowo oceniać nawzajem własne prace, to prawda, ale nie niszczyć ich!

–A teraz mamy do czynienia z taką samą sytuacją, jak w moim przypadku – powiedział Bob. – Z tym samym podejściem. „Dla twojego dobra”, „Nie znasz się na żartach, czy co?”. Tak się rozmawia na placu zabaw, kiedy spycha się drugie dziecko z karuzeli. Szkoda, że nie nazwał Mai beksą. Dziwię się, że o tym zapomniał.

Alain prychnął i odwrócił się. – I mało by się pomylił, Bob. Ty wciąż przeżywasz to, co ci zrobił. A teraz Maja idzie za twoim przykładem. A problem polega na tym, Maja, że załatwił cię uczciwie... a ty po prostu nie potrafisz przegrywać. Nie robisz czegoś jak należy, a kiedy ponosisz konsekwencje własnych błędów, nie potrafisz się z nimi pogodzić.

Maja odwróciła się w jego stronę tak gwałtownie, że aż cofnął się o krok, mimo iż znajdowali się w świecie wirtualnym. – Nie bawiłabym się na twoim miejscu w

dogłębne analizy – powiedziała spokojnie – ponieważ nie oferujesz sensownych rozwiązań. Roddy ma paskudny charakter i, jakby tego było mało, ty zawsze przekonujesz wszystkich, jaki to z niego geniusz. No więc jest błyskotliwy! Jego szczęście, niech mu to przyniesie sławę i fortunę! Ale ty go jeszcze psujesz. Myślisz, że nie słyszę twoich perfidnych podszeptów na jego uszko? „No dalej, Roddy, pokaż im, co potrafisz. I tak zrobił. Stąd wziął się jego pomysł zniszczenia symulacji Boba. A teraz to, po twoich uwagach do Roddy'ego, „żeby sprawdził, czy ona potrafi osiągnąć coś w nieco bardziej wymagających warunkach”. Słyszałam, nie myśl sobie. Inni też. Nie wydaje wam się, że to może mieć jakiś związek?

–„Tylko praktyka” – powiedział Bob. – „Mały żart”.

Ładny mi żart.

Chin pokręciła głową. – Kiedyś to było śmieszne.

–Może dla ciebie – odciął się Bob. – Dla mnie na pewno nie.

–Cóż, mnie śmieszyło. – Chin poruszyła się niespokojnie, ale taka już była, mówiła prawdę do końca, nawet gdy czuła się przez to zakłopotana, czy też stawiała innych w niezręcznej sytuacji. – Jednak kiedy słyszysz po raz drugi ten sam dowcip, to już cię tak nie śmieszy. Ten na pewno nie był zabawny. A co będzie za trzecim razem? Kto z nas padnie jego ofiarą? A za czwartym?

Parę osób pokiwało głowami.

–Więc co robimy? – powiedziała Mairead.

–Wyślijmy go do Coventry – powiedziała Chin.

Coventry, kurka wodna, wysłać go do paki! – pomyślała natychmiast Maja. To, co zrobił, było nielegalne! Z drugiej strony, chyba nie chciałyby ponosić odpowiedzialności za wysłanie kogoś do więzienia, bez względu na to, jak humanitarne były podobno współczesne więzienia.

Ale jeśli postąpił nielegalnie z moją symulacją, co zrobi następnym razem? Trzeba go powstrzymać, zanim to się stanie.

Zatrzymała się na dłuższą chwilę przy tej myśli. Może zachowuje się trochę paranoicznie. Jednak obrazek był kuszący: samochody policyjne hamujące z piskiem opon przed jego domem i...

Nie.

–Do Coventry? – spytał zdziwiony Fergal. – Gdzie to jest?

–To nie miejsce – odpowiedziała Chin. – To raczej stan umysłu. Żadnych kontaktów z Roddym. Totalna izolacja.

–Ale chyba nie na zawsze? – zapytał Fergal.

Maja pokręciła głową. – Nie. Kto wie, może się poprawi? Ale musi do niego dotrzeć, że nie wolno tak po prostu niszczyć czyichś symulacji, tylko dlatego, że się potrafi.

Fergal spojrzął po wszystkich. Cała grupa, z wyjątkiem Alaina spojrzała na niego i pokiwała głowami. – Dobrze – powiedział Fergal. – Nikt nie odpowiada na jego maile, nikt nie bawi się jego symulacjami, nikt nie ma z nim nic do czynienia, chyba że to konieczne dla naszej pracy lub w sytuacjach z rzeczywistego świata. A i to w stopniu minimalnym. Wyślę mu maila i przekażę, co postanowiliśmy.

–Musicie wyznaczyć czas – powiedział głucho Alain.

–Czas, kiedy kończy się jego kara.

–Nie musimy – powiedział Fergal, patrząc znowu po twarzach kolegów. – A niby czemu? Kara trwa, dopóki nie zdecydujemy inaczej. Jak mu to nie pasuje, to trudno.

–Spojrzał na Maję. – Czy to wydaje ci się sprawiedliwe? Maja znów poczuła, że robi się jej gorąco – ze wstydu i innego uczucia, którego nie potrafiła rozpoznać. – Mną się nie przejmujcie. Przeżyję.

–Przeżyjesz, to prawda – powiedziała Chin. – Ale kto wie, ile czasu zajmie ci odpluskwanie symulacji. Roddy jest dobry.

To akurat nie podlegało dyskusji i Mai też nie dawało spokoju.

–Więc jego kara skończy się, kiedy Maja usunie wirusy – zawyrokował Sander.

Fergal z namysłem pokiwał głową. – Dobrze i lepiej skończmy już spotkanie.

Członkowie grupy pożegnali się i zaczęli znikać jeden po drugim.

Alain wyniósł się z VR jako pierwszy, ale wcześniej rzucił Mai spojrzenie, od którego poczuła się nieswojo: jakby to w pewnym sensie była jej wina, że Roddy zrobił to, co zrobił. Nie mam zamiaru czuć wyrzutów sumienia z tego powodu, pomyślała i po raz ostatni rozejrzała się po pustynnym krajobrazie wczesnego poranka, gdzie przedrzeźniacz wciąż prezentował wyjątki z albumu Pierwszej Dziesiątki Listy Przebojów Południowych Ptaszków, a słup dymu nadal unosił się w stronę błękitnego nieba, przełamując jego nieskazitelną urodę. – Trzymaj się, laleczko – powiedziała cicho i wymówiła hasło, które przeniosło ją z VR do rzeczywistości.

Świat wirtualny rozpląnął się, a na jego miejscu powoli zmaterializował się duży rodzinny salon. Półki z książkami i meble tonęły w mroku, ponieważ w pomieszczeniu paliło się tylko jedno światło, stojące w najbliższym rogu pokoju, przy komputerach. Była to właśnie ta lampka, pod którą ustawił się jej tata, kiedy z nią rozmawiał. Nigdzie go nie było widać i wcale się go teraz nie spodziewała. Miał w planach kolację służbową, związaną ze stowarzyszeniem absolwentów uniwersytetu Georgetown, którą określił z humorem jako „jeden z tych uciążliwych obowiązków”.

Maja wstała z fotela i przeciągnęła się, jęcząc cicho. Bolały ją mięśnie, pomimo iż system poddawał je ćwiczeniom izometrycznym, żeby pracowały podczas długich okresów bezruchu. To pewnie somatyczne, pomyślała. Mam zakwasy, ale raczej ze wściekłości na Roddy'ego.

Westchnęła. O kurczę, zapomniałam o przepisie na piernik. Nie miała ochoty wracać do VR, ale obiecała to mamie. Usiadła z powrotem w fotelu, podłączyła się za pośrednictwem implantu z komputerem i poczuła lekki wstrząs, kiedy łącze nerwowe weszło w kontakt z maszyną. Wstała z fotela – oczywiście w wirtualnym świecie – i podeszła do drzwi, które znajdowały się na wprost niej.

Daleko przed nią widniał zalesiony krajobraz: wizualny i dotykowy obraz obszaru, gdzie jej matka przechowywała wirtualne informacje. Był to las sekwoi, wspaniałych drzew strzelających we wszystkie strony gałęzmi. Odgłos kroków tłumilo igliwie. Przez zielonkawy cień przebiło się światło słoneczne, a z oddali dochodziły ciche trele ptactwa, zupełnie jakby śpiewacy ćwiczyli przed występem w chórze.

Maja знаła dość dobrze ten teren. W lesie znajdowały się wąskie ścieżki, niektóre wydeptane bardziej niż pozostałe. Wybrała jedną z nich, która wyglądała na często używaną w ostatnich dniach i skręciła w nią za jednym z większych drzew.

Nieopodal na polance stała chatka z piernika – domek w alpejskim stylu. Dach niczym śniegiem pokryty był lukrem, a marcepanowy kamień podtrzymywał dachówkę z miętowego wafla. Z dachu zwisały cukrowe sopele. Okna miały łuki z cukrowych lasek, a szyby z topionego cukru przedstawiały sceny z bajek. Natomiast drzwi wyglądały na zrobione z czekolady i zostały „wzmocnione” lukrecją na krawędziach, zawiasach i klamkach. Pod niskim okapem z jednej strony leżało starannie pocięte i ułożone w kupkę drewno na kominek.

Maja spojrzała na ten obrazek i westchnęła. Ktokolwiek inny, pomyślała, dołączyłby do przepisu ikonkę, żeby móc go łatwo znaleźć, ale nie moja matka...

Jej matka tworzyła systemy komputerowe na zamówienie i była w tym bardzo dobra – ale czasem miała osobliwe poczucie humoru, zaś jej definicja „oprogramowania zorientowanego na przedmioty” nie spotykała się z powszechnym zrozumieniem. Maja jednak widziała ją już przedtem. Lasy w wirtualnym miejscu pracy jej mamy pełne były nie tylko symboli przedmiotów, ale też samych przedmiotów: nie małych rzeczy symbolizujących duże, ale dużych symbolizujących małe. Całe szczęście, że przestrzeń wirtualna praktycznie nie ma granic. Inaczej zrobiłoby się dość tłoczno. Pomijając już rozmiary, przestrzeń wirtualna jej mamy przypominała Mai czasem park rozrywki.

Maja skrzywiła się i podeszła do domku. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym sięgnęła ręką do jednej z okiennic, delikatnej konstrukcji z prasowanego marcepana, udającego deseczki. Odłamała kawałek. „Makroikonki” autorstwa jej mamy zawsze były holograficzne: kawałek jednej mógł odtworzyć całość.

Nagle poruszyła się klamka z lukrecji i czekoladowe drzwi otworzyły się na oścież. Maja zobaczyła staruszkę o pomarszczonej, ale przyjacielskiej twarzy, ubraną w długą, granatową spódnicę, białą bluzkę i wyszywaną kamizelkę.

–Kto to skubie mój domek? – zapytała staruszka.

Maja spojrzała na nią niechętnie. – Spływaj, babciu – powiedziała. – Albo ci pokażę, jak się sprawdza, czy piekarnik się nie przegrzał.

Czarownica zrobiła kwaśną minę. – Ach, ta dzisiejsza młodzież – mruknęła i trzasnęła drzwiami.

Maja westchnęła. – A żebyś wiedziała – powiedziała i poszła z powrotem przez las. Pomiędzy drzewami znalazła ocynkowany pojemnik na odpadki z napisem KUCHNIA.

Wrzuciła tam kawałek cukru, westchnęła i ciężkim krokiem wróciła ścieżką do prawdziwego świata. Czeką ją mnóstwo pracy, jeśli Roddy zrobił połowę tego, czego się obawiała. A odbudowywanie najlepiej zacząć natychmiast...

Dwa tygodnie później Alain Thurston szedł energicznym krokiem po wirtualnych peryferiach Sieci, uśmiechając się do siebie pod nosem. Krajobraz bezbarwnych, szarych równin i nagich pagórków smagany był wiatrem zwiastującym potężną burzę, która brała swój początek w górach leżących nieopodal. Spiczaste groźne szczyty nie wyglądały zbyt przyjacielsko. Doliny między nimi były mroczne, nie licząc

stałowoszaręgo blasku gromadzących się nad nimi chmur. Krajobraz sprawiał wrażenie dzieła podrzędnego pisarza fantasy, cierpiącego na niestrawność lub nadmiar Czarnych Charakterów, które trzeba gdzieś upchnąć.

Alain wiedział, co kryje się wśród tych gór i nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu, idąc do podnóża największej góry o kamienistym zboczu, kończącej masyw. Będzie ubaw, pomyślał. Biedny Roddy...

Alain uważał się za jedną z tych osób, dla których stworzono Sieć. Poza rzeczywistością wirtualną spędzał niezbędne minimum.

Szkoła – na nią nie mógł nic poradzić. Jeszcze przez półtora roku od niej się nie uwolni. Rzecz jasna, niebezpieczeństwo koledżu wisiało nad nim jak czarna chmura... ale Alain już zaczął urabiać starych w tej kwestii. Okazali się głusi na jego protesty, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż dyplom. Matka nie przestawała podkreślać znaczenia wyższego wykształcenia i nudziła na ten temat tak długo, że omal nie zwariował. Dlatego też opracował plan wymigania się od dalszej nauki, systematycznie obniżając oceny.

Tym się zbytnio nie przejmował. Wiedział, że jest inteligentny – co, niestety, nie umknęło też uwadze jego wychowawcy. Alain nie widział sposobu, żeby uwolnić się od narzekań pana Macllwaina i samej szkoły. W związku z tym nie zamierzał spędzić kolejnych czterech lat waląc głową w ścianę głupawych nauczycieli, kiedy wielki świat biznesu, wolności i pieniędzy znajdował się tuż tuż.

Alain święcie wierzył, że kiedy przyjdzie mu ochota zacząć coś robić, na przykład znaleźć sobie pracę, nie będzie miał z tym najmniejszego problemu. Już teraz nieźle mu szło opracowywanie symulacji, a mnóstwo firm potrzebowało takich ludzi. Na razie miał wystarczającą ilość pieniędzy – ojciec wciąż dawał mu kieszonkowe, a jedynym mankamentem były dołączane do niego kazania na temat jego nagannej postawy.

Dokładnie za rok otrzyma ostateczne wyniki końcowych egzaminów, jasny dowód na to, że nie przyjmie go żaden szanujący się uniwersytet, spełniający oczekiwania jego ojca. I to będzie koniec kłopotów Alaina ze szkołą. Zaraz potem Alain wyprowadzi się z domu, znajdzie pracę, odniesie sukces, oczywiście zbije fortunę i wszystko dobrze się skończy.

Może nawet zdecyduje się wstąpić do Net Force. Ma tam znajomą, piękną Rachel Halloran, która go wprowadzi, a myśl o kontaktach z bardzo potężną organizacją wirtualnego świata wydawała się kusząca. Jednak, nie licząc potęgi i prestiżu łączącego się z przynależnością do Net Force, nie był pewien, czy coś takiego mu odpowiada. Niepokoiła go myśl, że ktoś będzie mu wydawał rozkazy.

Wolałby się najpierw upewnić, że sam jest panem swojego życia. W prawdziwym świecie będzie rządził, tego był pewien. Nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże starszkom jak bardzo się mylili w stosunku do niego. Najpierw jednak musi skończyć szkołę średnią. Starczy mu czasu, żeby wszystko dokładnie zaplanować. Póki co, obijał się jak mógł. Codziennie chodził do szkoły i zajmował wyznaczone miejsce podczas zajęć, wykonując tylko niezbędne minimum w realnym i wirtualnym wymiarze – czyli nie za wiele. To podejście nazywał wraz z kumplami Planem

Minimalnych Szkód, co znaczyło, że idzie na rękę władzom szkolnym tylko w takim stopniu, który zapewnia, że degradacji ulegnie znikoma liczba jego szarych komórek, w większości zajętych bardziej lukratywnymi pracami, na przykład symulowaniem.

Alain natknął się na Siódemkę ponad rok temu, kiedy włączył się po Sieci, odwiedzając otwarte grupy dyskusyjne, obecne w każdym niemal jej zakątku. Wtedy jeszcze Grupa symulowała publicznie, pod ogólnie dostępnym adresem virt.alt.gaming.simulations – co miało się wkrótce zmienić. Grupy dyskusyjne w hierarchii virt.alt.gaming.simulations nie stosowały żadnych ograniczeń, dlatego oprócz ludzi szczerze zainteresowanych tematem wysokiej jakości symulacji wirtualnych, należała do nich dużo większa grupa osób, czasem setki a nawet tysiące, którzy po prostu siedzieli tam słuchając wszystkiego, co mówiłeś i robiłeś, nic nie dając w zamian. Na dokładkę, podobnie jak w przypadku innych otwartych grup, tak i w virt.alt.gaming.simulations można się było natknąć na wszelkiego rodzaju świrusów, pokręconych typków, szaleńców i innych dziwaków, którzy jedynie zajmowali miejsce na dysku, naprzykrzali się lub obrażali innych, przeszkadzając w pracy nad czymś pożytecznym.

Alain nie stronił od słownych potyczek, szczególnie z mniej od niego bystrzymi osobami – ale ludzie, którzy nie dysponowali niczym więcej jak słabym dowcipem i nieparlamentarnym językiem, marnowali jego cenny czas. Zanim dołączył do Siódemki, jej członkowie doszli do tych samych wniosków. Postanowili „sprywatyzować” miejsce spotkań i, płacąc miesięcznie za abonament, stworzyli niewielkie, niedostępne dla postronnych miejsce do tworzenia symulacji, gdzie mogli dyskutować i opracowywać swoje projekty bez połowy populacji planety zaglądającej im przez ramię i przeszkadzającej w pracy.

Pierwsza siódemka uformowała grupę pod tą nazwą. Alain znał jednego z nich – Fergala – i od niego zdobył zaproszenie do Grupy. Pozostali przyjrzeni się „reprezentacyjnej” symulacji Alaina dotyczącej starej, szacownej lokomotywy parowej „Rakieta”.

Ocenili jego projekt jako dobry – czego się spodziewał – i przyjęli go w swoje szeregi.

Alain zatrzymał się u podnóża góry na krańcu łańcucha, lekko sapiąc z wysiłku, i podniósł wzrok na nagie, trudno dostępne klify, wznoszące się nad jego głową. Przynależność do Siódemki dostarczała mu nieco rozrywki, od kiedy stał się jej ósmym członkiem. Nauczył się kilku rzeczy od pozostałych, oni od niego nieporównywalnie więcej. No dobra, nigdy tego nie przyznali. Nie są tacy mądrzy, jak im się wydaje, przez co niezbyt chętnie chwają osiągnięcia innych, a kiedy coś schrzanią, jak na przykład ta głupiutka, biedna Maja, mają tendencję do przesadnych reakcji. Mniejsza z tym. Dostarczali Alainowi okazji do szlifowania umiejętności do przyszłego zawodu, który był pewien, że zdobędzie bez wysiłku, kiedy tylko ruszy na podbój świata, żeby pokazać ojcu, iż ten nie wie wszystkiego na temat biznesu w Sieci. A na razie, wśród członków grupy zawsze znajdował kogoś, kto dostarczał mu rozrywki. Fergal wciąż odnosił się do niego przyjaźnie, chociaż Alain czasem łapał jego spojrzenie, w którym widniał wyraz dla Alaina nie do końca zrozumiały. Jakby

karcący.

Ale komu potrzebna aprobatą Fergala? Roddy to inna para kaloszy, pomyślał. Alain znów się uśmiechnął i rozpoczął wspinaczkę po kamienistym zboczu, prowadzącym do najciemniejszej doliny pod górą.

Z Roddym spotykał się tylko w świecie wirtualnym, podobnie jak wiele innych osób, ponieważ podróżowanie w sensie fizycznym było skandalicznie drogie w porównaniu z „teleobecnością”. Poznali się podczas jednej z dyskusji, która przeobraziła się w karczemną awanturę, co zresztą często miało miejsce, kiedy uczestniczył w niej Roddy. Alain wkroczył w wirtualny krajobraz, w tym przypadku było to podnóże góry, gdzie toczyła się bitwa o przełęcz Termopile, i zobaczył, że dziewięć dziesiątych ludzi, zaangażowanych w symulację darło się na Roddy'ego, pod dowództwem którego Spartanie jakimś cudem dali się zaskoczyć przez Persów, zanim zdążyli się rozlokować we właściwym miejscu. Bitwa pod Termopilami potoczyła się przewidzianym torem w dolinie poniżej, gdzie jęki i wołania mordowanych zagłuszone zostały oburzonymi krzykami graczy oraz Roddy'ego, który na próżno próbował im wytłumaczyć, że w gruncie rzeczy robi im przysługę.

Kiedy pozostali gracze wynieśli się i zostawili Roddy'ego samego wśród stosów zabitych, Alain został i rozpoczął rozmowę, by po pięciu minutach zdać sobie sprawę, że oto ma przed sobą chłopaka, w towarzystwie którego nigdy nie będzie się nudził. To prawda, że Roddy wyglądał na nudziarza: wyrośnięty, ale zbyt pulchny jak na siedemnastolatka, o jakby niedokończonych rysach, i nieciekawej twarzy, pozbawionej oznak życia, jeśli nie liczyć wyrazu oczu. Do momentu, aż Roddy się uśmiechnął – uśmiechem tego rodzaju, na widok którego człowiek robi krok do tyłu albo wpatruje się w zdumieniu w grymas czystej, nieświadomej i radosnej złośliwości, jak u dziecka, siedzącego w wysokim krzeselku, tuż po tym jak odkryło cudowny dźwięk wydobywający się z upuszczonego przypadkiem na podłogę naczynia. Dziecko takie szybko uczy się robić to „niechcący”, i Roddy miał taki właśnie uśmiech, zwłaszcza w sytuacjach, kiedy jakiś jego numer stawiał go w dobrym świetle, a kogoś innego w złym. Jednak jego geniusz polegał na tym, że prowokował takie sytuacje nieświadomie. Alain uważał to za wyjątkowo zabawną cechą i postanowił zatrzymać Roddy'ego w swoim towarzystwie.

Było to sprytne posunięcie, ponieważ Roddy w żadnym wypadku nie należał do głupków. Brakowało mu z pewnością „ogłady towarzyskiej” jak określiłoby to poprzednie pokolenie. Nikt nie wytrzymałby z nim na tyle długo, żeby mógł wypracować w sobie takie umiejętności. Alaina zresztą też Roddy niejednokrotnie irytował, ale nie pozbył się go, bo... bo nigdy nie wiadomo. Może się przydać. Roddy miał talent do wyglądanego na winnego w sytuacjach, w których coś działo się przypadkowo, czy dziwnym zbiegiem okoliczności... a coś takiego, myślał sobie Alain, może się przydać, jeśli któregoś dnia on sam zaplanuje coś paskudnego i będzie chciał zrzucić winę na kogoś innego.

Dotarł na szczyt kamienistego zbocza i tam się zatrzymał. W tym miejscu zaczynały się schody z granitu, zygzakiem ciągnące się po drugiej stronie góry, wzdłuż dawnego glacialnego amfiteatru.

Gdy odzyskał oddech, wznowił wspinaczkę, zastanawiając się, co zrobić z Roddym. Manipulowanie Roddym było w końcu takie proste. Nigdy nie mógł się w tym połapać na czas. Wtedy robił awanturę, ale ta zazwyczaj nie trwała długo, bo Roddy czuł respekt przed Alainem. W końcu nie miał zbyt wielu przyjaciół i nie chciał stracić jedyne, który wytrwał przy nim tak długo. Alain podejrzewał, że ich przyjaźń była dla Roddy'ego swoistym rekordem długotrwałości.

Zatrzymał się przy pierwszym zakręcie schodów, patrząc w dół, skąd przyszedł, na kamieniste zbocze i płaski, smutny krajobraz. Maja w pewnym sensie miała rację. Alain zasugerował Roddy'emu, żeby jej troszkę utarł nosa i Roddy zastosował się do jego sugestii... nieco zbyt gorliwie. Alain, hołdujący subtelniejszym metodom, pewnie nie posunąłby się aż tak daleko, ale i tak świetnie się bawił widząc, jak ta mała mądrała spada na ziemię. Och, jej symulacja nie była najgorsza, ale powinna rozumieć, że lepiej zajmować się łatwiejszymi rzeczami, kiedy się umie tak niewiele. Alain gotów był się założyć, że teraz będzie siedziała cicho, a on z Roddym zajmą się innym członkiem grupy, któremu przydałaby się lekcja rozumu.

Ale tym razem sprawy potoczyły się nieco inaczej niż przewidywałem, pomyślał Alain, dochodząc do drugiego zakrętu – został już tylko jeden. Już widział zwaliste sylwetki strażników przy potężnych drzwiach powyżej. Cała ta „izolacja”, „wysłanie kogoś do Coventry”. Jeśli Alain chce pozostać w grupie, będzie zmuszony współpracować. Nawet tą wirtualną wizytą łamał zasady, a gdyby dowiedzieli się o niej inni...

Ale się nie dowiedzą. Najważniejsze to upewnić się, że sprawy toczą się po jego myśli. Mogą sobie nakładać tę śmieszoną „karę” na Roddy'ego, dopóki Maja nie naprawi symulacji. Nie zabierze jej to dłużej niż miesiąc. Może jej nawet pomoże. Alain nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na samą myśl. Nic łatwiejszego jak nakłonić Roddy'ego, żeby wyjawiał mu miejsca, w których manipulował przy symulacji Mai. Potem mógłby przyjść jej „z pomocą”. Byłaby mu dozgonnie wdzięczna. Kolejna osoba do wykorzystania w przyszłości...

Wreszcie dotarł do kamiennego tarasu i ruszył w kierunku strażników, którzy zmienili pozycję, blokując mu dostęp do drzwi. Były to paskudne potwory, ubrane w pordzewiałe, zniszczone zbroje: mieli co prawda po dwie nogi i dwie ręce oraz głowy, ale na tym kończyło się ich podobieństwo do człowieka. Mieli szarą skórę, szare włosy i szare zęby (a w każdym razie te, które nie były brązowe – albo piją za dużo herbaty, albo hołdują zwyczajom, w które Alain nie zamierzał się zagłębiać). Mieli kły niczym knury i małe świńskie oczka pod krzaczastymi brwiami, a na głowach sterczące dość chwiejnie, zniszczone normańskie hełmy. Ich uzbrojenie stanowiły ostre, pordzewiałe włócznie, na których się opierali, obrzucając Alaina spojrzeniem w najlepszym wypadku dającym się określić jako lodowate.

Alain widział już to spojrzenie. Roddy miał je w swoim repertuarze, kiedy się nie kontrolował. Alain zastanawiał się czasem, czy ci służalcy dysponują nim z powodu świadomego aktu autoironii ich pana. – Szef na mnie czeka – powiedział. – Nikt wam nie mówił, żeby się nie gapić? Złazcie mi z drogi.

Strażnicy obrzucili go wolno spojrzeniem i jeszcze wolniej odsunęli się sprzed

drzwi, jakby polecenie przesyłano z ich mózgow do mięśni nie za pomocą impulsów bioelektrycznych, a posłańca. Alain przepchnął się między nimi, wstrzymując oddech. Lepiej było nie oddychać zbyt głęboko w pobliżu służby Roddy'ego.

Zagłębił się w mrocznym wnętrzu i zatrzymał na chwilę, żeby pozwolić oczom na akomodację do odmiennego źródła światła, pochodzącego wyłącznie z pochodni, zawieszonych na dość odległych ścianach. Całe wnętrze góry było wydrążone. Zaczął iść po polodowcowej, kamiennej powierzchni. Wirtualne miejsce pracy Roddy'ego było Grotą Władcy Gór. Nagie, kamienne ściany miały szary odcień, a cała przestrzeń usiana była klonami strażników u wrót. Wyglądali jak genetycznie zmodyfikowane potworki, gotowe spełniać rozkazy swego pana. Niektórzy mieli za dużo nóg. Inni niestety za mało i przypominali owady, którym nieznośne, znudzone dziecko powrywało kończyny. Alain nie upierał się przy ścisłym przestrzeganiu zasady Bądź Dobry dla Swoich Stworzeń, tak głośno propagowanej przez niektórych twórców online, ale nie podobało mu się aż takie okrucieństwo. To było mało subtelne. Unikał kontaktu wzrokowego z trollami i dziwadłami czołgającymi się po podłodze, pomagając sobie szponiastymi łapami, i szedł dalej.

Dotarł wreszcie do przeciwległego krańca sali, gdzie paliło się ognisko, a za nim, na tronie wyciosanym z wyjątkowo masywnego stalagmitu, siedział Roddy. Obserwował Alaina – nie spuścił go z oka przez cały czas, kiedy Alain pokonywał czterystumetrową drogę do tronu.

Alain przyzwyczał się już do tego triku z baczną obserwacją. Kiedy się jednak zbliżył, zdziwiło go coś innego. Roddy przekładał między palcami substancję, która opadała mu na kolana, a następnie na podłogę pod tronem, tworząc coś na kształt jasnego motka płonącej przędzy.

Gdy Alain stanął w odległości jakichś sześciu metrów od tronu, miał okazję przyjrzeć się jej bliżej. Wyglądała na gigantyczny łańcuch DNA. Roddy rozplątywał jeden jego koniec, tak że wiązania wodorowe kwasu nukleinowego zwisały luzem pomiędzy dwiema głównymi spiralnymi łańcuchami niczym poluzowane szczeble drabiny.

To dało Alainowi do myślenia. Symbolika w wirtualnym świecie była niesłychanie różnorodna – co stanowiło jedną z jego największych atrakcji – ale kiedy człowiek pracował na tak powszechnie znanym symbolu jak DNA, nie było sensu dopatrywania się w tym czegokolwiek innego.

Co on knuje tym razem? – pomyślał Alain. Z Roddym nigdy nic nie było wiadomo, oprócz faktu, iż będzie to coś szatańskiego. –

Długo się tu wybieralesz – powiedział Roddy, przestając się wpatrywać w Alaina i przenosząc wzrok na „przędzę”.

–Przyszedłem tak szybko, jak mogłem. Szkoła...

–Daruj sobie – przerwał mu Roddy. – Obiecałeś im, że nie przyjdiesz.

–Czysto polityczna deklaracja – wyjaśnił Alain. – Nie ma szans, żeby się dowiedzieli, czy tu byłem czy nie.

–To czemu tak zwlekałeś? – spytał Roddy, spoglądając na niego.

Alain wytrzymał to spojrzenie, żeby nie dać po sobie poznać, jaki był prawdziwy

powód: że nie szkodziło trochę go potrzymać w niepewności.

Tylko że Roddy nie wyglądał na zdenerwowanego... wręcz przeciwnie, wydawał się zupełnie odprężony. Manipulował przy DNA ze stopami opartymi na kamiennym podnóżku, od czasu do czasu rzucając okiem na helisę kwasu dezoksyrybonukleinowego, jakby nie wiedział, czy połączyć jedno czy spruć dwa oczka.

–Posłuchaj, byłem zajęty. Niektórzy z nas mają życie poza VR, wiesz? – Rozejrzał się po kamiennym pomieszczeniu i krzątających się wokół stworach.

–Strata czasu – stwierdził Roddy, kończąc jedną część „plecionki” i przesuwając ją w rękach, jakby szukał w łańcuchu konkretnej cząstki. – Na zewnątrz nic nie jest tak interesujące jak to.

Alain już nie raz słyszał wykład Roddy'ego na ten temat... i nie miał ochoty wysłuchiwać go teraz. Roddy bardzo emocjonalnie podchodził do tego tematu, jak już raz zaczął. Alain nie miał pojęcia, jak wygląda jego życie rodzinne, i wcale nie chciał wiedzieć.

–Być może – przyznał. – Nad czym pracujesz?

–Nad częścią mojego nowego laboratorium – odpowiedział Roddy. – Będę gotowy do zaprezentowania go pozostałym pod koniec tygodnia.

–Czyli grupie?

–Myślałem, żeby ich zaprosić – powiedział Roddy – między innymi.

Alain zamrugał oczami, słysząc to. – Nie przyjdą.

–Ależ tak.

–Och, Rod, zdaje się nie rozumiesz, jak bardzo się na ciebie wkurzyli. Gdybyś tego nie zrobił...

–Ale zrobiłem – przerwał mu Roddy, zatrzymując się, żeby przyjrzeć się dokładniej jednej z cząstek DNA i znów wracając do szybkiego przesuwania łańcucha w rękach.

–I tak są za głupi, żeby zrozumieć co starałem się im zrobić. Dla nich zrobić. I ta mała żmija, Maja – dodał. – To wszystko jej wina.

–Co takiego? – Alain spojrzał na Roddy'ego trochę zdezorientowany. – O czym ty mówisz?

–Miała podkulić ogon i schować się w kąt – wymamrotał Roddy. – A nie stawiać się, walczyć. Nie ma w niej wcale chęci walki.

–Tego bym nie powiedział...

Roddy spojrzał na niego błyszczącymi oczami. – Nie miała! Nie miała, dopóki Grupa nie zaczęła jej buntować! I zobacz, co mi zrobiła! Nie otworzyłaby ust, gdybyś nie... – Roddy urwał gwałtownie.

–Dałeś jej niezłą nauczkę – powiedział Alain, starając się go ułagodzić. – Szkoda, że nie widziałaś jej maili.

–Przyślij mi kopie – powiedział Roddy.

–Och, skasowałem je – odparł pośpiesznie Alain, ponieważ w rzeczywistości nie widział żadnych maili od Madeline.

–Spodziewałem się – zaczął Roddy, spoglądając na swoją „plecionkę” – że przemyślą swoje zachowanie po kilku dniach i przebaczą biednemu

„wyobcowanemu” członkowi Grupy. Ale tego nie zrobili. – Roddy znów rzucił Alainowi ostre spojrzenie. – Myślałem, że ich do tego nakłonisz.

–Próbowałem stanąć w twojej obronie, Rod. Nie chcieli mnie słuchać.

–Widocznie słabo się starałeś... – Jego głos nabrał nagle dziwnej miękkości.

Patrzył na spiralę DNA, przesuwając ją między rękami, ale dużo wolniej.

Alain pokręcił głową. – Roddy, oni wszyscy byli przeciwko tobie. Nie chciałem zostać wyrzucony z grupy, a mało brakowało, żeby kilkoro z nich wyszło z taką właśnie propozycją!

–Cóż, myślę, że już pora założyć nową grupę – powiedział Roddy rozzłoszczonym głosem. – Taką, w której ludzie będą słuchali tego, co mam do powiedzenia... a nie zmuszali mnie do dopasowywania się do ich wyobrażenia o „odpowiednim zachowaniu”. Mam już tego po dziurki w nosie. Moje nowe laboratorium będzie zawierało zaczątek nowej grupy... takiej, do której zapragnie dołączyć każdy, kto robi symulacje. Pod koniec tygodnia wszyscy się przekonają. I ty też... jeśli znajdziesz czas, żeby tam wpaść.

Alain spojrzał na niego, czując się trochę nieswojo. Taka buńczuczna postawa była u Roddy'ego nowością... nie kwapił się też z przyjacielskimi gestami w stosunku do Alaina, jak to zwykle bywało. Co jest tego przyczyną? Alain przez chwilę zastanawiał się, co też się może dzieć w domu Roddy'ego.

–Hej – zawołał nagle Roddy. – Łap. – Rzucił Alainowi oderwany kawałek DNA, którym się bawił.

Zaskoczony Alain chwycił kawałek podwójnej helisy, zanim pomyślał, co robi. Wbił w nią wzrok, obracając łańcuch DNA w rękach. Była wyjątkowo piękna. Świeciła, otaczając blaskiem jego ręce. – Przyjemna rzecz – powiedział i odrzucił ją z powrotem.

Roddy rzucił mu ponure spojrzenie, łapiąc splot. – Fakt – zgodził się – przyjemna. – Przeniósł wzrok na kupkę podobnych splotów, częściowo opartych o bok tronu.

–OK. Muszę wracać do pracy nad moim nowym laboratorium.

–Rod, oni nie przyjdą – powiedział z westchnieniem Alain. – Nawet ja nie powinienem przychodzić. Nie od razu – dodał jakby z pośpiechem, sam nie będąc pewnym czemu. – Ale jak tylko Madeline doprowadzi do porządku symulację, sytuacja powinna się poprawić. – Pokręcił głową i nagle uśmiechnął się ze szczerym podziwem.

–Nieźle ją załatwiłeś. Nie zdziwiłbym się, gdyby potrzebowała pomocy, żeby to naprawić. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – A gdyby ktoś podrzucił jej kilka wskazówek... nie zdradzając jednocześnie, że wie, gdzie dokładnie leży problem?

–No nie wiem – odpowiedział Roddy. – Myślę, że powinna to zrobić sama, nie sądzisz? To jej pomoże dorosnąć. Dobrze jej zrobi takie doświadczenie.

Jeszcze raz obrzucił Alaina tym osobliwym, ponurym spojrzeniem i ponownie skupił się na „plecionce”. – A co do laboratorium – dodał niedbałym tonem – to do zrobienia czego mnie wtedy zmusiła, nie będzie miało znaczenia ani dla niej ani dla reszty grupy, przynajmniej jeśli chodzi o laboratorium. Wszyscy prędzej czy później tu przyjdą. Nie będą mogli się oprzeć. Znam ich lepiej, niż im się wydaje... i jest

pewna rzecz, która zmusi ich do przybycia.

Alain spojrział na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi i zastanawiając się, co się właściwie z Roddym dzieje. Coś zupełnie nowego... jakby większa samokontrola. Alain zamierzał zająć się tym, zanim Roddy się usamodzielni, przynajmniej od jego wpływu.

–Co to jest? – spytał.

–To samo, co kazało tobie dzisiaj tu przyjść – powiedział Roddy.

Czy on ma na myśli lojalność? – zastanowił się w duchu Alain.

Dobre sobie.

–Przyjdą – przekonywał go Roddy. – Poczekaj tylko, a zobaczysz, co dla nich przygotowałem. Wszyscy pękną z zazdrości. Nawet ty...

–Najpierw – zaczął Alain – zobaczę, co wymyśliłeś. Nie tak łatwo wzbudzić we mnie zazdrość.

Roddy uśmiechnął się. Alain poczuł ciarki na plecach, ponieważ nie był to typowy uśmiech Roddy'ego. Widniała w nim jedynie radość, a brakowało złośliwości... co zupełnie zbiło Alaina z pantafelów.

–Myślę, że to ci zaimponuje – powiedział Roddy.

–Zobaczmy – odparł Alain. – Tylko upewnij się, że nikt z pozostałych nie dowie się o naszej rozmowie.

–To by im nigdy nie przyszło do głowy – stwierdził Roddy. – Nie zatrzymuję cię. Przyślę ci maila, kiedy wszystko będzie gotowe. Nie powinno mi to zająć więcej niż kilka dni. Już prawie skończyłem.

–W porządku – powiedział Alain. – Może ci w czymś pomóc? Oszczędzić czasu, kiedy będziesz skoncentrowany na czymś innym?

–Och, nie – powiedział Roddy niemal słodkim głosem.

–Mam wszystko, czego mi potrzeba, uwierz mi. Ale dzięki za propozycję.

–W takim razie, do zobaczenia – powiedział Alain.

–Niebawem – powiedział Roddy zrelaksowanym tonem, brzmiącym tak, jakby jego właściciel nie miał najmniejszych problemów. Alain machnął mu ręką i udał się do wyjścia, przechodząc przez długą Grotę Władcy Gór. Potworki uciekały przed nim w popłochu. Nie zwracał na nie uwagi, ponieważ czekał na znajomy chichot Roddy'ego, który powinien zaraz usłyszeć.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Dziwne... biorąc pod uwagę fakt, że Roddy z upodobaniem odgrywał czarny charakter: tu i ówdzie podłoga rozstępowała się, a ze szczelin wydostawały się płomienie, służba wyglądała na wystraszoną, wokół panowały ciemności lub półmrok...

Alain zatrzymał się i spojrział przez ramię. Roddy siedział na tronie, z nogami opartymi na stołeczku, nie zwracając uwagi na otoczenie, zajęty swoją „plecionką”.

Zbity z tropu nietypowym zachowaniem Roddy'ego, Alain ruszył przed siebie, w kierunku strażników pilnujących drzwi.

To nowe laboratorium... jeśli mu się naprawdę uda... i nasunie mu wniosek, że już mu nie jestem do niczego potrzebny... Być może trzeba mu będzie pokazać, że się myli. Alain uśmiechnął się. Muszę się zastanowić, jak zapanować nad nową

sytuacją... i nauczyć go, że są kwestie, w których jestem mu niezbędny... A gdyby tak coś mu się nie udało w tym nowym laboratorium, albo gdyby ludzie nie wpadli w taki podziw, jakiego się spodziewa? Znów się uśmiechnął. Trzeba będzie zaraz się tym zająć.

Przy drzwiach strażnicy odsunęli się, robiąc mu przejście, a Alain minął ich, już zastanawiając się, jak obrócić sytuację na swoją korzyść... Może dlatego nie zauważył pogardliwych uśmiezków, jakie wymienili między sobą, kiedy znikł i przeniósł się do świata rzeczywistego.

Półtora tygodnia później, nad Aleksandrią w Wirginii wstawał słoneczny poranek. Krótka chłodniejsza pora dnia, który niebawem zmieni się w bezlitośnie gorący i duszny. Maję obudziło cykanie świerszczy, chociaż zazwyczaj w soboty pozwalała sobie na nieco dłuższe wylegiwanie się w łóżku.

Zrezygnowana – ponieważ należała do osób, które raz obudzone, nie potrafiły już zasnąć – wstała, wzięła prysznic, ubrała się i krętymi korytarzami domu udała się do kuchni. Była to niezła wyprawa. Dom został zbudowany we wczesnych latach pięćdziesiątych XX wieku, a od tego czasu kolejni właściciele dodawali nowe elementy: tu przybudówka z dachem, zastępująca garaż, tam znowu dodatkowa sypialnia, na górze mansarda – każda w innym stylu i stanie używalności. W efekcie mieli dom, który jej matka raczej egzaltowanie nazywała „niewymiernym tworem architektonicznym”, który czasem wydawał się pozostawać spójną całością tylko dzięki taśmie izolacyjnej, łączącej dodatkowe skrzydła i przybudówki w miejscach, gdzie zaczynały się poluzowywać tknięte zębem czasu.

W kuchni przygotowała sobie kubek japońskiej ryżowej herbaty i zastanowiła się nad czekającym ją dniem. Może później pojeździ na rowerze, jeśli nie zrobi się zbyt gorąco. Większą część piątkowego wieczoru spędziła na męczących próbach przed recitalem z młodym zespołem muzyki kameralnej, w którym grała na skrzypcach, co sprawiło, że najmniejszy dźwięk wyprowadziłby ją teraz z równowagi. Była to typowa dla niej reakcja po zbyt długim ćwiczeniu jednego utworu, w tym wypadku części Koncertu Skrzypcowego E-moll Tartinięgo. Nie, postanowiła Maja, dziś tylko spokój i błoga cisza. Co oznaczało, że nie wykręci się od przejrzenia maili, nadchodzących przez cały tydzień.

Usiadła przy kuchennym stole i wzięła porządny łyk herbaty na dobry początek. Niektóre wirtualne listy Maja ignorowała konsekwentniej niż inne... zwłaszcza wiadomości od członków Siódemki.

Chociaż wiedziała, że nie ma powodów, żeby się wstydzić klęski swojej symulacji, biorąc pod uwagę to, co jej zrobił Roddy, nie mogła się jednak pozbyć tego uczucia. Przyzwyczała się, że przynajmniej sprawia wrażenie kompetentnej, a przycinek Roddy'ego co do jej hasła dostępu był paskudny, ale prawdziwy. Z tej lekcji wyciągnęła w każdym razie odpowiednie wnioski, lecz wciąż bolało ją serce, kiedy wchodziła do swojego VR.

Co czekało ją również tego ranka. Odkładała to cały tydzień, tłumacząc się nadmiarem zajęć szkolnych. Żaden z członków jej rodziny nie kupił tej marnej wymówki. Maja posunęła się do wykonywania czynności, które wcześniej nie

przyszłyby jej do głowy, takich jak: zmywanie (ręczne, co spowodowało, że ojciec dotknął ręką jej czoła, obawiając się, że córka ma gorączkę), ostatni w tym roku projekt na zajęcia szkolne, potrzebny dopiero za dwa miesiące (Maja zazwyczaj miała zdrowe podejście, polegające na odkładaniu wszystkiego na ostatnią chwilę). Odważyła się nawet zapuścić do pracowni matki, pomieszczenia niemiłosiernie zatłoczonego próbkami materiałów, klejki, styropianu oraz wielu innych rekwizytów i pozostałości przeszłych oraz przyszłych projektów, i zaoferowała się, że pomoże mamie, która mogłaby się w tym czasie zająć trudniejszymi partiami piernikowego domku (a mianowicie klejeniu ścian lukrem, co zazwyczaj stanowiło największy problem). Matka spojrzała na nią ze współczuciem zmieszonym z podejrzliwością, a następnie wygoniła ją z pracowni, rzucając tajemniczą uwagę: „Lepiej wsiądź z powrotem na konia”.

Cóż, to nie było aż tak tajemnicze, pomyślała Maja. Rozumiała sens tej wypowiedzi, ponieważ sama jeździła konno. Kiedy koń cię zrzuci, trzeba na niego znów wsiąść... nie tylko dlatego, że w przeciwnym wypadku można stracić odwagę. O wiele ważniejszy jest fakt, że jeśli nie wsiądziesz na konia od razu, stracisz jego szacunek. Konie mogą być głupie w pewnych sprawach, ale są też bardzo subiektywnie nastawione do świata... i jeśli raz okażesz im tchórzostwo, już nigdy nie odzyskasz ich szacunku.

Dlatego musi znów „wsiąść na konia” i wrócić do robienia symulacji... ale może jeszcze nie w tej chwili. Z westchnieniem odstawiła kubek z herbatą i usiadła w dodatkowym fotelu z implantem, na drugim końcu stołu. Była to ekstrawagancja (zdaniem taty), ale pożyteczna (zdaniem mamy), z czym Maja była skłonna się zgodzić, ponieważ dodatkowy fotel umożliwiał jej równoczesne jedzenie tostu z masłem (prawdziwego) i przeglądanie korespondencji (wirtualnej).

Połączyła się z komputerem w ciągu kilku sekund, pozwalając, żeby „salon” w jej osobistym miejscu pracy przez moment współistniał z kuchnią. To oznaczało, że duża, nieco staroświecka przestrzeń – pomysł ojca, z matowoczarnymi, granitowymi blatami i masywną kuchnią, kamienną podłogą oraz wielkim stołem z nieheblowanego drewna, ze staroświecką suszarką do naczyń, ozdobioną bukietami ziół – w tym momencie „nakładała” się na krajobraz wirtualny Mai: meble i szafki z matowej stali, surowe białe ściany i wysokie jak w katedrze sklepienie. Nad głową, przez świetlik w ruchomym dachu, widać było intensywnie błękitne niebo, typowe dla pięknej, śródziemnomorskiej zimy na jednej z wysp Cykladów.

Dwa nałożone na siebie w ten sposób obrazy wyglądały dość ciekawie. Dla żartu Maja postarała się, żeby w miejscach, gdzie się ze sobą łączyły w jej VR, widniała taśma izolacyjna.

Przechodząc któregoś razu przez wirtualny świat Mai jej ojciec zobaczył taśmę, przewijającą się po całym obszarze i szybko stamtąd wyszedł, nie mówiąc ani słowa, chociaż sądząc po trzęsących się ramionach, można się było domyślić, że z trudem tłumił atak śmiechu.

Maja zaparzyła jeszcze jedną herbatę i znów usiadła przy kuchennym stole, zabierając się do przeglądania wirtualnej korespondencji. W powietrzu wokół niej

unosily się trójwymiarowe ikonki, przedstawiające poszczególne listy. Przeczytane unosily się po jej lewej, nieprzeczytane po prawej. Te z lewej miały najpierw kształt cylindra albo piramidy, nadany im przez różne programy maili, ale po przeczytaniu przybierały formę zgniecionych kartek, gotowych do wyrzucenia do kosza. Maja rzadko śpieszyła się z pozbywaniem się czegokolwiek, nawet reklam.

Często zmieniała zdanie na jakiś temat... ale w przypadku tych listów było to mało prawdopodobne. Spojrzała na sporą grupkę pogniecionych wiadomości, których cechą wspólną był adres nadawcy: Roddy L'Officier.

Od kiedy zniszczył jej symulację, ignorowała jego maile, które często były zatytułowane na przykład: UWAGA – PODSTĘPNA ŻMIJA.

Z jednej strony liczba nasączonych jadem wiadomości od niego sprawiała jej satysfakcję i tyle – dlatego Maja je przyjmowała, zamiast polecić systemowi, żeby w ogóle ich nie akceptował. Z drugiej strony jej niechęć do Roddy'ego wzrastała, ponieważ Maja nie lubiła osób, których natychmiastową reakcją na niepowodzenie w życiu są przekleństwa. Co nie znaczy, że sama była niewiniątkiem – potrafiła rzucić wiązkę jak każdy inny – ale nigdy nie zapomni reakcji swojego taty, kiedy w jego obecności zaprezentowała serię nieparlamentarnych wyrażen. Zatrzymał się na chwilę, w drodze do salonu, gdzie czekał na niego plik prac do oceny, a potem, kiedy obok niej przechodził, zapytał spokojnie: – Ależ Maju, co w takim razie powiesz, kiedy uderzysz się młotkiem w palec?

Skrzywiła się. Kiedy uświadomiła sobie dokładnie bałagan, jakiego narobił Roddy w jej symulacji, gotowa była poczęstować go każdym brzydkim słowem, jakie знаła. Ale to nic nie da. Jej symulacji pomoże tylko półtora miesiąca odpluskwiania. Roddy zapaskudził każdą procedurę i podprocedurę, zostawiając wszędzie złośliwe uwagi w polach „komentarzy” w całym programie. Znalazła je też we wszystkich wersjach programu oraz w kopiach rezerwowych. Roddy to bez wątpienia zdolny programista, ale obecnie Maja z chęcią spuściłaby mu na głowę wielką skałę i to nie wirtualną.

Na razie mogła jedynie wyrzucać jego maile... co robiła z dużą przyjemnością. Popelniła bład, czytając pobieżnie kilka z nich, przekonana, że jest na tyle dorosła, żeby znieść jego obelgi. I być może miała rację, jeśli „zniesienie jego obelg” polegało na wstaniu od stołu i pójsciu z głośnym tupaniem w drugi koniec kuchni, żeby nalać sobie kolejny kubek herbaty, który następnie opróżniła, czytając korespondencję od Roddy'ego. Jego wredne, przemądrzałe nastawienie typu „wiem lepiej niż ty, biedna niedorozwinięta istoto” wybitnie działało jej na nerwy. Odetchnęła głęboko, wyciągnęła dłoń i złapała kolejną ikonę, unoszącą się w powietrzu po prawej stronie kuchennego stołu.

OD:

RODDY L'OFFICIER, informował świecący napis na wierzchu.

DO:

MADELINE GREEN. TEMAT: TY DROBIAZGOWA...

Maja skrzywiła się znowu i zgmiotła ikonkę, która zmieniła się w kulkę papieru i zajęła miejsce obok pozostałych śmieci. Maja westchnęła i sięgnęła po kolejny list z prawej.

DO: MADELINE GREEN.

OD: PRZYJACIEL5277536. TEMAT: MOŻE JUŻ JESTEŚ ZWYCIĘZCĄ LOTERII!

Tym razem uśmiechnęła się lekko, zgniatając ikonę i odrzucając ją na lewą stronę. To przynajmniej prawdziwa śmieciowa poczta, pomyślała i sięgnęła po kolejną ikonkę. Pocięła ją też fakt, iż reszta Siódemki ma podobny problem z zawartością otrzymywanych listów. Wszyscy byli zasypywani pełnymi gniewu, obraźliwymi wiadomościami od Roddy'ego, których nie przyjmowali lub na które nie odpowiadali.

Członkowie grupy zastanawiali się, czy nie złożyć na niego skargi u dostawcy usług internetowych, który mógłby powstrzymać Roddy'ego, ale gdyby zlikwidowali mu konto, wściekłyby się jeszcze bardziej, założył sobie konto gdzie indziej i robił swoje. Jeśli chcieli dać mu prawdziwą nauczkę, lepiej było zostawić sprawy w spokoju. Wszyscy zgodzili się na to, że będą pozbywać się obraźliwych listów i pozwolą Mai dokończyć naprawianie symulacji tak szybko, jak się da, żeby mogli zakończyć „odosobnienie w Coventry” i nie wyjść przy tym na mięczaków.

Maja wzięła do ręki nową ikonę i zatrzymała się na chwilę, słysząc jakiś hałas. To jej młodsza siostra z rozczochranymi blond loczkami, w pidżamie, która zakrywała również stopy, przydreptała do kuchni z wielką książką z obrazkami pod pachą. Podeszła do dużej dwudrzwiowej lodówki, otworzyła ją i wsadziła do niej głowę. Na bardzo, bardzo długo.

Maja westchnęła. – Pączek, zamknij wreszcie lodówkę.

–Ja tylko patrzę – odpowiedział Pączek. Naprawdę nazywała się Adrianna, ale mniej więcej w połowie zeszłego lata, kiedy skończyła pięć lat, miała siostra Mai oznajmiła nieoczekiwanie, że nie cierpi swojego imienia i od tej chwili, będzie wszystkim znana jako Pączek. Uparcie nie reagowała na żadne inne imię, i po jakimś czasie rodzina zaakceptowała zmianę... przynajmniej pozornie. – Zobaczmy, czy wciąż będzie chciała, żeby nazywać ją Pączek, kiedy pójdzie do szkoły i inne dzieci zaczną jej dokuczać – zauważyła matka. Na razie miała siostra Mai nie zdawała sobie sprawy z istnienia takiego niebezpieczeństwa... jak również samej Mai.

–Pąku... – odezwała się Maja. – Daj spokój. Wypuścisz całe zimno.

Pączek nadal wpatrywał się we wnętrze lodówki.

–Jak nie zamkniesz drzwi, wszystko w środku zgnije i zrobi się kosmate – powiedziała Maja. – A w nocy wylezie z niej różne paskudztwo i wejdzie ci pod łóżko...

–Wcale nie – powiedział Pączek, a na jej twarzy pojawił się psotny uśmiech i zamknęła wreszcie lodówkę, najwyraźniej zachwycona tą wizją. Podeszła do stołu i, podnosząc ręce do góry, położyła książkę na blacie. – Znowu wpatrujesz się w nicość.

–Przeglądam pocztę wirtualną, Pąku – powiedziała Maja.

–Aha. Maja, widziałam dinozaura!

–Tak? – powiedziała Maja, odrywając wzrok od pogniecionych ikon.

–Jakiego, słonko?

–Archipelagusa. – Wymówiła słowo z należąca pieczołowitością, oddzielając sylaby.

–Prawdziwego, Pączku, czy zmyślonego? – Ponieważ miała bez przerwy zmieniała ich nazwy, na takie, z którymi Maja nie spotkała się w szkole, coraz trudniej było ustalić, czy etymologia Pączka jest palenteologiczna czy mitologiczna. Nie wspominając już o rzeczach, które rzekomo Pączek „widział”. W wieku pięciu lat trudno jest czasem odróżnić te rzeczywiste od wirtualnych.

Maja wiedziała o trwającej już od dłuższego czasu dyskusji na temat, czy wpuszczanie dzieci poniżej siedmiu lat do świata wirtualnego jest rozsądne. Niektórzy utrzymywali, że dzieci w tym wieku nie są w stanie odróżnić rzeczywistości od fantazji, w związku z czym udostępnienie im tak wcześnie wirtualności grozi tym, że i w przyszłości nie będą umiały dokonać tego rozróżnienia. Inni twierdzili, że im szybciej przyzwyczajają się dziecko do tego rozróżnienia, tym większe ma ono szansę na przetrwanie w coraz bardziej wirtualnym świecie. Maja nie była pewna, po której stronie się opowiedzieć, natomiast doskonale zdawała sobie sprawę, że większość dzieci, będących przedmiotem powyższej dyskusji, jest o wiele inteligentniejsza, niż zakładają obie strony sporu.

–Oczywiście, że prawdziwy – odpowiedziała jej siostra, patrząc na Maję tak, jakby tej było brak piątej klepki.

–Wszystko jest prawdziwe. – Odsunęła najbliższe krzesło, wdrapała się na nie, usiadła i otworzyła książkę, cały czas z ledwo dostrzegalnym uśmiechem w kącikach ust.

Maja zobaczyła ten uśmiech i poczuła, że ktoś ją tu nabija w butelkę. – Dzięki, panno Drożdżówko – powiedziała i wróciła do przeglądania maili.

Odrzuciła na lewą stronę jeszcze kilka przykładów miernego dowcipu Roddy'ego wraz z reklamami typu „Jeśli otrzymałaś tę wiadomość przypadkiem, poinformuj nas o tym i przyjmij nasze przeprosiny” albo „Aby zostać skreślonym z naszej listy adresowej, wyślij swoje wirtualne dane na ten adres”. I jedne i drugie spowodowałyby lawinę nowych listów, gdyby Maja odpowiedziała na nie, zdradzając tym samym, że jej konto jest aktywne. Dostała też kilka sensownych informacji od członków Siódemki.

List, który tak ją rozbawił, że roześmiała się na głos, pochodził od Alaina, oferującego jej pomoc w odpluskwianiu symulacji. Pomijając fakt, iż nie sądziła, żeby na obecnym etapie poradził sobie z jej symulacją lepiej niż ona, Maja miała wątpliwości co do jego motywacji. Za blisko trzymał się z Roddym. Nie zdziwiłaby się, gdyby było to posunięcie Roddy'ego, ciekawego, jak jej idzie naprawianie szkód.

Paranoja, pomyślała Maja. I natychmiast odpowiedziała sama sobie: cóż, nawet paranoicy mają wrogów... Westchnęła, bo nie bardzo odpowiadał jej nastrój, w jakim się znajdowała od tamtego zdarzenia.

Ktoś zapukał do drzwi z matowej stali za jej plecami. Maja spojrzała w tym

kierunku. Tylko kilka osób w jej wirtualnej przestrzeni miało dostęp aż tutaj. – Proszę.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o szerokich ramionach, ubrany w dżinsy i koszulę w drobną kratkę, rozglądając się wokół z umiarkowanym zainteresowaniem. James Winters! Maja uniosła brwi prawie na pół czoła. Odstawiła herbatę na stół.

–Pan Winters – powiedziała – Dzień dobry, proszę wejść.

–Nie wstawaj – powiedział. – To nieoficjalna wizyta.

Maja zastanawiała się nad tym przez chwilę, przysuwając mu krzesło. Zwykły agent Net Force nie pojawiłby się tutaj z nieoficjalną wizytą... ale on – pomyślała Maja – jak najbardziej.

Zwiadowcy Net Force, do których należała, stanowili oczko w głowie Wintersa. Nie był aż tak bezinteresowny – każda organizacja rządowa potrzebuje efektywnych mechanizmów rekrutacji, które zwabią i dostarczą jej świeżej krwi – jednak w przypadku Wintersa, zaangażowanie było, zdaniem Mai, bardziej osobiste.

Sprawił wrażenie człowieka, który pamięta, jak to jest być młodym – w przeciwieństwie do tych, co to trzymają się eklektycznej i uładzonej wersji okresu dojrzewania, czyli prawie wszystkich dorosłych. W efekcie większość dzieciaków współpracujących z Wintersem chętnie ryzykowała dla niego w VR.

Wiedziały, że spłaci swój dług wdzięczności.

–Robię mały obchód – powiedział Winters, siadając.

–Wreszcie mam spokojniejszy weekend... pomyślałem sobie, że wpadnę, żeby zobaczyć, co porabiają Pomocnicy poza pracą, jeśli nie są zajęci jeszcze czymś innym. – Maja uśmiechnęła się lekko na te słowa. Winters był fanem Sherlocka Holmesa, i wielu Zwiadowców Net Force załapało od niego tego bakcyła – głównie w obronie własnej, żeby rozumieć jego aluzje typu: „Pomocnicy z Baker Street” i przestać w końcu wychodzić na ciemniaków.

Winters rozsiadł się wygodnie i rozejrzał po wnętrzu VR Mai. – Grecka willa. – Uśmiechnął się lekko. – Zamek ci się znudził? –

Za dużo przeciągów – odpowiedziała Maja. – Nawet z witrażowymi oknami.

Winters obrzucił spojrzeniem różnorodne ikony unoszące się w powietrzu. – Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w jakimś ważnym zajęciu?

–O, nie – zapewniła go Maja. – To tylko poczta. – Przewróciła oczami, pokazując na pogniecione ikony. – Głównie śmieci.

Pączek, usadowiony na drugim końcu stołu, podniósł głowę. – Maja, dla kogo wysunęłaś krzesło?

–Pan Winters przyszedł z wizytą – odpowiedziała jej Maja.

–Aha – przyjęła to do wiadomości mała siostrzyczka Mai. – Maja, czy to twój Niewidzialny Przyjaciel?

Maja musiała się rozeźmiać. Pączek ostatnio odkrył nieograniczone możliwości wynikające z posiadania Niewidzialnego Przyjaciela, który na przykład domaga się dodatkowej porcji lodów albo kolejnej przejażdżki łódką po jeziorze w parku – zdejmując ciężar proszenia o to z barków Pączka, rzecz jasna. – Och, nie Pąku. Ten

pan jest prawdziwy, tylko teraz znajduje się w VR.

–Rozumiem. – Pączek wrócił do oglądania swojej książeczki.

–Słyszałem, że ostatnio miałaś kiepski dzień – powiedział Winters.

Maja znów przewróciła oczami. – Złe wieści szybko się rozchodzą – zauważyła. – Skąd pan wie?

–Od Marka Gridleya. On, zdaje się, też robi symulacje. Maja pokiwała głową. Znała Marka – syna szefa Net Force – ze Zwiadowców, ale nie byli zbyt blisko. Był geniuszem we wszystkich sprawach wirtualnych, a wręcz we wszystkich zagadnieniach komputerowych – jeszcze jeden autentyczny talent, choć w przeciwieństwie do Roddy'ego zupełnie nieszkodliwy. Co za ulga: dwóch Roddych na świecie, to by było o dwóch za dużo, pomyślała nieżyczliwie, ale z niekłamaną satysfakcją.

–Fakt, mógł o tym słyszeć – powiedziała po chwili. – Po kilku dniach, takie nowiny przeciekają do otwartych grup dyskusyjnych.

–Jak to zniosłaś?

Maja uśmiechnęła się. – Każda katastrofa, z której wychodzi się cało, to dobra wiadomość – powiedziała.

–Przeżyję. Jeden z członków mojej grupy włamał mi się do symulacji. Jest uszkodzona, ale do naprawienia.

–Paskudny postępek i, jak zapewne wiesz, nielegalny – powiedział Winters. – Poza tym, wszystko w porządku? – Tak, jasne – odpowiedziała Maja.

–Jeśli się nie mylę, to niedługo masz sprawdziany końcowe – zauważył Winters.

Rzuciła mu spojrzenie kątem oka. Winters wiedział podejrzanie dużo o wszystkich Zwiadowcach. Było tajemnicą poliszynela, że niektórych z nich chce zwerbować jako pełnoprawnych agentów do Net Force, kiedy osiągną odpowiedni wiek.

Do Mai docierały też pogłoski, że w wirtualnym świecie działają „szperacze” Net Force, prawdziwi agenci w przebraniu, którzy szukają w Sieci nowych talentów, choć jej zdaniem nie musieli się z tym kryć i wcale się aż tak nie kryli. Jej zdaniem, nawet półgłówki chciałby należeć do organizacji wykorzystującej najlepsze technologie na świecie – organizacji, której członkowie mogli dotrzeć dosłownie wszędzie w VR, przesuwać jego granice i zajmując się najbardziej fascynującym i niebezpiecznym aspektem współczesnego życia. Agenci Net Force mieli nieograniczone możliwości i, według Mai, najciekawszy zawód na świecie. W takich chwilach, ta perspektywa wydawała się jej bardziej realna niż zwykle... i to ją ekscytowało.

Jednak nie zamierzała tego po sobie pokazać. – Sprawdziany?

–Zgadza się – odpowiedziała tak beztrosko, jak potrafiła. – Nie ma powodów do niepokoju. Wszystko jest raczej pod kontrolą. Mam nadzieję, że średnia moich ocen spełnia wasze obecne wymagania?

Winters uśmiechnął się, nie pokazując po sobie najmniejszych oznak zmieszania. – Zawsze można pracować jeszcze pilniej – powiedział... i uśmiechnął się nawet szerzej, widząc ironiczne spojrzenie Mai. – W twoim przypadku nie mamy zastrzeżeń, po prostu lubię mieć wszystkich na oku... upewnić się, że wirtualny aspekt życia nie przesłania starej dobrej rzeczywistości.

Równowaga...

–Jest najważniejsza – dokończyła za niego zdanie Maja. – Obiło mi się to o uszy – powiedziała – wiele razy. – Nie widywała Wintersa zbyt często ani wirtualnie ani osobiście – był bardzo zajęty – ale to zdanie powtarzał praktycznie za każdym razem, kiedy się widzieli.

–Hmm – chrząknął Winters i wstał. – Cóż, uważaj na siebie. Średnia ocen nieco ci się obniżyła w porównaniu z ostatnim semestrem.

Maja zamrugła powiekami i rzuciła Wintersowi kolejne chłodne spojrzenie. Obniżenie ocen na pewno pokrywa się dokładnie z okresem najbardziej wytężonej pracy nad symulacją Valkyrie. – Nie przewiduję żadnych problemów na tym polu – powiedziała. – Równowaga może podlegać wahaniom... ale zawsze wraca do normy.

Winters kiwnął głową. – Cieszę się – powiedział. – Chcę cię jednak prosić o przysługę. Kiedy twoja symulacja samolotu będzie gotowa, żeby wzbić się w powietrze, daj mi znać. Z przyjemnością ją obejrzę... posłucham ryku silników.

–Oczywiście – powiedziała Maja, przyjemnie zdziwiona. Ona też bardzo lubiła ryk silników wchodzących na obroty.

–No, dobrze – powiedział Winters, zbierając się do wyjścia. – Pozdrów rodziców. – Otworzył drzwi i już go nie było.

Maja siedziała przez chwilę w milczeniu, kręcąc głową. Ten człowiek właśnie taki był – obecny, a po chwili już go nie było; przyjacielski, ale raczej skryty, pozostawiający cię w poczuciu, że powinieneś być powiedzieć setki rzeczy, a tego nie zrobiłeś. Zostawiał cię pod wrażeniem, że zostałeś poddany ocenie – i w pragnieniu, żeby ta ocena wypadła pozytywnie.

Herbata znów jej wystygła. Maja wstała i podeszła do jednego z kuchennych blatów. Wstawiła kubek do kuchenki mikrofalowej i pozwoliła mu się tam grzać przez minutę, podczas gdy sama, oparta o krawędź zlewu, wyglądała przez kuchenne okno na ptaki na próżno stukające dziobami o drewniany blat, ustawiony dla nich między krzakami róż w ogrodzie na tyłach domu. Jej matka zdecydowanie odmówiła sypania im ziarna o tej porze roku i, chodząc po domu, wciąż mruzczała pod nosem: „Niech jedzą robaki!”. Gąsienice podgryzające róże były dla niej prawdziwą zmorą, ale nie chciała używać żadnych chemicznych środków silniejszych niż mydło w płynie, w obawie przed zakłóceniem lokalnego łańcucha pokarmowego. Maja natomiast na jej miejscu udałaby się do najbliższej szkółki i zakupiłaby pięć deko naturalnych wrogów gąsienic. Jednak matka Mai upierała się, że od tego są właśnie ptaki...

Bing! Odezwała się kuchenka. Maja wyjęła z niej herbatę i poszła z powrotem do fotela z implantem. Zostało jej już tylko kilka maili. Sander przysłał jej kolejną porcję plotek i narzekań na Roddy'ego i jakieś nie sprawdzone informacje na temat nowego laboratorium Roddy'ego oraz informacje na temat symulacji, nad którą pracował Sander, a noszącą nic nie wyjaśniającą nazwę Akhoond.

Jeden z ostatnich listów dostała od Roddy'ego, utrzymującego, że ma on coś wspólnego z jego najnowszą symulacją. Maja zgmiotła go i wyrzuciła na lewą stronę. I jeszcze jeden mail od Roddy'ego: bez tekstu, głosu ani obrazka jego osoby, a jedynie z dołączoną notatką wyglądającą na adres laboratorium. Maja przeczytała adres

sieciowy, ale nic jej nie mówił. Nie był to normalny adres laboratorium Roddy'ego. Uniosła brwi. Jeśli to jakaś głupia sztuczka, żeby mnie nakłonić do przeczytania steku obelg, pomyślała... po czym przegrała z własną ciekawością. Po dokładnym obejrzeniu listu, szukając wszelkich znanych sobie pułapek – z wiadomych powodów nie ufała Roddy'emu – „rozpakowała” ikonę, polecając jej pokazanie zawartości.

Kuchnia i jej wirtualna willa zniknęły. Maja stała w niemal całkowitych ciemnościach, mając nad głową jedynie nikłe, nieznanne jej źródło światła. Wyciągniętymi rękami dotknęła ledwo widocznego przedmiotu, przypominającego poręcz: nie, ścianę sięgającą jej do pasa, wykonaną z jakiejś twardej, gładkiej substancji, być może z polerowanego kamienia. Ale nuda, pomyślała i zamierzała się właśnie odwrócić, żeby sprawdzić skąd bierze się światło za jej plecami... – kiedy pojawiło się nowe źródło światła. Podniosła wzrok...i wstrzymała oddech ze zdumienia. Tuż nad nią wisiało niesłychanie ogromne, zaćmione Słońce, którego blask padał na zasłaniające go ciało niebieskie. Czarny krąg otoczony był oślepiającą i bardzo dokładnie odwzorowaną koroną, a Mai wydało się nawet, że słyszy syczenie i trzaski w powietrzu nad nią, jakby z zorzy polarnej. Niemożliwe!

Nagle po prawej stronie Słońca pojawił się oślepiający półksiężyc i zaczął się powiększać. Maja zmrużyła oczy, instynktownie odwracając wzrok. Niebezpiecznie jest patrzeć nawet na taki mały fragment Słońca. Lecz szybko stało się jasne, że nie ma tu do czynienia ze zwykłym zaćmieniem. To, co powinno się było okazać księżycem i odsunąć na jedną stronę, nie było nim. Zamiast zaokrąglonego kształtu, na tle Słońca przesuwano się coś, przypominające kulistą muszlę, obracającą się wokół słońcopodobnego ciała niebieskiego.

Niemożliwe.

A jednak, to właśnie miało miejsce. Pod nią i wszędzie wokół, z rzadniejącego półmroku zaczął się wyłaniać krajobraz. Daleko, daleko pojawiły się zielone pola, łańcuchy górskie, rzeki wijące się wśród różnorodnych form terenu... lecz wszystko to znajdowało się kilometry pod Mają. Ona sama stała na balkonie, umieszczonym dziesięć, piętnaście kilometrów nad krajobrazem. Krajobraz ten nie był płaski. Zawijał się do góry na wszystkich krawędziach. Zmrużonymi oczami poszukała horyzontu, ale go nie znalazła. Podnosiła głowę wyżej i wyżej, a krajobraz nie miał końca. Wszędzie ziemia, rzeki, nawet jeziora i morza. Dokładnie nad jej głową, krajobraz chował się za Słońcem, czy też za czymś pełniącym rolę Słońca. Po przeciwległej stronie tego świata, zapadała ciemność, ponieważ obracająca się muszla przesłaniała tam światło.

Maja przypomniała sobie, że trzeba oddychać i stała tak, zupełnie osłupiała, potrząsając głową. Był to pusty świat, być może kula Dysona: cała zawartość systemu słonecznego wbudowana w kulę ze sztuczną gwiazdą w środku... świat bez nieba, świat ciągnący się we wszystkie strony, a w środku Słońce. Balkon, na którym stała, był częścią góry. Maja schyliła się i spojrzała w dół, znów tracąc oddech na widok stoku pokrytego fantastycznymi, pozaziemskimi symbolami i kształtami, sięgającymi aż do balkonu. Za jej plecami znajdowały się przepięknie rzeźbione drzwi, prowadzące do tunelu biegnącego do wnętrza góry, skąd dochodziła cicha, dziwna

muzyka.

Maja poczuła, jak włoski jeża się jej na karku. Odwróciła się, żeby znów spojrzeć na osobiwy i zdumiewający krajobraz, na sztuczne Słońce nad głową. Kiedy muszla zrobiła kolejny obrót, zalewając część świata blaskiem, a drugą część topiąc w mroku, przed oczami Mai pojawiły się płonące litery: ODWIEDŹ DOM GIER

Maja kilka razy odetchnęła głęboko, po prostu podziwiając niewiarygodny widok... a następnie zgmiotła w ręku maila i rzuciła go na lewą stronę. Pojawiła się biel jej miejsca pracy, kolory kamienia i cegły w kuchni, światło słoneczne padające z kuchennego okna na czuprynę nieświadomego niczego Pączka. Ikona maila leżała przed nią na stole jak niewinna kostka do gry. Maja wpatrywała się w nią.

Może i jest z niego mały potworek, pomyślała, ale mój Boże, co za symulacja!

Za jej plecami rozległo się ponowne pukanie do drzwi. Podniosła wzrok i powiedziała: – Proszę.

Drzwi otworzyły się i do środka wetknął głowę Fergal. – Jesteś zajęta?

–Przeglądam tylko pocztę – odpowiedziała, zadowolona, że będzie mogła z kimś przedyskutować to, co przed chwilą widziała. – Wchodź.

Fergal wszedł do środka i rozejrzał się wokół. – Ładna pogoda – zauważył. – Szkoda, że nie ma takiej przez cały czas.

–Jest, jeśli mieszkasz w Grecji – odpowiedziała Maja i cicho westchnęła. Wiele by dała za zamianę dusznego i parnego Waszyngtonu na klimat Cykladów. Odkładając na bok wirtualność, przebywanie tam w cielesnej formie miało swój urok... o czym przekonała się raz podczas pamiętnych wakacji, których z powodu zarobków jej taty nie można było za często powtarzać.

Fergal usiadł na krześle, zajmowanym wcześniej przez Wintersa i spojrzął na zgniecione ikonki maili. – U ciebie to samo – powiedział.

–O, tak – odpowiedziała Maja – pod tym względem bez zmian.

Pączek podniósł wzrok znad książki. – Maja, czy ty masz dwóch Niewidzialnych Przyjaciół?

–Nie, słonko – odpowiedziała rozbawiona Maja. – Przyszedł do mnie Fergal, jest ze mną w grupie symulowania i chciał chwilę ze mną pogadać. Powiedz mu „cześć”.

–Cześć – powiedział posłusznie Pączek i znów skupił swoją uwagę na książce, niedbale machając raz ręką w stronę pustego krzesła, nawet na nie nie patrząc.

–Mówi ci „cześć” – przekazała Fergalowi Maja.

–Uważa, że jesteś moim Niewidzialnym Przyjacielem.

–Urocze – powiedział Fergal.

Maja uśmiechnęła się. – Nie powiedziałbyś, że to urocze, po tym jak jej Niewidzialny Przyjaciel nakłaniałby cię przez godzinę do kupienia kolejnej lalki, chociaż Pączek ma ich już jakieś sześćset.

–Osiemdziesiąt sześć – poprawił Pączek, schowany za książką.

–Mniejsza z tym – odpowiedziała Maja. – W każdym razie – odwróciła się do Fergala – te maile są monotematyczne.

Jestem „najgorsza na świecie”, cytując pana L’Officiera.

–Najgorsza w czym?

–We wszystkim. O co byś nie spytał. Jednak teraz nie chodzi mi o te maile. – Maja sięgnęła po ostatnią ikonkę i przywróciła ją do pierwotnej postaci, żeby znów pokazał się krajobraz nowego laboratorium Roddy'ego. Następnie wydała polecenie swojemu obszarowi wirtualnemu, żeby włączył szyfrowanie rozmowy jej i Fergala, i uniemożliwił jakimkolwiek szpiegowskim wynalazkom Roddy'ego zrozumienie ich słów, podczas gdy będą dyskutować na temat jego nowego laboratorium. – Widziałeś to?

Krajobraz rozwinął się wokół nich. Fergal rozejrzał się wokół z balkonu, na którym stali oboje. – Nie ten, konkretnie. Trochę inny. Ale tak, widziałem... niezła rzecz, prawda?

–Aha – przytaknęła z ociąganiem Maja. – Fergal, jak on potrafi robić takie rzeczy? Jego poprzednie symulacje nie umywają się do tego. Ukrywał coś przed nami – czy rzeczywiście dokonał jakiegoś wielkiego kroku naprzód? Może to prawdziwy geniusz w naszej grupie?

–Aktualnie nie w naszej grupie – poprawił ją Fergal, wciąż wpatrzony w zdumiewający krajobraz. – Ale jeśli to geniusz, to psuje reputację wszystkim innym geniuszom. Nieokrzesany... albo po prostu nieobyty. Prawdziwa zmora.

–Może. Mówię to z wielką niechęcią – zaczęła Maja, patrząc w dół na krajobraz – ale jeśli on już teraz tyle potrafi, to naprawdę mamy szansę wiele się od niego nauczyć. A skoro to cel naszej grupy...

Fergal westchnął – Nie ty pierwsza to mówisz – powiedział po chwili.

Maja wyrzuciła z ręki maila. Znowu pojawiła się kuchnia i willa.

–Więc „porozumienie Coventry” nieco straciło na determinacji – powiedziała Maja. – Fergal, jeśli to mu ujdzie na sucho, wygra. Jeśli chcemy, żeby się poprawił, nie powinniśmy na to pozwolić.

Fergal wyglądał na zrezygnowanego. – Myślisz, że komuś uda się go poprawić – powiedział – jeśli nie wyjmie jego mózgu i nie dokręci paru śrubek i nie wyreguluje zaworów?

Maja zamrugła. – Śrubek i zaworów?

–To stare słownictwo samochodowe – wyjaśnił Fergal.

–Widzisz, zawory były...

–Dobra, chwytam sens – przerwała mu Maja. – Sama nie wiem, Fergal. Ale jeśli nie będziemy konsekwentni, to mu nie pomożemy.

–Wiem, ale Alain mówił...

–Och, Alain – przerwała mu Maja, marszcząc brwi. – On prowadzi z Roddym jakąś grę... albo tak mu się wydaje.

–Maja – odezwał się Fergal – wiem, że umiesz oceniać ludzkie charaktery, ale masz na to jakieś dowody?

–Cóż – mruknęła i napiła się herbaty, która już zdążyła ostygnąć. – Nie.

–Więc może nie powinnaś pochopnie go osądzać – poradził jej Fergal.

Zmarszczyła czoło. – Nikogo nie osądzam. Zresztą trzeba przyznać, że to jest fantastyczne... cholera.

–Pchnęła ikonkę jednym palcem. – Co inni mówią o tej symulacji?

–Kilka osób było już w tym Domu Gier – powiedział Fergal. – Sander mi się przyznał.

Maja przypomniała sobie tę zakamuflowaną aluzję w mailu od Sandera, co do „nowego laboratorium Roddy'ego”. Wtedy nic z tego nie zrozumiała. – Kto jeszcze?

–Kelly. Obaj mówią, że to było fantastyczne. Cała góra to labirynt tuneli, balkonów i jaskiń – podobno są tam całe zamki, a nawet miasta i mnóstwo dziwnych stworzeń.

Kawał dobrej roboty.

–Poszli tam jako oni sami, czy w przebraniu?

–Och, oczywiście w przebraniu.

Maja kiwnęła głową, ale mogła się założyć, że Roddy wiedział dokładnie z kim ma do czynienia, bez względu na przebranie czy skorzystanie z dodatkowych kont mailowych. – Muszę przyznać – odezwała się – że sama chętnie rzuciłabym na to okiem... Tergal kiwnął głową. – Większość mówi to samo – przyznał. – Chcą urządzić grupowe zwiedzanie, jutro wieczorem, kiedy nowe laboratorium Roddy'ego ma być oficjalnie otwarte. Co ty na to? Też chcesz pójść?

–Cała grupa się tam wybiera?

–Muszę jeszcze wysondować Shih Chin i Mairead – powiedział Fergal – ale z ich maili wynika, że nie będą się bardzo opierać.

Maja przewróciła oczami. – Cóż, w takim razie, kimże ja jestem, żeby stać na drodze jedności? – powiedziała. Fergal zamrugał, jakby jej ironia dotknęła go bardziej niż Maja przewidziała.

–Będą tam tysiące ludzi – powiedział. – Zaproszenia pojawiły się w moderatorach wszystkich otwartych grup symulowania, a w tych bez moderatorów zadziałała poczta pantoflowa. Zapowiada się wielkie wydarzenie... i podejrzewam, że nikt nas tam nie zauważy.

W tej kwestii Maja miała odmienne zdanie. Jednocześnie jej sumienie – a przynajmniej tak się jej wydawało – mówiło: I co, będziesz taka drobiazgowa i paranoiczna w tej sprawie? Jeśli Roddy rzeczywiście ma talent, zabronisz mu podzielić się swoimi umiejętnościami z grupą tylko dlatego, że zniszczył ci symulację? Zwłaszcza, że wszyscy tak bardzo chcą zobaczyć, czego dokonał?

Odpowiedź na pytania postawione w ten sposób była oczywista. Mój problem, pomyślała zrezygnowana Maja, polega na tym, że cholernie słabo mi wychodzi gniewanie się na innych. Żałowała, że w tej kwestii nie przypomina bardziej swojego brata. Rick potrafił zachować uraz do późnej starości.

Maja westchnęła. – Okay – powiedziała. – Pójdę. Jutro wieczorem na szczęście mam czas. Gdzie się spotkamy?

–Podrzucę ci adres – powiedział Fergal. – Laboratorium Roddy'ego zostanie otwarte o dwudziestej. My się odpowiednio spóźnimy.

Maja kiwnęła głową. – Umowa stoi – powiedziała.

–No dobra – powiedział Fergal i wstał. – Masz dodatkową personę?

–Tak – odpowiedziała Maja. – Mój tata ma kilka anonimowych wirtualnych kont, na wypadek, gdyby były mu potrzebne. Pożyczę sobie od niego.

–Świetnie. Zobaczymy się jutro o dwudziestej.

Fergal podszedł do drzwi, pomachał jej i zniknął.

Maja oparła brodę na rękę i zapatrzyła się w świetlistą sześcienne ikonę, leżącą przed nią na stole.

–Dostaniesz zeza – zauważył Pączek z drugiego końca stołu. – Zostanie ci tak na zawsze, jak zaraz nie przestaniesz.

–Pączek – odezwała się Maja po chwili – skąd ty bierzesz takie informacje? Nie można dostać zeza.

–Mama powiedziała tak wczoraj do taty – oznajmiła jej siostrzyczka, ostrożnie przekładając stronę w swojej książce z obrazkami. – Mam go, Maja! Archipelagusa. Podała dumnie książkę Mai. Maja spojrzała na skrzydlatego stwora.

–Och, Pąku, to Archaeopteryx.

–Tak właśnie powiedziałam – stwierdził Pączek, odkładając książkę i radośnie przechodząc na następną stronę.

–A tu jest Triceraplops.

Maja uśmiechnęła się i poszła zaparzyć kolejną herbatę, ale kiedy czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, jej wzrok znów powędrował w kierunku niebieskiej kostki, leżącej po drugiej stronie stołu... i ponownie poczuła, jak włoski jeżą się jej na karku.

Siedział w ciemnościach i rozwijał nić przeznaczenia – znów ją zwił, łączył i odkładał, gdy była gotowa do użytku.

W Grocie Władcy Gór było ciemno. Tak wolał. Roddy oszczędzał światło dla wzmożenia efektu. Jak wielu dobrych twórców, nie musiał widzieć, co robi, żeby wiedzieć, co się dzieje.

Wokół niego w mroku przemykali się z cichym chrzęstem jego podwładni. Nie widział ich i doskonale zdawał sobie sprawę, że oni również nie chcą go oglądać. Obchodził się surowo ze swoimi ludźmi, gdyż głowę miał zajęętą sprawami ważniejszymi, niż zwracanie na nich uwagi, czy ułatwianie im życia.

W końcu, jego życie też nie jest łatwe. Nie widział powodu, żeby czynić ich los lepszym.

Roddy rozłączył lizynę i cytozynę w łańcuchu DNA, nad którym pracował i przyjrzał im się uważnie, po czym podniósł z ziemi kolejny wycinek łańcucha, tym razem z wiszącym przy nim luzem kawałkiem kwasu rybonukleinowego, który przygotował wcześniej. Wpasował go w odpowiednie miejsce i poczekał, aż łańcuch sam się zrekonstruuje, przyglądając się uważnie całemu procesowi. Chociaż ta część pracy zostanie wykonana samoistnie, trzeba jej dobrze przypilnować. W pewnych miejscach należało zmienić nieco zasady ułożenia splotu, żeby osiągnąć pożądany efekt... a pożądany efekt miał w przypadku tego DNA decydujące znaczenie.

Roddy uśmiechnął się do siebie w ciemnościach – rozciągając usta bez śladu wesołości na twarzy.

Alain, pomyślał, z tobą jeszcze zobaczymy.

Geniusz ma ciężkie życie. Jeszcze cięższe, gdy nikt w otoczeniu nie rozpoznaje w nim geniusza. A najgorsze było to, kiedy ktoś zdawał sobie wreszcie sprawę, że nim

jest... i dochodził do wniosku, że przyda mu się oswojony geniusz. Przydatny dla jego własnych celów.

Jakby Roddy nie miał co robić... zgodnie z własną definicją słowa „przydatny”.

Barbarzyńca, pomyślał Roddy, przyglądając się bliżej DNA, żeby sprawdzić, jak się na nowo splótł. Potem przesunął w rękach kilka metrów i znów natrafił na miejsce, które należało poprawić.

„Przyjemna rzecz” powiedział Alain, kiedy ostatnio przyszedł tu, żeby się rozejrzeć. Jak barbarzyńca wlepiający wzrok w sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej. Nie miał pojęcia na co patrzy, pomyślał Roddy. Alain zawsze jest pewien, że nad wszystkim panuje. To się niebawem diametralnie zmieni.

I Alain w pełni sobie na to zasłużył. To jego wina, że Siódemka tak się zachowała w stosunku do Roddy'ego. To Alain wpadł na pomysł, żeby Roddy włamał się do symulacji Mai i dokonał w niej drobnych zmian. No, może nie takich drobnych. Z jakichś powodów Alain niezbyt lubił Maję. Roddy nie znał tych powodów, i nie za bardzo go obchodziły. Większość członków grupy działała mu na nerwy, chociaż im tego nie okazywał – to w końcu banda żalonych i mało twórczych dzieciaków, które niczego nie potrafią zrobić jak należy.

Ale Maja dała się ponieść emocjom po otrzymaniu tej, w końcu eleganckiej i logicznie skonstruowanej, lekcji pogładowej, po czym zwróciła grupę przeciwko niemu. Wciąż nie mógł uwierzyć, że była na tyle bezczelna, żeby zrobić cokolwiek innego niż mu podziękować. Jej ograniczony umysł zdumiał go i rozwścieczył zarazem. Do tego Alain nie wytłumaczył grupie prawdziwych intencji Roddy'ego... a to należało do jego obowiązków. Przecież bez przerwy powtarzał, że tylko on rozumie Roddy'ego...

Cóż, niedługo obydwójce się przekonają, że nie grają w jego lidze.

Alain jako pierwszy. To jego wina i dlatego zapłaci w pierwszej kolejności. A potem cała reszta, jeśli nie zrozumieją swoich błędów. Jeśli okażą się na tyle rozsądni, że zdobędą się na śmiech i uznają jego zdolności, wtedy im daruje.

W przeciwnym wypadku...

Wciąż przesuwiał jasne nitki przez palce, aż znalazł fragment wymagający modyfikacji. Rozerwał „drabinę” DNA, wybrał kilka wiązań wodorowych i podniósł z podłogi obok tronu kolejny kawałek kwasu rybonukleinowego, potrzebnego do uzupełnienia tego fragmentu łańcucha. Molekuła przybrała na jego oczach nowy kształt i oświetliła od spodu jego twarz, odbijając się w źrenicach i na rękach. Poza zasięgiem światła wciąż uwijały się stworzone przez niego potworki. Nie zwracał na nie uwagi. Wirusy komputerowe były teraz zupełnie czymś innym niż w dawnych czasach. Na początku powstawały dla żartu, czasem niewinnego, czasem złośliwego: były to maleńkie, samoreplikujące się programy, czające się w pustych miejscach twardego dysku, które po aktywacji odgrywały melodyjkę albo zapisywały cały ekran nonsensami. Mogły też sformatować „ścieżkę 0” w twardych dyskach starego typu i na zawsze uniemożliwić odczytanie lub odzyskanie wszystkich danych.

Z czasem, gdy komputery stały się bardziej złożone i mniej zrozumiałe dla ich regularnych użytkowników, wirusy również się skomplikowały. Trudniej też było je

odnaleźć nawet ludziom znającym charakterystykę języka maszynowego, komputerowej wersji kodu genetycznego wirusa. Taki, fragmentaryczny nawet, wirus komputerowy chował się gdzieś w pamięci, przenosił z miejsca na miejsce w pamięci monolitycznej, tu niszcząc trochę danych, tam kilka bajtów, nie zostawiając za sobą żadnych śladów takiej wędrówki, do czasu aż system zaczynał źle funkcjonować.

Potem złożoność wirusów komputerowych stała się rzeczą fantastyczną, a ich twórcy niezmiennie wyprzedzali o krok tych, których zadaniem była walka z wirusami. Było to interesujące odwzorowanie zachowań złośliwych organizmów w prawdziwym świecie, gdyż kolejno bakterie, wirusy oraz inne drobnoustroje, żerujące na bardziej skomplikowanych organizmach, powoli coraz bardziej uodporniały się na działanie lekarstw, tak długo i skutecznie wykorzystywanych w walce z nimi.

Roddy'emu przyszło do głowy – och, parę lat temu – kiedy po raz pierwszy poważnie zainteresował się symulowaniem – że odwzorowywanie można by wykorzystać w dużo większym stopniu, skoro symetria sięgała korzeni zarówno wirtualnego jak i materialnego świata. Jeśli wirus komputerowy zarażał komputer – to chyba, przy ostrożnym i uważnym działaniu, można by znaleźć też sposób zarażenia użytkownika takiego komputera.

Wirtualność opiera się na podstawowej zasadzie interakcji ciała i umysłu lub umysłu i substancji niematerialnych. Przy takim interfejsie, gdzie realne ciało stykało się z wirtualnym, musi istnieć sposób, żeby wirtualność wpłynęła bezpośrednio na ciało, kryjące w sobie umysł. To, że teraz coś takiego nie istnieje, nie stanowiło dla Roddy'ego problemu. Trzydzieści lat temu dzisiejsze skutki wirtualności oddziałującej na ciało też były niemożliwe. A teraz, gdy ścigałeś się wirtualnym samochodem w Le Mans, podskakiwało ci ciśnienie, tak czy nie? Zachodziły zmiany w składzie chemicznym ciała, następował wzrost produkcji danego hormonu, jak gdybyś naprawdę pokonywał właśnie Grand Chicane.

Bodziec i reakcja... tyle że bodziec był wirtualny. A więc... czy nie istnieją inne sposoby na wirtualną stymulację? Inne części ciała, na które można by wpłynąć, inne mechanizmy skłonne poddać się manipulacji?

Te myśli fascynowały Roddy'ego. Nie interesował go szeroko stosowany fizyczny aspekt czy symulacja, czyli mało skomplikowane procesy w Sieci, umożliwiające użytkownikom zawieranie rzekomo najbezpieczniejszych związków o intymnym podłożu, czy uprawianie wspinaczki wysokogórskiej i podobnego typu prymitywnych czynności. Roddy'ego fascynowało wzajemne oddziaływanie ciała i umysłu. Materia wpływa na umysł za pomocą takich substancji jak chemiczne neuroprzekazniki i hormony. Umysł kształtuje ciało, nakłaniając je do produkowania tych substancji. A doświadczenie umysłu jest ni mniej ni więcej tylko wirtualne. Niczego nie doświadcza bezpośrednio. Wszystko jest filtrowane przez zmysły, nawet jeśli doświadczenie wirtualne brało się z manipulowania tymi zmysłami za pomocą komputerowego interfejsu.

A więc, jeśli można było nakłonić umysł do produkowania związków chemicznych w rodzaju adrenaliny, to czy można sprawić, żeby, korzystając z dostępnych surowców, stworzył inne związki chemiczne? A nawet organizmy?

To było bardzo nowe zagadnienie. Biolodzy poświęcili wiele czasu na dyskusje, czy wirusy oraz bakterie Rickettsiae są „żywe”. To fakt, zachowywały się tak, jakby żyły. Reprodukowały się, oddychały na swój prymitywny sposób, reagowały też na bodźce. Ale to wszystko. Jako związki chemiczne, były geniuszami, jako organizmy, nieprawdopodobnymi matołami. Ale nie aż takimi, żeby nie umieć powstawać z dostępnych surowców.

Roddy zaczął się więc zastanawiać, czy przy użyciu wyłącznie narzędzi wirtualnych – części oprogramowania, łańcuchów kodowania – można zbudować coś prawdziwie żywego. Nie tego sztucznego życia, jak w przypadku najlepszych nawet tworów wirtualnych. Bez względu na to jak bardzo rzeczywiste wydawały ci się przedmioty wokół ciebie, jak ciepłe było ciało, jak błękitne niebo, wszystko to koniec końców było kodowaniem. Roddy chciał stworzyć taki program, który usamodzielniał się w rzeczywistości wirtualnej i sam się sobą zajmował – oddychał, reagował na bodźce... pobierał pożywienie. Aż wreszcie przybierał tak złożoną formę, że przekształcał się w organizm. Najpierw w jednokomórkowca. Potem wielokomórkowca. Aż wreszcie...

Nie miał pojęcia, jaki będzie końcowy rezultat jego pracy. Przypuszczał, że zupełnie nowa forma życia: coś, co będzie poruszać się w wirtualnym świecie, jak ryba w wodzie, istota samodzielna i inteligentna. On będzie wynalazcą, ojcem. Wirtualna istota patrząc na niego będzie mówić – Stwórca.

Oczywiście, etyczni programiści nie chcieli mieć do czynienia z tego rodzaju twórczością. Etyczni programiści to tchórze. Byli na krawędzi wielkiego odkrycia i cofnęli się przed nim, przerażeni potencjalnymi konsekwencjami.

Niektórzy aż tak się nie bali. W końcu Roddy nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Nie za bardzo. Niemniej, chciał zbadać to, czego bali się inni programiści. Musi być ostrożny. Każdy, kto dowiedziałby się o jego pracy, próbowałby go bez wątpienia powstrzymać. On jednak zamierzał pracować dalej. Przeprowadzi wstępne eksperymenty, sporządzając drobiazgową dokumentację wyników. Na szczęście miał na kim eksperymentować. Chłopak, siedzący w ciemnościach na kamiennym tronie, uśmiechnął się do siebie, przesuwając w rękach łańcuch życia. Na razie nie ma komu go przekazać.

Ale już niedługo to się zmieni...

Następnego wieczoru Maja udała się do najdalszego pomieszczenia w całym domu, znajdującego się tuż obok garażu. Nazywano je „norą”, chociaż w rzeczywistości było wieloczynnościowym pokojem, wykorzystywanym przez członków rodziny z reguły do czytania albo prac, które nie robiły za dużego bałaganu. Meble w tym pomieszczeniu były zbyt zniszczone, żeby trzymać je w innej części domu, ale zbyt wygodne i lubiane, żeby się ich pozbyć.

Natknęła się tu na brata, wysoką, tyczkowatą personę o krótkich, czarnych włosach, zawzięcie machającą rękami, podczas gdy sam leżał na fotelu VR, z ułożonymi wyżej stopami, i z ożywieniem rozmawiał z kimś za pomocą przenośnego wideofonu. Rozwodził się nad „paleniem lodu”, „szuraniem” i „miotłowaniem” oraz „kamieniami”, co znaczyło, że prowadzi z kimś dyskusję na temat curlingu.

Maja miała ochotę trochę się z nim podroczyć, ale się powstrzymała. Rick raz określił curling jako „głębokie wewnętrzne doświadczenie związku czasu i ruchu”. Popychanie po lodzie gładkiego kamienia i bieganie wokół ze szczotką, uzupełniła w myślach Maja. „Głębokie i wewnętrzne”. Dobre sobie. Ale w końcu mówimy tu o Ricku, który raz określił zachowanie nowego miotacza Orioli jako „niczeańskie”. Maja często zastanawiała się, która obca cywilizacja przesznurowała go na Ziemię w ramach osobliwego eksperymentu genetycznego. Jej ojciec twierdził, że to wszystko wina mleczarza, ale Maja osobiście wątpiła, żeby mleczarz dysponował tak unikalnym zestawem genów.

Podeszła i klepnęła go w ramię. – Hej – powiedziała – widziałeś gdzieś moją kurtkę?

–Co? – Zamrugał oczami. – Wisi w pralni. Zdaje się, że mama znowu robiła porządki.

–Dzięki. – Poszła po kurtkę. Kiedy wróciła, Rick skończył już rozmowę i teraz stał, rozciągając się tak, że aż trzeszczały mu stawy. Spojrzał na nią z wyrazem twarzy, który raz przywiódł Mai na myśl sowę: lekko zdezorientowaną i nieco zwariowaną, niemniej potencjalnie niebezpieczną.

–Wychodzisz? – spytał.

–Aha.

–Spotykasz się z kimś?

–Nie fizycznie.

Znów zamrugał. – Wirtualnie? To po co wychodzisz?

–Chcę skorzystać z kafejki internetowej – wyjaśniła mu.

–To się mniej rzuca w oczy.

–Możesz przecież przepuścić swoje wejście przez dolny poziom anonimizatora.

–Niektórzy natychmiast by się w tym połapali – powiedziała Maja.

–Och – zrozumiał Rick. – Chwytam. Zamierzaś odczytać Panu Hakerowi jego prawa.

Na twarzy Mai pojawiła się lekka drwina. – Chciałabym, żeby ktoś to zrobił – powiedziana – ale, nie, nie zamierzam marnować czasu.

Idziemy wszyscy zobaczyć jego nową symulację.

–Ten cały „Dom Gier”?

–Słyszałaś o nim? – zdziwiła się Maja. Rick niespecjalnie interesował się symulowaniem.

Rick kiwnął głową. – Głośno o nim na różnych kanałach z wirtualnymi wiadomościami – powiedział. – Mówią, że jest bardzo zaawansowany.

Maja kiwnęła głową. – Z tego co widziałam, to by się zgadzało.

–Opowiesz mi o tym, jak wrócisz – powiedział jej brat, wychodząc na korytarz. – Ale szkoda, że nikt nie zorganizował zniszczenia jego wielkiej i wspaniałej symulacji, kiedy wreszcie ten mały świr postanowił ją publicznie zaprezentować.

–Tak – mruknęła z zastanowieniem Maja.

–Cóż – rzucił jeszcze Rick z korytarza – daj mi znać, jeśli trzeba będzie kogoś stłuc na kwaśne jabłko... – Jego głos ucichł, kiedy zamknął za sobą drzwi.

–Nie wydaje mi się, żeby bicie na kwaśne jabłko było legalne – zawołała Maja w stronę korytarza, ale nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Zawsze można było liczyć na to, że Rick powie na głos rzeczy, które ona zatrzymałaby dla siebie.

Podróż do drugiej najbardziej popularnej kafejki internetowej w jej okolicy zajęła jej dwadzieścia minut – Maja zastanawiała się, czy Roddy mógł umieścić w tych dwóch najbliższych swoje pluskwy.

Miejsce było bardzo dogodne – jego mała witryna wciśnięta była pomiędzy chińską restaurację a sklep z artykułami dla zwierząt – poza tym знаła jego właścicieli. Wykupiła czas, wzięła klucz do boksu, zamknęła się od środka, usiadła wygodnie w supernowoczesnym fotelu, i podłączyła do niego swój implant.

Otoczenie zbladło, a ona zaczęła przenosić się do Sieci. Świat przybrał wirtualną formę, dość neutralną przestrzeń „przejściową” kafejki internetowej: beżowe ściany, oświetlenie bez konkretnego źródła i pustka. Maja wprowadziła współrzędne jej osobistego miejsca pracy. Prawie natychmiast znalazła się wśród bieli i chromowanej stali swojego VR.

W „willi” Mai obowiązywał czas ateński. W Aleksandrii w Wirginii mogło się ściemniać, ale tu niebo nad Cykladami nabierało koloru indygo, a widok przez świetlik dowodził, iż na greckich wyspach budził się pokryty różaną rosą poranek.

Otworzyła jedną z szafek na dokumenty i zaczęła przeglądać różne ikony i symbole jej danych online, które tu trzymała. W szafce panował lekki bałagan. Przypominała ona raczej jedną z szuflad z zabawkami Pączka. Pełno tu było klocków, piramid i kul oraz innych zminiaturyzowanych kształtów, przedstawiających miejsca i usługi dostępne w świecie wirtualnym. Nagle coś przyczepiło się jej do ręki. – Au – powiedziała, machając ręką. Znowu się przykleiło. Oderwała przedmiot i przyjrzała mu się. Była to miniatura Taj Mahal. – Co jest? – zdenerwowała się i potrząsnęła ikoną, żeby zobaczyć, co przedstawia.

Natychmiast rozległa się pobrzękująca hinduska muzyka, a w powietrzu pojawił się intensywny zapach jakiejś mocno przyprawionej potrawy. Wysoki mężczyzna w turbanie, z rękami złożonymi jak do modlitwy, ukłonił się jej ze słowami:

–Dziesięcioprocentowy rabat na następny posiłek, jaki zamówisz w restauracji „Kalkuta” w Falls Church w Wirginii. Rezerwacje pod telefonem...

Maja zachichotała i przekręciła ikonę w ten sposób, że ta „spakowała się”, po czym wrzuciła ją z powrotem do szuflady.

–Muszę ją dać mamie, do jej kolekcji wirtualnych kuponów.

Sięgnęła na samo dno szafki i wreszcie znalazła to, czego szukała: ozdobną maskę, połączaną i ozdobioną piórami, z rodzaju tych, które zakładano na wielkie bale maskowe w Wenecji, w czasach, gdy należała do miast-imperiów, niepodzielnie królujących na morzach.

Maja podniosła ją do oczu i podziwiała złoty blask, wydobyty przez subtelne światło wirtualnej przestrzeni.

Oczywiście, maska nie była prawdziwa. Symbolizowała jedynie wirtualną tożsamość. Nałożenie jej automatycznie przepuszczało dane twojej wirtualnej osobowości przez górny poziom anonimizatora, „żeby nikt inny w Sieci cię „nie

rozpoznać”, ani nie wykorzystał programu analitycznego do zdobycia informacji na twój temat. Ten rodzaj „lekkiego” anonimizatora ściągał na siebie mniejszą uwagę ludzi takich jak Roddy, czyli szukających dowodów na to, że ktoś prezentuje swoją wirtualną personę z własnego terminala VR, usiłując ukryć lokalizację i tożsamość jednocześnie.

Nie dało się, oczywiście, ukryć faktu, że wykorzystuje się anonimizator – większość publicznych i prywatnych miejsc w Sieci wymagała przynajmniej takiego minimum informacji – ale to samo w sobie nie było niczym wyjątkowym. Wiele osób wolało trzymać w tajemnicy większość swoich wirtualnych interesów, głównie dlatego, że i tak istniało zbyt wiele źródeł, gdzie można było zdobyć dane osobiste. Nawet rządowi nie zawsze można ufać, że odpowiednio wykorzysta czyjeś personalia. W końcu, rząd składa się z osób prywatnych... skłonnych nieprawidłowo posłużyć się informacjami poufnymi równie ochoczo jak wszyscy inni.

Maja odrzuciła włosy na plecy i włożyła maskę. Niepotrzebne jej były sznurki ani inne elementy mocujące. Zostanie na twarzy, aż Maja zechce ją zdjąć. Dla dodatkowej ochrony i też trochę dla żartu, przybrała wygląd swojego brata. Spojrzała po sobie, żeby zobaczyć jak się prezentuje i okazało się, że rzeczywiście ma na sobie parę znoszonych dżinsów i podkoszulek z nadrukiem SASKATCHEWAN CURLING CLUB.

–Ekstra – powiedziała cicho, licząc w duchu, że nikt nie zada jej żadnych pytań na temat curlingu. Nie poznałaby miotły do tego dziwnego sportu, nawet gdyby ta uderzyła ją w nos.

Wycofała się ze swojej lokalizacji i upewniła się, że jej wirtualnej tożsamości nic nie brakuje, a następnie podała publicznej lokalizacji adres ustalonego przez Siódemkę miejsca ich spotkania, przysłany przez Fergala. W powietrzu przed nią otworzyły się drzwi. Przeszła przez nie na drugą stronę.

Wyszła prosto na szeroką, drewnianą werandę dużego, starego domu o białym gonicie i architekturze typowej dla przylądka Cod. I rzeczywiście, zdaje się, że tam go właśnie umiejscowiono. Po zejściu z werandy trafiało się prosto na trawnik, porośnięty krótko skoszonymi, szorstkimi źdźbłami, które przy końcu „podwórka” stawały się wyższe, a następnie prowadziły po falistych wydmach na pobliską plażę. Reszta Siódemki siedziała tam na różnych wiklinowych fotelach i innych dość starych z wyglądu meblach ogrodowych.

Tak przynajmniej założyła Maja, ponieważ jeśli się nie myliła, nikt inny nie umówił się o tej porze w tym konkretnym miejscu Sieci. Problem polegał na tym, że ukryci za wirtualnymi personami, byli nie do rozpoznania. Stanowili osobliwą grupę starych i młodych kobiet i mężczyzn, a w kilku przypadkach nawet zwierząt, na przykład zaskakująco różowego kucyka z długą, fioletową grzywą oraz wielkiego, smutnego orangutana.

–O rany – odezwała się Maja – może powinniśmy przy piąć sobie identyfikatory.

–Albo czerwone goździki, czy coś takiego – powiedział Alain. Wyglądał jak bardzo ładna blondynka o długich włosach, w obcisłym kostiumie, ale na razie nie dodał filtra głosu. Efekt był raczej zabawny.

Fergal parsknął śmiechem. – Jeśli zostawisz sobie taki głos, nie będzie ci potrzebny goździk. Może zostawmy sobie po prostu nasze głosy.

–To chyba nie jest dobry pomysł – powiedziała Maja.

–Znając Roddy'ego, w całej symulacji zainstalował pod słuch.

–Choć niechętnie, muszę się z tym zgodzić – odezwał się Sander. – Co z tym zrobimy?

–Mam przy sobie mały program „kostka milczenia” – odpowiedziała Maja. – To przenośny pakiet szyfrujący, przeznaczony do komunikacji prywatnej. Możemy swobodnie rozmawiać między sobą, a odszyfrowanie tego, co mówimy będzie zbyt skomplikowane i czasochłonne, żeby ktokolwiek zdążył z tym do przyszłego tygodnia. A co do identyfikacji wizualnej...

–Tajne dekodujące pierścionki? – zaproponowała Mairead.

Wszyscy zdziwili się trochę. – Może być – powiedział po chwili Kelly. – Wszyscy możemy włożyć jednakowe... i trzymać ręce w kieszeniach, kiedy coś nas rozdzieli.

Był to wystarczająco dobry pomysł. Wybrali prosty, klasyczny wzór z zielonym kamieniem.

–I jeszcze jedno – powiedziała Mairead, kiedy wszyscy zaopatrzyli się w pierścionki – może warto zaopatrzyć je w „brzęczyki”. Taką funkcję alarmową... dzwoni, kiedy osoba stojąca obok też ma taki pierścionek.

Wszyscy wybrali częstotliwość i zaprogramowali brzęczyki.

–Dobrze – powiedział Bob. – Dokąd teraz?

–Wracamy do wyjściowych lokalizacji – powiedział Kelly. – Pojawimy się na miejscu w mniejszych grupach, jak wcześniej zaproponował Fergal. Wszyscy macie zestaw współrzędnych do obszaru wejściowego Roddy'ego?

Kiwnęli głowami i zniknęli. Maja wróciła do swojej kafejki internetowej, wprowadziła współrzędne i natychmiast znalazła się w wielkim, kamiennym atrium, oświetlonym ogromnymi, alabastrowymi kulami, zawieszonymi na suficie tak wysokim, że nie było go widać. Po jednej stronie Maja zobaczyła Fergala i niedbałym krokiem podeszła do niego.

–Te na górze, to chmury – powiedział Fergal. – Spójrz tylko.

Kilka chwil później dołączył do nich Sander.

–To miejsce musi mieć z półtora kilometra szerokości – szepnął Sander do Fergala.

–Jak on, do diabła...?

–Witajcie w Domu Gier – odezwał się przyjemny głos, a nad ich głowami pojawił się jakiś stwór. Był bardzo wysoki i bardzo chudy, o skórze w odcieniu perły i łysej czaszce, co upodabniało go do skrzyżowania istoty pozaziemskiej z wyobrażeniem elfa. Podał każdemu z nich mały przedmiot, kwadratową tabliczkę z niebieskiego szkła, o boku mniej więcej trzech centymetrów. – Oto wasza mapa. Przekąski po prawej, przygody po lewej, widoki i sala balowa na wprost. Życzę miłego pobytu.

Przemieścił się w innym kierunku, żeby przywitać nowych gości. We trójkę przyglądali się swoim mapom. Potem Sander szepnął do Mai:

–Widzisz pozostałych?

–Tak, po drugiej stronie, razem z pierwszą grupą – a tam jest druga. To już wszyscy. Podzielmy się tak, jak ustaliliśmy i wchodzimy do środka.

Reszta słyszała to dzięki osobistej sieci komunikacyjnej. Kiwnęli głowami i podzielili się na trzy grupy – jedną dwuosobową i dwie trzyosobowe. Maja przyłączyła się do Shih Chin, obecnie w formie dużego, przystojnego Afroamerykanina o zadziwiających mięśniach, widocznych pod skrojonym bez zarzutu trzyczęściowym garniturem.

Maja nacisnęła kciukiem odpowiednie miejsce w małym przedmiocie i w powietrzu rozwinęła się trójwymiarowa mapa, która od tej pory frunęła za nią.

–Sto pięćdziesiąt poziomów – powiedziała cicho.

–Każdy wielkości cztery kilometry na osiem, mniej więcej. – To nie może być tak duże – powiedziała Chin, rozglądając się wokół, ale w jej głosie już czuć było wahanie, chociaż dziwnie brzmiał obniżony o trzy oktawy.

–Powiedz to Roddy'emu – odezwała się Maja. – Zobaczcie, tu jest coś, co się nazywa „Centralne Atrium”. Może od niego zaczniemy?

–Miejsce dobre jak każde inne.

Zaczęli wędrówkę przez ogromną salę. Tylko w niej znajdowało się obecnie około tysiąca osób. Wiele z nich miało postać zwykłych ludzi, przechadzających się i gawędzących z kosmitami i dziwnymi stworami, tylko w niewielkim procencie będącymi wytworem wybujałej wyobraźni Roddy'ego. Mnóstwo ludzi lubiło się odstawić na dużą, wirtualną imprezę, więc wiele osób miało na sobie przebrania. Tak przynajmniej podejrzewała Maja, ponieważ trudno było uwierzyć, że w realnym świecie istnieje aż tyle olśniewających kobiet i przystojnych mężczyzn. Cóż, pomyślała, to nie grzech odpicować się od czasu do czasu na wieczorne wyjście.

Istniała jednak grupa, podchodząca do własnego przebrania z pewną przesadą, w związku z czym, w pomieszczeniu znajdowali się neandertalczyki w samych przepaskach, mnóstwo kopii popularnych wirtualnych aktorów i gwiazd show biznesu, współczesnych i starszych; co najmniej dwadzieścia osób pojawiło się jako czarny charakter z najnowszego Bonda, były też postaci z czasów przed stereo. Maja patrzyła z lekkim zażenowaniem na małego, różowego kucyka Boba do czasu, aż mało nie rozdeptał jej pędzący jak rakietą ptak o bardzo długich nogach, uciekający przed jakimś wychudzonym, dużym psem, goniącym go z ponurą determinacją. Niewątpliwie ta noc należała do wariatów.

Jednak baczniejszą uwagę zwróciła na istoty pozaziemskie, będące najprawdopodobniej tworem wyobraźni Roddy'ego: wysokie, szczupłe, podobne do tej, która ich przywitała, zdumiewająco wdzięczne i o bardzo miłej powierzchowności, a przede wszystkim niezwykle różnorodne. Nie było tu mowy o taśmowej produkcji. Opracowano je z najwyższą starannością. Obok Mai przeszła właśnie grupa tych istot, ubrana w przepiękne, haftowane stroje, przywodzące na myśl dworskie ubiory z czasów średniowiecznej Rosji, ozdobiane drogimi kamieniami i złotymi koronkami. Grały na instrumentach smyczkowych i nuciły dziwną melodię, zdającą się łączyć w sobie elementy klasycznej muzyki kameralnej i dysonansów z początków dwudziestego wieku... oraz inne wpływy, których Maja nie potrafiła rozpoznać.

Nie podejrzewałam go o taką wrażliwość, pomyślała. Delikatność, piękno. To tylko dowodzi, jak mylne wyobrażenie mamy czasem na temat pewnych osób. A raczej nie mylne, tylko bardzo niekompletne.

Westchnęła i razem ze swoją grupką podeszła do ogromnego otworu w kamiennej ścianie na wprost nich. Nie wszystkie trzy jednak pokonały ten dystans na dwóch nogach. Zbliżyła się do towarzyszki po swojej prawej i wyszeptała: – Mairead – dlaczego właśnie orangutan?

Orangutan rzucił Mai uważne spojrzenie, poruszając się długimi podskokami. Po chwili odpowiedział: – Bo to naturalny rudzielec... ale nikt nigdy o to nie pyta.

–Chwytam – powiedziała Maja.

Przed nimi zebrał się mały tłumek. Grupki Siódemki zwolniły i dryfowały razem w tłumie przez jakiś czas, popychane w kierunku czegoś, czego Maja nie mogła zobaczyć. Po chwili tłum rozdzielił się na dwie strony i ruszył po wielkich, krętych schodach.

Dokładnie na wprost Mai, Mairead i Chin widniał rząd smukłych, kamiennych kolumn. Podeszły do niego i spojrzały w dół, na główną salę.

–O kurczę – sapnęła Maja.

–Wielki Buddo na rowerze – wyraziła to po swojemu Shih Chin.

–Rany – jęknęła Mairead, całkiem osłupiała.

„Tysiące ludzi” to mało powiedziane. Wyglądało na to, że znajduje się tu jakieś dziesięć tysięcy zwiedzających... a mimo to nie było tłoczno. Centralne Atrium wznosiło się na osiem pięter, z których każde musiało mieć około pięćdziesiąt akrów powierzchni, pokrytej łukami i balkonami. Wszędzie przechadzali się ludzie, przyglądając się ozdobnym, ściennym płaskorzeźbom, rozmawiając z obcymi istotami i, ogólnie rzecz biorąc, nie mogąc wyjść z podziwu.

I nie bez powodu. – Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Kelly do Mai, kiedy szli po wielkich schodach z gładkich kamieni na dolny poziom. Kelly obejrzał właśnie jedną ze ścian. – Żadna z tych rzeczy nie jest autorska w zwykłym sensie tego słowa – powiedział cicho. – Nie stosował tu ani technologii granic wspomagających ani powierzchni Potemkina, czy czegoś w tym stylu. To po prostu jakoś urosło. Żadnych fraktali, oszukiwania... wygląda na to, że wszystko powstało molekuła po molekuła. Jakby było prawdziwe. Jak on to robi?

Maja pokręciła głową. – Jest geniuszem – powiedziała, choć przyznanie tego było równie przyjemne co zjedanie całych cytryn.

Ich grupki znów wędrowały razem, aż doszli do głównego poziomu, skąd poszli dalej, starając się nie podkreślać związku między sobą, ale też nie tracić się z oczu. Ten poziom atrium prowadził do jeszcze jednego przez kolejny wielki łuk... i po przejściu przez ogromne drzwi, wszyscy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia. Atrium, w którym się znaleźli, okazało się większe od poprzedniego. Miało co najmniej półtora kilometra szerokości.

–To nie fair – mruknął Alain za plecami Mai, kiedy ruszyli po rozbrzmiewającym echem, najniższym poziomie, mijani przez grupki elfów, grających na przeróżnych instrumentach i śpiewających wysokimi, delikatnymi głosami.

–Gdzie on to wszystko upakował?

Pozostali pokręcili głowami.

–To dobre pytanie – powiedziała cicho Maja do Shih Chin. – A co ważniejsze, jak mógł sobie na to pozwolić? Do wzniesienia wirtualnej struktury tego rodzaju potrzeba pamięci wartości setek tysięcy dolarów.

–To nawet nie o to chodzi – odpowiedziała Chin, rozglądając się wokół. – Nie wydał aż tak dużo – przejrzałam szczegółowe dane jego laboratorium, zanim się tu wybrałam. Natomiast wygląda na to, że znalazł sposób kompresji wszystkich tych danych, mieszcząc się w przestrzeni dziesięciokrotnie mniejszej, niż na to wygląda. On używa nie tylko oprogramowania układu. Musi pisać bezpośrednio w VirtC++ albo w innym języku maszynowym, pakując niewiarygodnie ciasno informacje.

Maja ponownie pokręciła głową, czując, że powoli wchodzi jej to w nawyk. To była prawdziwie zadziwiająca robota – wykraczająca daleko poza poziom ich symulacji; a w ocenie Mai, lepsza niż niektóre bardzo drogie symulacje profesjonalne w Sieci. Ten cały pokaz miał na celu coś więcej, niż zaimponowanie Siódemce – o wiele więcej. To była wizytówka Roddy'ego, poinformowanie całego świata, a w szczególności środowiska zajmującego się symulowaniem, że oto oficjalnie wkroczył na scenę i od tej pory będzie na niej liczącą się postacią. Siła tego przekazu była aż irytująca... a Maja nie mogła jej nie podziwiać. Mam jedynie nadzieję, że ten poziom osiągnąć wystarczy, żeby zrekompensować sposób, w jaki on traktuje ludzi, pomyślała, bo jeśli nie...

Ale podejrzewała, że wystarczy. Utwierdziła się w tym, kiedy godzinę później, po długiej wędrówce wewnątrz rzeźbionej góry, zdumiewającymi krajobrazami i Słońcem w pełni zaćmienia, natknęli się na Roddy'ego. Stał dokładnie pod najwyższym punktem sklepienia ogromnej kopuły, najwyraźniej wykonanej z jednego wielkiego kawałka marmuru, tyle że ten akurat samoistnie świecił, tak że cała budowla tonęła w chłodnym, białym blasku, cudownie oddziałującym na oczy, choć nie pozbawionym pewnej osobliwości.

Roddy ubrany był w staroświecki smoking z czerwonymi lampasami, czerwoną muszkę i czerwone skarpetki. Na swój sposób wyglądał wspaniale. Otoczony był gromadą ludzi, wyglądających na przedstawicieli mediów – niektórzy mieli widoczne identyfikatory, inni tylko słuchali, choć nie ulegało wątpliwości, że każde słowo Roddy'ego było nagrywane i jutro pojawi się we wszystkich serwisach informacyjnych. A on najwyraźniej zamierzał wykorzystać tę sytuację do maksimum. Mówił bez przerwy, a dziennikarze spijali każde słowo z jego ust.

–Spójrz tylko na niego – odezwała się cicho Shih Chin.

–Pławi się w swoim sukcesie.

–A ty zrobiłabyś inaczej? – spytała Maja.

–Pewnie, że nie.

Poszli dalej, nie zatrzymując się i tylko przelotnie obrzucili spojrzeniem postaci w smokingu. Tu czekała Maję niespodzianka, większa niż mogła przypuszczać. Roddy wydawał się szczerze szczęśliwy. Nie miał na twarzy swojego uśmiechu typu „Jeszcze ci pokażę”, tak często pojawiającego się na jego twarzy. Ta różnica w jakiś

sposób dotknęła Maję, tylko jeszcze nie wiedziała w jaki.

Absolutnie niemożliwe, żebyś miała tu do czynienia z czymś tak banalnym i okropnym jak zazdrość! – usłyszała cichy głosik sumienia. Nie wierzę, żebyś zazdrościła komuś bycia w centrum uwagi. Jutro o tej porze będzie już sławny. Ludzie będą go błagać, żeby ubił z nimi interes. Niemożliwe, żeby to właśnie cię męczyło.

Maja nie cierpiała, kiedy jej sumienie przybierało tak sarkastyczny ton. Choć nie wykluczone, że w tym przypadku sarkazm się jej należał.

Poszli dalej i skierowali się mniej więcej w stronę zagłębenia, oddalonego o kilkadziesiąt metrów od centralnej części pomieszczenia, skąd dochodziły kuszące zapachy.

–Jedzenie – powiedział Fergal – - to jest myśl...

–W twoim przypadku to jedyna myśl – zauważył Kelly.

–Och, dajcie spokój – powiedział Fergal, kiedy zbliżali się do przykrytego jedwabnym obrusem bufetu, obsługiwanego przez grupę istot, ubranych w nieco przesadnie wysokie kucharskie czapki. Podawano tu wszystko, począwszy od astrachańskiego kawioru, aż po plastry upieczonego w całości wołu o pozłacanych rogach i kopytach. – Nie wspominałem o jedzeniu – zaczął Fergal – przez co najmniej...

–Pięć minut – dokończył za niego różowy kucyk.

–Wypchaj się sianem – powiedział Fergal i wziął do ręki talerz.

Pozostali poszli za jego przykładem, wyjąwszy Maję, która jadła przed wyjściem i nie była głodna oraz Boba, rzecz jasna, ponieważ jako kucyk nie mógł kopytami trzymać talerza. Podeszedł do baru sałatkowego i porozmawiał chwilę z wyjątkowo życzliwym elfokosmitą. Po chwili przeżuwał już apetycznie skomponowaną sałatkę z kiełkami soi, podczas gdy Fergal, Alain i Kelly oraz pozostali wędrowali wzdłuż szwedzkiego bufetu, atakując kawior, bliny i wiele innych smakołyków, albo czekali aż obsługa ukroi im kawałek pieczonego mięsa.

–Potrafi gotować – powiedział Fergal, kręcąc głową.

–Tyle trzeba mu przyznać.

Maja znów zaczęła kiwać głową, ale szybko przestała, zdecydowana nie robić tego więcej dzisiejszego wieczoru. Obok niej Mairead pałaszowała sałatkę z pomarańczy i kiwi w sosie winegret.

–Pyszne – powiedziała. – Muszę dostać przepis.

–Jestem pewna, że da ci go z przyjemnością – powiedziała Maja, spoglądając znów w kierunku centralnej części sali. Roddy wciąż tam stał, udzielając wywiadów. Ledwie widać było jego głowę w morzu pozostałych.

Odetchnęła głęboko i odwróciła się do bufetu, żeby przyjrzeć się bliżej blinom. Śmietanowa polewa wyglądała wyjątkowo apetycznie. Kiedy podeszła do stołu, zobaczyła, że i Alain przygląda się Roddy'emu, a potem odwraca i mówi:

–Oho! – Zupełnie bez związku.

Maja spojrzała na Fergala, zajętego niemiecką sałatką z ziemniaków i uniosła brwi. Fergal obrzucił Alaina krótkim spojrzeniem, spotkał się wzrokiem z Mają i wzruszył

ramionami. Alain miewał czasem osobliwe poczucie humoru, ale nie różnił się w tym względzie od pozostałych. Nikomu nie wyszłoby na dobre, gdyby Shih Chin zapaliła się do swojego ulubionego tematu, czyli boliwijskiej komedii alternatywnej. Zwłaszcza teraz, kiedy jest w przebraniu goryla, pomyślała Maja. To by było niezłe zamieszanie.

–Tak – odezwał się nagle Alain, dziwnie głośno. – Na co się tak gapicie? – krzyknął, z pozoru wesołym głosem, tyle że o wiele za głośno. To zaskoczyło wszystkich członków grupy, tym bardziej, że Alain najwyraźniej zwracał się nie do nich, tylko do stworów Roddy'ego. – Czy to nie jest cholerne чудо? Człowiek ma po prostu ochotę odgryźć sobie głowę.

Członkowie grupy wymienili między sobą zmieszane spojrzenia. Teraz już wszyscy goście, stojący przy bufecie, utkwili w nim wzrok. Alain jednak wydawał się tego nie dostrzegać. Zaczął krzyczeć coraz głośniej, do tego stopnia, że łamał mu się głos.

–To jest coś – powiedział wciąż tonem konwersacji, ale tak donośnym głosem, że zdaniem Mai, pękłoby od tego szkło. W wielkim pomieszczeniu było takie echo, że fragmenty jego słów wracały do nich dopiero po sekundzie.

Teraz również ludzie z centralnej części sali zaczęli odwracać głowy w ich stronę.

–Co za wyjątkowe...! – wrzasnął Alain. A potem zaczął śpiewać na cały głos, a trzeba przyznać, że jego płucom nic nie brakowało. – Jestem królem Zachodu i mam pudełko zieleni...!

Maja nigdy nie słyszała tej melodii. Wokół Alaina zapadła pełna zdumienia cisza. Nawet stoickie istoty Roddy'ego nie potrafiły ukryć zainteresowania. Cisza zalegała na coraz większym obszarze. Przerywało ją jedynie jodłowanie Alaina – inaczej nie dało się tego nazwać.

–Czy on coś pił? – usłyszała Maja czyjeś pytanie zadane szeptem.

Po raz ostatni pokręciła głową. Wyglądało na to, że nie ma znaczenia, czy jest pijany, czy trzeźwy. Alain zupełnie nie miał słuchu. Koordynacji ruchowej też najwyraźniej nie, ponieważ upuścił swój talerz, zajęty wymachiwaniem rękami. Chińska porcelana kostna roztrzaskała się o podłogę, na której rozsypał się kawior i przepiórki w sosie Cumberland. – A kiedy zobaczyłem stugłową bestię...! – To już nie była piosenka, tylko tyrada, którą Alain wygłaszał, chodząc chwiejnym krokiem dookoła, wywijając młynka ramionami, tak że ludzie zaczęli ustępować mu z drogi.

Członkowie Siódemki intuicyjnie zbili się w grupkę, jakby namagnetyzowani niesamowitością sytuacji. – Co się z nim dzieje? – spytał zdumiony Bob.

Sander odstawił talerz. – Nie wiem, ale... – Potwór! – wydierał się Alain. – Chce zdobyć wszystko, chce... – Jego chód stawał się coraz bardziej nieskoordynowany. Maja zauważyła na jego czole krople potu. Wtedy rozpadła się jego wirtualna persona i już nie był w przebraniu. Był to niewątpliwie Alain i niewątpliwie stracił nad sobą kontrolę, chwiejąc się na wszystkie strony, ze szklistymi oczami o powiększonych źrenicach i spojrzeniu utkwionym w jednym punkcie. Na twarzy miał sztywną maskę, jakby ponurego skurczu. Wyglądało na to, że nie może poruszać głową, którą trzymał sztywno, jakby miał na szyi kołnierz ortopedyczny, chociaż reszta ciała nie

mogła się zdecydować, w którym kierunku ma biec.

–Siedzi w ciemnościach i tka swoje pajęczyny, a my wszyscy jesteśmy sami! Odizolowani! Izolacjonizm! Uwolnić srebro! Nie mogę uwolnić...

Zaplątały mu się nogi i stracił równowagę. Bob dobiegł do niego i nadstawił swój różowy kark, amortyzując upadek. Wtedy doskoczyli do niego Sander i Kelly, i złapali Alaina, kładąc go już powoli na podłogę, jeszcze do niedawna lśniąca, a teraz pokryta rozdeptanym jedzeniem i kawałkami porcelany. Alain leżał tam ze sztywną szyją, rzucając się na wszystkie strony, usiłując coś powiedzieć, ale na próżno, gdyż słowa nie mogły się wydostać przez zaciśnięte gardło.

–Odwaliło mu – powiedział zdumiony Fergal, a akcent z Yorkshire był w jego głosie bardziej zauważalny niż normalnie.

–Jest chory – powiedziała Maja, chociaż najpierw gotowa była zgodzić się z opinią Fergala. Jednak nie wyglądało jej to na „zwykłe” pomieszczenie zmysłów i nagle poczuła, jak bardzo jej szkoda Alaina, pod obstrzałem tych wszystkich par oczu. – Chodźcie, trzeba go stąd zabrać!

Reszta grupy otoczyła Alaina kołem. – Gdzie on mieszka? – Gdzieś w Nowym Jorku. Znajdźcie adres i zadzwońmy do jego domu, żeby sprawdzić, czy ktoś mu tam może pomóc.

–Mam numer połączenia – powiedział Fergal. – Jest sygnał.

Stał ze wzrokiem wpatrzonym przed siebie, a reszta patrzyła na niego i Alaina, wciąż w drgawkach na podłodze.

–Nikt nie odpowiada – powiedział po chwili Fergal.

–Jest sam w domu. Włączyła się automatyczna sekretarka.

–Zadzwoń na pogotowie – powiedziała Maja. – On jest chory.

Dookoła zbierał się szemrzący, zaciekawiony tłumek.

–Kelly – powiedziała Maja – wracamy do twojego VR, prędko! – Uklękła przy Alainie i zbadała mu puls. Był bardzo wysoki. Do tego miał gorączkę – czoło błyszczało mu od potu.

Kelly otworzył na oścież wiszące w powietrzu drzwi. Pozostali podnieśli Alaina i razem przez nie przeszli. Maja wychodziła jako ostatnia i, zamykając za sobą drzwi, dostrzegła w zatłoczonym pomieszczeniu jeszcze jedną parę oczu. Należały do Roddy'ego.

Taksował ją takim samym spojrzeniem, jak wtedy, kiedy powiedziała „On jest chory”. Na jego twarz znów zawitał charakterystyczny radosny i gniewny zarazem uśmiech – ten, który uniesionymi kącikami ust zdawał się mówić „Mam cię”.

Ta noc dla Mai trwała bardzo długo – nie mogła zasnąć. Obejrzała sobie wschód słońca, nie w Grecji tylko w Aleksandrii, i najwcześniej jak tylko się dało w ramach przyzwoitości, a przed pójściem do szkoły, weszła do VR i zleciła komputerowi połączenie z Net Force. Kilka chwil później stała już w gabinecie Jamesa Wintersa. Pierwsze promienie słońca przeświecały przez żaluzje, pokrywając prążkami plik dokumentów na biurku. Winters zobaczył Maję znad tych papierów oraz prawdopodobnie pierwszej tego dnia filiżanki kawy, sądząc po jego dość zaspanym wyglądzie i zapytał:

–Czemu zawdzięczaam tę miłą niespodziankę?

Opowiedziała mu o zdarzeniu. Trochę to trwało. Winters nie przerywał, tylko kilkakrotnie pokiwał głową, podczas gdy Maja, przemierzając jego gabinet w tę i z powrotem, relacjonowała przebieg wypadków.

–Napijesz się czegoś? – spytał po kilku minutach Winters.

–Poproszę o herbatę – powiedziała Maja. – Panie Winters, on zupełnie stracił głowę. Kompletnie mu odbiło. Bełkot, brak koordynacji ruchowej. Całą grupą opuściliśmy symulację i zadzwoniliśmy do jego domu. Nikt nie odpowiada! – więc mój kolega z grupy wezwał tam pogotowie. Powiedzieli nam, że musieli się włamać do jego mieszkania i znaleźli go nieprzytomnego... od tej pory nic o nim nie słyszeliśmy.

–Nie masz kontaktu z jego rodzicami?

Pokręciła głową. – Usiłowaliśmy się z nimi skontaktować wczoraj wieczorem. Nie było ich w domu.

Winters przez chwilę patrzył w jakiś punkt w przestrzeni, sprawdzając dane, niewidoczne dla Mai. Mrugnął kilka razy, prawdopodobnie wybierając opcje z menu.

–Thurston? – zapytał. – 14-302 Ocean Parkway, Brooklyn? – Zgadza się.

–Jest w Centrum Medycznym Cornella na Manhattanie – powiedział Winters. – Dostępna informacja medyczna na jego temat mówi, że do dzisiejszego ranka trzymano go na oddziale intensywnej terapii, ale przeniesiono go już na zwykły oddział, gdzie zostanie jeszcze do jutra na obserwacji... widocznie kuracja, którą zastosowali podziałała.

–Co mu się stało?

–Ta informacja jest niedostępna. Tajemnica lekarska.

Jedną sekundę. – Nastąpiła przerwa, podczas której Winters utkwiał wzrok w żaluzjach na oknie i powiedział w powietrze: – Cześć, Magda. Tu James Winters z Net Force. Co u ciebie? Dawno się nie widzieliśmy. Słuchaj, Magda, potrzebna mi diagnoza pewnej osoby. Utajniono ją, ponieważ pacjent jest nieletni, a przyjęto go pod nieobecność rodziców. Aha. Thurston, Alain. Zgadza się. Tak, wstępne śledztwo. – Cekał przez chwilę i wreszcie powiedział:

–Dzięki, Magda.

Odwrócił się do Mai i podniósł się z fotela. Podszedł do drzwi wejściowych i odtworzył je. Na zewnątrz czekała taca z herbatą. Przyniósł ją i podał herbatę Mai. – To oczywiście informacja poufna – powiedział. – Lekarze wykryli u niego dziwną odmianę zapalenia opon mózgowych.

–Jakiego rodzaju?

–Nie do ustalenia.

–Nie byłabym taka pewna – powiedziała ponuro Maja.

–Założę się, że Roddy mu to zrobił.

Winters oparł się wygodnie na krześle. – W jaki sposób?

–Nie wiem – przyznała Maja. – Ale jestem tego pewna.

–Przerwała na chwilę i dodała jeszcze coś, ponieważ czuła, że powinna to zrobić.

– Nie mam na to dowodów.

Winters westchnął i skrzyżował ramiona. – Nasze społeczeństwo – powiedział –

od dawna święcie wierzy w nieomyślność konkretnych dowodów, nauki i logiki... ignorując całkowicie instynkt, intuicję i przeczucia. Wstydzimy się przyznać do ich posiadania. Nawet, gdy się sprawdzają w działaniu. – Zmarszczył czoło. – Metody naukowe są kaprysem chwili. Użytecznym... ale na pewno nie jedynym sposobem rozwiązywania problemów. Kto wie, jakimi metodami będziemy się posługiwali za dwieście lat. – Winters westchnął. – Nie lekceważ tych przeczuć. Pozostaje jednak pewien problem. A mianowicie, jak wirtualnie zarazić kogoś prawdziwym wirusem? To niemożliwe.

–Na razie – powiedziała Maja. – Widziałam, jak zrobił inne rzeczy, które też wydawały się niemożliwe. Albo możliwe, przy użyciu tony pieniędzy i setek ludzi. Jakim cudem? Winters pokiwał głową. – Rozsądne pytanie – zgodził się.

–Zrobimy tak... czy ostatnio widziałaś się z Markiem Gridleyem?

–Nie. Widujemy się głównie na spotkaniach Zwiadowców Net Force.

–Wiem, ale on też był na otwarciu tego wieczoru. Nie wiedziałem, czy się tam na niego natknęłaś. Jeśli uważasz, że to ma coś wspólnego z czysto wirtualnymi strukturami, to – oczywiście nie ujmując ci talentu w tej dziedzinie, który jest niewątpliwie duży – może...

–Niech mi pan wierzy, nie czuję się jakoś wyjątkowo utalentowana – powiedziała Maja. – To, co Roddy zrobił w swojej symulacji byłoby dla mnie nieosiągalne. Jeśli uważa pan, że opinia Marka nam pomoże, chętnie z nim porozmawiam. Co prawda nie przepadam za Alainem, ale jest członkiem mojej grupy. Poza tym nie chcę, żeby przydarzyło się komuś jeszcze to, co zobaczyłam wczoraj wieczorem.

–Rozumiem twój punkt widzenia – powiedział Winters.

–Mam więc przekazać Markowi, żeby się z tobą skontaktował?

–Jasne.

–A jeśli się mylisz?

Maja odstawiła filiżankę z herbatą. – No to się mylę – powiedziała. – Ale czy nie lepiej przeprowadzić śledztwo i przekonać się o tym, niż od razu to odrzucić jako „nie możliwe”... i przekonać się, że jest odwrotnie?

Winters uśmiechnął się lekko. – To, co zostanie po wyeliminowaniu rzeczy niemożliwych – powiedział – musi być prawdą. Ale masz rację. Eliminacja to najbardziej skomplikowany proces. – Podniósł do ust filiżankę z kawą, napił się, skrzywił się i odstawił ją na bok. – Bierz się do pracy... i poinformuj mnie o wynikach.

Alain wyszedł ze szpitala w o wiele lepszej formie... w każdym razie fizycznej. Jednak po powrocie do domu zaczął żałować, że nie zatrzymali go w szpitalu trochę dłużej.

Przed wszystkim jego rodzice święcie wierzyli, że atak Alaina był wynikiem przedawkowania narkotyków. Wyjaśnienia lekarzy i pielęgniarek, że naprawdę zachorował, nie robiły na jego rodzicach żadnego wrażenia... być może dlatego, że obsługa medyczna nie potrafiła ustalić, gdzie zaraził się tak ostrą infekcją, powodującą zapalenie opon mózgowych i chwilową utratę zdrowych zmysłów. To, że ponad wszelką wątpliwość wykluczyli użycie narkotyków, przekonało jego ojca (który w końcu dowiedział się o stopniach Alaina, po przypadkowym spotkaniu z jego

wychowawcą), że Alain znalazł sposób maskowania swoich poczynań, nawet przed specjalistami.

W związku z tym, sytuacja w domu przypominała piekło. Ojciec porozumiewał się z nim monosylabami i wstrzymał mu kieszonkowe. Matka odgrywała rolę „zranionej do żywego”, co ograniczało się z jej strony do rzucania mu spojrzeń, sugerujących, że źle go wychowała. Jej cogodzinne westchnienia w rodzaju: „Alain, jak mogłeś” zaczynały mu działać na nerwy, zwłaszcza, że nic nie zrobił. To znaczy, zrobił, jeśli chodzi o stopnie, ale teraz i tak nie ma to znaczenia...

Gdyż jego życie w Sieci skończyło się definitywnie. Nie mogę tam wrócić, myślał. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowałem. Odbiło mi. Odbiło mi na oczach tylu ludzi. Umrę ze wstydu, jeśli ich jeszcze raz spotkam.

Dopiero po kilku dniach przyszło mu do głowy, że coś takiego mógł zrobić mu Roddy. Tylko że to przecież niemożliwe. Sam pomysł brzmi paranoicznie. Nie, jeśli chce przetrwać, musi usunąć na bok wszelkie niesprawdzone podejrzenia i trzymać z Roddym. Chociaż Roddy będzie teraz zbyt zajęty, żeby zrobić dla niego coś więcej, niż wysłanie maila. Na razie i tego nie zrobił. Natomiast, ku zdziwieniu Alaina, pojawiło się parę listów od Siódemki. Kilkoro z nich, mieszkających w sąsiedztwie, przyszło go nawet odwiedzić – ale akurat go nie było, i tylko jego matka przekazała mu ponurym głosem, że miał gości. Nie zaprosiła ich do środka. Uważała, że mają na niego zły wpływ... pewnie są odpowiedzialni za „problem z narkotykami”.

Schował twarz w dłoniach, wdzięczny w duchu, że nie musiał im spojrzeć w oczy. „Problem z narkotykami”. Musiałby być idiotą. Och, oczywiście spotkał się z narkotykami jak każdy w jego szkole, ale wolał zachować kontrolę nad własnym umysłem i życiem.

I to było właśnie najgorsze. Stracił kontrolę nad własnym umysłem. Na oczach innych.

A jeśli to się zdarzy jeszcze raz?

Nigdy. Nie pozwoli na to.

Zaśmiał się gorzko. Przecież nie potrafił tego powstrzymać, chociaż czuł, że coś dziwnego z nim się dzieje. Widział i słyszał co wyprawia jego ciało, jak robi z niego idiotę, podczas gdy jego umysł na próżno przekazywał do systemu nerwowego ostrzeżenia. Całe zdarzenie przywiodło mu na myśl incydent podczas konnej jazdy dawno temu. Koń zniecka przeszedł w galop, a on mógł jedynie kurczowo trzymać się jego grzywy, trzymać się z całych sił, czekając aż zwolni. Pamiętał to okropne uczucie bezradności.

Prędzej się zabije, niż pozwoli, żeby to się jeszcze raz zdarzyło. Sama myśl go zszokowała dlatego, że w ogóle się pojawiła i to z taką siłą.

Zabiłbym się? Byłbym w stanie to zrobić?

Znów poczuł tę bezradność. Strach...

Nie śmiał odpowiedzieć na to pytanie.

Przez kilka dni Alain chodził do szkoły i uważał na lekcjach, ponieważ alternatywą byłby strach, dezorientacja i wstyd, wciąż obecne w jego głowie. Niektórzy z jego kolegów zauważyli, że nagle zamknął się w sobie i zaczęli mu dokuczać, że się

zakochał.

Chętnie by ich wszystkich znokautował, ale wiedział, że to by mu tylko przysporzyło dodatkowych problemów.

Wreszcie w czwartek, po powrocie ze szkoły, zebrał się w sobie i wszedł do Sieci po raz pierwszy od feralnej nocy, tylko po to, żeby przejrzeć pocztę. Nie wiedział, czego się spodziewać i trochę się bał, co go tam czeka. Dostał jeszcze kilka maili od Siódemki, zwłaszcza od Mai. Zignorował je.

Wreszcie dotarł do tego, na którym mu zależało. Od Roddy'ego. Wyciągnął rękę i dotknął ikony. – Otwórz – powiedział. – Zobaczył Roddy'ego, w ciemnym pomieszczeniu, wciąż ubranego w smoking.

Tylko mi nie mówcie, że nie zdjął go od tamtego wieczoru, pomyślał Alain z lekkim uśmiechem, mimo iż w żołądku poczuł węzeł na wspomnienie zdarzeń feralnej nocy. Dobry stary Roddy, zawsze chętny wysłuchać pochwał.

–Przepraszam, ale nie miałem czasu, żeby ci to wysłać – powiedział Roddy. – Musiałem przedtem powysyłać mnóstwo innych maili. Dzisiejszy wieczór był bardzo bogaty w wydarzenia. Zwłaszcza dla ciebie.

Dzisiejszy? Alain dotknął ciemnej ikonki, żeby sprawdzić datę. Roddy wysłał ją kilka godzin po zakończeniu imprezy otwierającej jego nowe laboratorium.

–Kontynuuj – polecił Alain.

Roddy mówił dalej: – Oczywiście do tej pory już się musiałeś w tym połapać. Zakładając, że odzyskałeś przytomność.

–Zakładając...?

–To rzecz jasna, nie był wypadek. Jeśli o tym nie wiedziałeś, to myślę, że powinieneś sobie wreszcie zdać sprawę z tego, że jeśli manipulujesz ludźmi dla własnych celów, to możesz w końcu ponieść przykre konsekwencje. Ludzie, którym się wydaje, że mogą bezkarnie posługiwać się innymi, powinni być przygotowani na niemiłe niespodzianki. Cóż, to było moje pierwsze ostrzeżenie dla ciebie... i jedyne, jakie dostaniesz. Umysłami można manipulować na więcej niż jeden sposób... o czym, jak podejrzewam, przekonałeś się na własnej skórze. Szczerze ci radzę, żebyś z nikim o tym nie rozmawiał. Wirtualność oznacza, że mogę pojawić się wszędzie, bez ostrzeżenia...

I znikł albo tak to wyglądało. Światło, padające na jego fotel zgasło i w ciemnościach nie zostało nic, oprócz śmiechu Roddy'ego, który po chwili ucichł...

A wiadomość sama się skasowała.

Alain siedział przez moment, sparaliżowany strachem – co napełniło go największym wstydem – a następnie poczuł wściekłość.

Mały sukinsyn.

Wystawił mnie.

Wystawił mnie!

A ja nawet nie wiem jak!

Równie nieznośna była myśl, że Roddy – zawsze zajmujący słabszą pozycję tego, który potrzebuje pomocy Alaina – nagle okazywał się zwycięzcą, osobą w centrum zainteresowania. A już szczytem wszystkiego był fakt, że Roddyemu udało się zrobić

z niego głupka – a nawet gorzej – szaleńca – na oczach połowy cywilizowanego świata, oraz ważnych ludzi – dokładnie tych, u których miał nadzieję znaleźć kiedyś pracę.

No tak, z tym marzeniem może się pożegnać. I z tym, że kiedykolwiek pokaże ojcu, że można znaleźć dobrą pracę jako twórca symulacji. Alain wiedział, że podczas każdej rozmowy o pracę, w powietrzu zawiśnie – wypowiedziana lub nie – myśl: „Aha, to ten gość, któremu odbiła palma podczas otwarcia Domu Gier. Za duże ryzyko...”.

Zemsta. Całe to zdarzenie było zemstą za pomysł Alaina, żeby zniszczyć symulację Mai. Zemstą za to, co zrobiła potem Roddy'emu Siódemka. Zemstą na Alainie, zamiast na tych, którzy na to zasłużyli – czyli na grupie. Stali i gapili się na niego, podczas, gdy to na nich powinien się być skupić gniew Roddy'ego.

Ale jak on to zrobił?

Jak można wejść komuś w VR do mózgu i przyprawić go o atak szaleństwa? Alain znów poczuł ukłucie strachu.

Roddy powiedział, że może to zrobić jeszcze raz. Poczuł wątpliwości.

Może to bluff? Roddy'emu podobałoby się, gdyby siedział tu sparaliżowany ze strachu.

A jeśli nie blefuje?

Alain siedział bez ruchu, przełykając z trudem.

Nawet jeśli nie blefuje...

Nie pozwolę, żeby mu to uszło na sucho.

Zemsta.

Alain zmarszczył brwi. Chce się mścić? Trafił swój na swego. Mam kilka niezłych kontaktów. Jeśli zamierza manipulować ludzkimi umysłami w VR, to istnieje pewna grupa ludzi, którą ta wiadomość bardzo zdenerwuje. Spadną na niego jak tona cegieł. Zamkną go i wyrzucą klucz od celi. Nikt o nim więcej nie usłyszy.

Załatwią go na cacy.

Alain przywołał gestem dłoni swoją książkę adresową i zaczął szukać adresu Rachel Halloran z Net Force.

Tego samego popołudnia Roddy L'Officier jechał na umówione spotkanie limuzyną. Sam nie mógł w to uwierzyć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio stać go było na taksówkę, nie mówiąc już o ogromnej limuzynie... za którą zresztą nie zapłaci ani grosza. – Wyślemy samochód – powiedzieli ludzie, po tym, jak poprosili go o zaszczyt spotkania się z nimi osobiście. Zaszczyt!

Roddy złapał się na tym, że przełyka ślinę z przejęcia i wyciera wilgotne ręce o spodnie. Miał zbyt sucho w ustach, żeby powiedzieć coś więcej poza kilkoma zwyczajowymi uprzejmościami, które wymienił z uprzedzająco grzecznym szoferem. Odnosił wrażenie, że to jakiś szalony sen... ale nie dopuszczał do siebie takiej możliwości. To by było zbyt okrutne. Nie zniósłby triumfalnego wzroku matki, gdyby się okazało, że to wszystko mistyfikacja.

Jeszcze dziś rano patrzyła na niego sceptycznie, mimo wydarzeń kilku ostatnich dni. W dniu otwierającym jego Dom Gier, odbierając pierwsze telefony od

przedstawiciele mediów, matka wciąż odnosiła się do niego pogardliwie. Myślała, że to Roddy namówił „swoich dziwnych koleżków od symulowania”, żeby robili jej takie dowcipy i kilka razy nawet go za to skrzyczała. Potem nastąpiło otwarcie i następnego dnia rano, kiedy Roddy jeszcze spał, próbując zregenerować siły po całym zdarzeniu, telefony się po prostu urywały. Jego matka nigdy nie używała „wizji”, kiedy odbierała telefony przed południem, tłumacząc to prawem do prywatności, chociaż Roddy podejrzewał, że tyle czasu zabierał jej po prostu makijaż. Aż wreszcie zadzwonił ktoś z „New York Timesa” i wtedy wrzasnęła do słuchawki: – Nie chcę prenumeraty, więc odczep się pan!

Reporter musiał dzwonić trzy razy, zanim zrozumiała, że nie próbuje jej sprzedać prenumeraty, tylko chce przeprowadzić wywiad z jej synem. W to też mu nie uwierzyła. I dopiero, kiedy pojawił się przed drzwiami jej domu z legitymacją prasową i fotografem, zmieniła nastawienie. Zaraz potem pojawiła się ekipa CNN i nawet wpuściła ich do środka, tylko lekko umalowana, zmieniając się nagle w uroczą panią domu, określającą syna mianem „kochany Rod”.

Roddy nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, ale uwagi na temat jej małego przedstawienia (które trwało tylko do wyjścia ekipy CNN) zachował dla siebie. Na obecnym etapie, reklama jest bardzo istotna i zamierzał dopilnować, żeby wszystko wyglądało jak należy. Po części dlatego, że spodziewał się niebawem wizyty władz szkolnych, żądających wyjaśnienia jego kolejnych nieobecności – a on chciał jak najszybciej podpisać kontrakt, który zapewni mu wystarczającą ilość pieniędzy na prywatne nauczanie, aż osiągnie pełnoletniość.

Dość już wysiadywania w publicznej szkole z tymi wszystkimi ciemniakami, dość ich naśmiewania się z jego ubrań i wyglądu...

...jeśli mu się uda.

Znowu wytarł ręce o spodnie i doszedł do wniosku, że przynajmniej ubranie ma dziś bez zarzutu. Wystarczył jeden dzień szumu wokół Domu Gier, żeby odłożył małą sumkę na czarną godzinę. A wczoraj, po telefonie od ludzi z EnTastics, wyszedł do miasta i wreszcie zdobył się na to, żeby kupić sobie kilka eleganckich ubrań, które będą mu potrzebne w czasie spotkań w interesach z ważnymi osobami.

I teraz nareszcie wyglądał jak młody, przebojowy pracownik szczebla kierowniczego – już nie obdartus, w ciuchach ze sklepu z używaną odzieżą – bo na tyle tylko było stać jego matkę z tą jej żalostną pensją. To było przyjemne uczucie, dla człowieka samego jak palec, tak wyobcowanego, że samotność stała się dla niego czymś naturalnym. Przynajmniej przez jakiś czas będzie go stać na taksówki powietrzne i jądanie w restauracjach.

Oczywiście, to nie potrwa długo. Zdawał sobie sprawę, że początkowy napływ pieniędzy w końcu się wyczerpie i dlatego rozporządzał nimi w miarę rozsądnie.

Jeszcze raz wytarł dłonie o spodnie, kręcąc się nerwowo. Limuzyna podjeżdżała do prywatnego garażu pod budynkiem położonym niedaleko Falls Church. Nad głową Roddy'ego rozpościerała się panorama szklanostalowych zabudowań, składających się na główną siedzibę EnTastics na Wschodnim Wybrzeżu. Roddy w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek się tu znajdzie. I zanim zdążył

złapać oddech, ktoś otworzył drzwi z zewnątrz i zobaczył uśmiechniętą, piękną młodą kobietę. – Pan L’Officier?

Nazywam się Stella Hansen. Dyrektorzy już na pana czekają...

Uśmiechając się i gawędząc, zaprowadziła go do szklanej osłony niedaleko limuzyny, następnie do windy, znajdującej się w tej osłonie i wreszcie dotarli do apartamentu na ostatnim piętrze.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Roddy zobaczył co najmniej dwudziestoakrowej wielkości powierzchnię, zapełnioną stanowiskami komputerowymi oraz „kieszeniami implantowymi”. A w stronę windy niemal truchtem zbliżali się dwaj dyrektorzy EnTastics – Elberts i Robyns.

Większość ludzi rozpoznałaby ich natychmiast z reklam, które przysporzyły im sławy nie mniejszej niż ta, jaką Ben i Jerry cieszyli się w poprzedniej dekadzie: Joss, wysoki i szczupły, lekko łysiejący na czubku głowy, z ironicznym, ale wesołym uśmiechem i bystrym spojrzeniem oraz Erin, niższy, grubszy, mający więcej włosów niż Joss, równie młody, z szerokim, szelmowskim uśmiechem, pojawiającym się na jego twarzy zniecka i bardzo często. Byli tytanami współczesnej dziedziny wirtualnych gier komputerowych. Pierwszy milion zarobili jeszcze jako nastolatki, zakładając firmę w pokoju młodszej siostry Jossa, w związku z czym stali się idolami pokolenia Roddy’ego.

Roddy uściśnął im ręce na powitanie, ciesząc się w duchu, że zdążył swoją raz jeszcze wytrzeć o spodnie, zanim wysiadł z windy. Z przejęcia nie wiedział, co powiedzieć.

Nie miało to znaczenia. – Fantastyczne laboratorium – powiedział Joss, a Erin dodał. – Joss od dwóch dni chodzi z opadniętą szczęką; szkoda, że nie widziałeś, jak wpadł do Diamentowej Jaskini i nie mógł się wydostać. – Joss przerwał mu. – Chodź, zobaczysz nad czym teraz pracujemy.

Poszli przodem przez ogromną przestrzeń, a Roddy za nimi. Początkowo przytłoczyło go otoczenie i sama firma. Udało mu się odpowiedzieć na pytania Jossa i Erina, a nawet pozachwycać się kilkoma nowinkami, które mu pokazali.

Parę rzeczy naprawdę mu zaimponowało. Kiedy oprowadzali go po dziale sprzedaży EnTastics, Roddy’ego kilkakrotnie opanowało to szczególne uczucie pełnej podziwu zazdrości, typowe dla kreatywnego umysłu, który nie wpadł na jakiś pomysł, a teraz widzi jego realizację i żałuje, że nie zrodził się w jego głowie.

Powoli dochodził do przekonania, że Joss i Erin nie są dla niego mili tylko dlatego, że chcą zdobyć technologię jego laboratorium, ale dlatego, że szczerze uważają go za jednego ze swoich. To go bardzo zdziwiło. Raz po raz rzucał im ukradkowe spojrzenia, szukając na ich twarzach przebiegłości, która dowiodłaby, że to wszystko żart, maskarada. Ale niczego takiego nie zauważył. Joss i Erin byli szczerzy. Pytali Roddy’ego o zdanie, tak jakby naprawdę chcieli je poznać. Interesowała ich jego reakcja na sprzęt, którym się posługują i kilka ich własnych, wirtualnych laboratoriów – w jednym przypadku Roddy zauważył ukradkiem, jak Joss wstrzymuje oddech, czekając na jego opinię.

To było dla niego niezwykle istotne. Powoli zaczął zbierać się na odwagę,

odzywać się niepytany, nie wychodząc przy tym na totalnego frajera. Okazało się, że potrafi się uśmiechać, a nawet głośno śmiać i nie brzmi to sztucznie ani nerwowo. Pod koniec tego popołudnia Roddy rzucał dowcipami, zakładając, że Joss i Erin się z nich roześmieją i nie czując już ulgi, a tylko czystą radość, kiedy tak się działo. Udzielił im paru rad, jak ulepszyć kilka scenariuszy, które mu przedstawili – co było z jego strony aktem wręcz brawurowym, na który nie zdobyłby się trzy godziny wcześniej. Ale podczas tych trzech godzin wszystko się zmieniło.

Marzenie stało się rzeczywistością. Oto jego świat, miejsce do którego należy. Nareszcie był w domu. Joss i Erin mieli już w planach kolację z klientem, co oznajmili mu z niekłamanym przygnębieniem. Woleliby kontynuować spotkanie z nim... ale to będzie musiało poczekać. Wreszcie, z ociąganiem odprowadzili Roddy'ego z powrotem do garażu, gdzie czekała limuzyna. Uścisnęli mu rękę (która tym razem była sucha bez wycierania o spodnie) i dopiero kiedy odjechał, wrócili do biura.

Roddy siedział w samochodzie, wpatrując się w ich wizytówki. Opuścił EnTastics, wyposażony w ich prywatne adresy mailowe... i o wiele więcej. Miał wreszcie pewność, że naprawdę tego dokonał, naprawdę wygrał. To, bez względu na wszystko inne, było bezsprzecznym faktem. Limuzyna miała podłączenie do VR, ale w drodze na spotkanie był zbyt zdenerwowany, żeby z niego skorzystać. Teraz jednak podłączył się i sprawdził swoją pocztę elektroniczną. Znalazł w niej mnóstwo wiadomości i zaproszeń na przeróżne spotkania. Wczoraj by go przeraziły. Dziś natomiast spędził pięć godzin z Jossem i Erinem, i nic go już nie przestraszy...

Prawda była taka, że jeśliby sądzić po przebiegu dzisiejszego dnia, to już niedługo Roddy podpisze kontrakt z tą czy inną wielką firmą – wiele z nich węszyło wokół Domu Gier, szukając sposobu wykorzystania dla siebie jego zdolności. Roddy pójdzie na te spotkania i da im wszystkim do zrozumienia, że jest gotowy do współpracy, jeśli zaproponują mu umowę z odpowiednią ilością zer po jedynce. Teraz będzie miał mnóstwo pracy... i mało czasu na prozę życia. Łącznie z żalną Siódmką. Nie będzie już potrzebował części tajemnych elementów, które wbudował w Dom Gier i tę przestrzeń wykorzysta do rozbudowy.

Tak, sprawy rzeczywiście wyglądają coraz lepiej. A co najważniejsze – choć nie śmiał przyznać się do tego głośno – wreszcie stał się ważny. Nikt nie patrzył już na Roddy'ego myśląc, że jest nieudacznikiem, leniem i nigdy do niczego nie dojdzie. Nikt już nie mówił rzeczy, do wysłuchiwania których przyzwyczał się w domu. Pokaże matce wizytówki i wreszcie będzie musiała przyznać, że mu się udało. I w końcu z jej strony nastanie błogosławiona cisza... a z wszystkich innych rozlegną się oklaski.

Późnym popołudniem następnego dnia, w domu nad brzegiem oceanu na wybrzeżu w Jersey Shore, rozległ się delikatny dźwięk dzwonka.

Dom był przestronny, pełen czystych, płóciennych pokrowców i wiklinowych mebli. Przez otwarte okna do wnętrza salonu wpadała bryza z plaży, podrywając do góry lekkie, białe zasłony. Dom niemal czekał na przybycie fotografów z „Architectural Digest”: był trochę zbyt uporządkowany, za czysty, żeby naprawdę ktoś w nim mieszkał.

Znów rozległ się dzwonek i do pokoju weszła kobieta. Z westchnieniem odstawiła kieliszek białego wina. Miała na sobie prostą letnią sukienkę w kolorze ecru, która była modna pod koniec dwudziestego wieku, gdyż materiał przypominał gniecioną, bawełnianą gazę, noszoną wtedy latem. Poza tym, niczym specjalnym się nie wyróżniała. Była ładna, ale w dość surowym stylu, typowym raczej dla greckiego posągu niż współczesnych modelek. Długie włosy związała niedbale w koński ogon. Opadł jej przez ramię, kiedy pochyliła się nad stanowiskiem komputerowym, żeby dowiedzieć się, skąd pochodzi wiadomość.

–Doprawdy – powiedziała cicho po chwili. Odwróciła się, żeby podłączyć swój implant do łącza VR, znajdującego się na drugim końcu wiklinowej kanapy. –
Pobudka.

Salon zbladł i przybrał nijaki, szarawy odcień.

–Zestaw trzeci – powiedziała kobieta.

Przestrzeń wokół niej zmieniła się w duże biuro, tonące w szarościach. Wszędzie stały komputery, a przy niektórych siedzieli ludzie, podłączeni do implantowych foteli. W kilku miejscach w powietrzu przewijały się kolumny danych. Uważny obserwator dostrzegłby, że za oknem rozciąga się widok peryferii Quantico, a za drzewami wije się niebieska wstążka Potomaku. Sukienka kobiety zmieniła się teraz w o wiele bardziej konserwatywny, granatowoczarny kostium, uzupełniony białą, oksfordzką koszulą i apaszką o stonowanym wzorze. Z kieszeni marynarki zwisał jej identyfikator.

–Net Force – przedstawiła się. – Halloran.

Po chwili zobaczyła Alaina Thurstona, jednego z jej młodych informatorów. – Alain – powiedziała, udając zdziwienie – dzięki, że się znów odezwałeś. Dostałam twoją wiadomość z wczoraj, ale byłam bardzo zajęta. Jak się miewasz? Dawno się nie odzywałeś.

–Bywało lepiej – powiedział markotnym tonem Alain.

–Dlaczego? Masz jakieś kłopoty?

–Właśnie wyszedłem ze szpitala.

–Mam nadzieję, że to nic groźnego. – Patrzyła na niego chwilę, po czym odebrała teczkę z dokumentami od kogoś spoza pola widzenia Alaina.

–Zapalenie opon mózgowych.

–Matko święta, gdzie to złapałeś? Dobrze się czujesz?

–Teraz już tak, Rachel. A złapałem to w Sieci.

Spojrzała na niego ze zrozumiałym sceptycyzmem.

–Chciałeś powiedzieć, od kogoś, kogo spotkałeś w Sieci. –

Tak, ale nie tak jak myślisz – powiedział Thurston.

Jego młodą twarz, zazwyczaj spokojną i uprzejmą, wykrzywił teraz grymas gniewu. – Chodzi mi o to, że ktoś zaraził mnie czymś w Sieci – i zrobił to celowo.

–To niemożliwe – powiedziała. – A przynajmniej nie powinno być możliwe.

–Cóż – powiedział Thurston. – Ktoś widać zapomniał powiedzieć temu gościowi, że to niemożliwe, bo jemu się udało.

Opowiedzenie całej historii zajęło Alainowi prawie godzinę, głównie z powodu

osobliwych dygresji, wyjaśniających bardzo skomplikowany związek łączący Alaina i niejakiego Roddy'ego L'Officiera. Rachel nie przerywała mu, ponieważ ostatnio natknęła się na to nazwisko. Niedawno odbyło się spektakularne otwarcie wirtualnego laboratorium – chociaż w tym przypadku ta nazwa nie oddawała w pełni skali zjawiska – i wiele osób wyrażało swój zachwyt technologią użytą do zbudowania Domu Gier.

Rachel cierpliwie kiwała głową czekając, aż Alain wyleje swoje żale i chęć zemsty, i starała się sprawiać wrażenie odpowiednio zainteresowanej. W innym wypadku nie marnowałyby na niego czasu – te dzieciaki niemal bez wyjątku były żałośnie egocentryczne i zagadałyby człowieka na śmierć, gdyby im na to pozwolić. Ale to co innego. Zapalenie opon mózgowych?

–Chciałabym zobaczyć kartę chorobową ze szpitala – powiedziała po chwili. – Zakładam, że wysyłają kopię do twojego osobistego pliku. Chodzi mi o te, które przekazuje się ubezpieczalni.

–A, tak – odpowiedział Alain. – Wysłali to wszystko mojemu ojcu. Specjalnie się tym nie zainteresował.

–Dlaczego, na litość boską, nie miałby się tym interesować?

–Nie wierzy, że to było zapalenie opon mózgowych. Jest pewien, że brałem narkotyki.

Rachel zamrugnęła. Wiedziała, że Alainowi nie najlepiej układa się z ojcem, ale to już było ciekawe – coś, co można będzie kiedyś wykorzystać do własnych celów. – Trochę przesadna reakcja, biorąc pod uwagę twój charakter – powiedziała. – Alain, chciałabym zobaczyć te dokumenty. Czy mógłbyś mi je przesłać?

–Nie ma sprawy.

–Bo jeśli rzeczywiście udało mu się zarazić cię za pośrednictwem Sieci... – Pokręciła głową. – To byłoby to wielkie niebezpieczeństwo. Należy mu zapobiec za wszelką cenę. Mój Boże, konsekwencje byłyby...

–Właśnie – przerwał jej Alain z błyszczącymi oczami.

–Założę się, że Roddy nie wykorzysta swojego odkrycia w szlachetnym celu.

–Mógłby to zrobić, gdyby z nami współpracował – powiedziała Rachel – ale...

Alain pokręcił głową, z osobliwym wyrazem satysfakcji na twarzy.

–W życiu – powiedział. – Mowy nie ma, żeby z kimś współpracował. Teraz płynie na wysokiej fali. – Nieco zmarkotniał. – W dodatku nie mam żadnych dowodów. Wiadomość, którą mi przesłał, nie zawierała niczego konkretnego – poza tym uległa samozniszczeniu.

Rachel niecierpliwie pokręciła głową. – Daj spokój, Alain – powiedziała. – Trochę się już znamy. Jesteś za sprytny, żeby mnie okłamywać, a już na pewno za sprytny na to, żeby wymyślić coś takiego tylko po to, żeby napytać komuś biedy. Zwłaszcza, że od tego może zależeć twoja kariera.

Obdarowała go Porozumiewawczym Uśmiechem Numer Dwa, w nieco subtelniejszym wydaniu. Odpowiedział jej słabym uśmiechem. – Więc – odezwała się Rachel – jeśli uda mi się zdobyć dowody, to twój przyjaciel będzie się musiał gęsto tłumaczyć. Oczywiście, to mi zajmie trochę czasu. Przyślesz mi dokumenty i

zostawisz tę sprawę?

–Jasne. Dostaniesz je rano mailem.

–Jeśli naprawdę odkrył sposób, żeby coś takiego robić, a ty okażesz się osobą, która złapała go na gorącym uczynku – zdobędziesz naszą dozgonną wdzięczność.

–Cóż, po prostu nie chcę, żeby przydarzyło się to komuś innemu.

–Oczywiście, Alain. Dobrze zrobiłeś, przychodząc z tym do mnie. Dam ci znać, kiedy tylko się czegoś dowiem. I jeszcze raz – dzięki.

–To ja dziękuję ci, Rachel – naprawdę.

Znikł.

Wyprostowała się, odetchnęła i powiedziała do komputera. – Idź spać.

Wirtualność zniknęła. Wrócił dom na plaży, letnia sukienka i lampka białego wina na niskim stoliku.

Rachel Halloran – choć, oczywiście, nie było to jej prawdziwe nazwisko – usiadła w dużym, wygodnym fotelu przy stoliku, sięgnęła po wino i zaczęła intensywnie myśleć.

„Cóż, po prostu nie chcę, żeby przydarzyło się to komuś innemu”.

Zachichotała na samo wspomnienie tej wypowiedzi.

Co za oczywista bujda. Alain nie cierpi tego dzieciaka i chce, żeby ktoś go załatwił. Uniosła brwi i napiła się wina. Wcale go nie winie. Gdyby ktoś zrobił mi taki numer, najchętniej przybiłabym mu flaki do drzewa i popędziła dookoła.

Zastanawiała się przez kilka minut, jak dalej postąpić. Nie chciała stracić Alaina jako potencjalnego narzędzia, chociaż tak to się może skończyć. Jej pracodawcy mieli obsesję na punkcie ujawniania sposobów działania ich agentów, tym bardziej, że rozpoczęcie całej operacji było niezwykle kosztowne i pracochłonne – w szczególności zdobycie oryginalnych identyfikatorów Net Force oraz adresów mailowych, co wymagało wielkich nakładów finansowych i wysokiego poziomu technologii, bez których cała ta operacja nie zostałaby nigdy wprowadzona w życie. Jedno słowo, które dotarłoby do prawdziwego Net Force, które i tak utrudniało im pracę swoją czujnością, a cała akcja, oparta na podszyciu się pod agencję federalną, rozpadłaby się... ze skutkiem śmiertelnym dla agenta, znajdującego się najbliżej przecieku.

Z drugiej strony, taka droga śledztwa mogła przynieść wiele korzyści agentowi, który rozpracowałby technologię tego dzieciaka.

Wirtualne oddziaływanie...

W środowisku tajnych i jawnych organizacji wywiadowczych na całym świecie, wirtualne, czy też „odległe” oddziaływanie – możliwość zarażania kogoś z daleka chorobą, bez zostawiania śladów – to był Święty Graal. Na początek, każda choroba byłaby dobra. Nawet możliwość zarażania ludzi w Sieci zwykłym przeziębieniem, przyniosłaby pomysłodawcy miliony – chociażby od producentów lekarstw na anginę. Zanim ktoś rozpracowałby i nauczył się przeciwdziałać tej technologii, inwestycje firm farmaceutycznych zwróciłyby się stukrotnie.

Jednak marzeniem tajnych grup operacyjnych były poważne choroby. Terrorysty zapłaciliby każdą cenę za umiejętność zarażania wroga śmiertelną chorobą na

odległość, zwłaszcza potajemnie: wirtualny odpowiednik listu z bombą. Państwa prowadzące wojny rzuciłyby się na szansę wykończenia przeciwnika bez potrzeby stawania do walki i wykorzystywania drogiego sprzętu wojskowego. Możliwości były nieograniczone.

Problem stanowiła bariera pomiędzy ciałem a umysłem. Nie da się jej przekroczyć. Wirtualny świat jest uwięziony po drugiej stronie muru, którego nikt na razie nie potrafi przebić i nikt nie ma bladego pojęcia, jak to zrobić. Wystarczyłaby maleńka podpowiedź, jedna szczelinka w tym murze, a wtedy ludzkie ciało i umysł nie mogłyby się ochronić przez wirtualnymi zjawiskami.

Jednak w szeregach nawet najbardziej bezwzględnych środowisk wywiadowczych istnieli ludzie przeciwstawiający się badaniom i rozwojowi w tej dziedzinie. Twierdzili, że przełamanie bariery pomiędzy światem materialnym, przynajmniej w przypadku ludzkiego ciała, i rzeczywistościami niematerialnymi, takimi jak Sieć, może spowodować upadek cywilizacji, ponieważ nikt nie byłby już w stanie odróżnić prawdziwych, materialnych rzeczywistości w dyplomacji lub rzeczywistych bitew toczonych na powierzchni planety, od światów stworzonych sztucznie, i co za tym idzie, o wiele mniej kosztownych. Bez różnicy pomiędzy tymi dwoma światami, przekonywali ci ludzie, niebawem nie będzie można ocenić, który jest ważniejszy – a z takim stanem rzeczy na pewno nie pogodzą się królowie, prezydenci i mocarstwa. Niektórzy twierdzą nawet, że zanik tej bariery spowodowałby ostatnią wojnę światową, podczas której materialne siły próbowałyby zapewnić sobie wyższość nad wirtualnymi. Mogłoby się skończyć na tym, że nikt by nie wygrał, a prawdopodobnie nikt by też nie przeżył.

Rachel osobiście uważała te ponure wizje za nieco przesadzone. Podejrzewała, że ludzie znaleźliby jakiś sposób przetrwania, bez względu na sytuację. Przynajmniej niektórzy... zwycięzcy, innymi słowy. Pracowała jako wolny strzelec dla wielu organizacji, którym głównie chodziło o to, żeby wygrać w każdym konflikcie i na każdym polu. Jednym z nich było uzbrojenie. A wirtualne oddziaływanie to broń doskonała.

Gdyby tylko udało się jej potwierdzić jej istnienie... i zdobyć technologię. Mogłaby przejść na cholernie wczesną emeryturę na Kajmanach. Ale wcześniej musiałaby w to włożyć sporo pracy. Znow zacznie działać pod przykrywką agentki Net Force – to idealne przebranie do tego rodzaju działań – i powęszy, a następnie spotka się z Roddym, tym małym, pokręconym geniuszem i trochę go postraszy.

Wirtualny wąglik, pomyślała. Wirtualna cholera. Wirtualna wścieklizna.

Co za perspektywa...

Rachel posiedziała jeszcze chwilę w swoim wygodnym fotelu, potem wstała i poszła do pomieszczenia na tyłach domu, żeby przeprowadzić małe śledztwo i wykonać parę telefonów.

Dwa dni później, Roddy L'Officier szedł pewnym krokiem po ulicy w Bethesda w Marylandzie, na kolejne spotkanie w interesach – jedno z wielu, jakie odbył od inauguracji swojego Domu Gier.

Adres wskazywał na kompleks luksusowych biurów, w których podobno

swoje siedziby miały nieco mniej oficjalne agencje rządowe – teren ten obfitował w ambitne architektonicznie drapacze chmur ze szkła, nocą oświetlone przez niewidoczne na pierwszy rzut oka źródło światła.

Budynek, do którego zmierzał Roddy, mieścił wiele różnych firm i nie należał do jednego właściciela, w każdym razie takie sprawiał wrażenie: oddalony nieco od głównej drogi, z kamerami na podczerwień, omiatającymi wejścia i ogrodami, o schludnie zagrabionej ziemi, okalającymi drogę prowadzącą do środka.

Japońska inwestycja? – pomyślał. A może Singapur? I jedni i drudzy gorąco popierali wprowadzanie technologii wirtualnych, z powodu wciąż powiększającej się populacji tych krajów i kurczeniu się przestrzeni do pracy. Roddy słyszał, że w Japonii istniały takie miejsca, gdzie biedniejsi ludzie musieli zadowolić się „mieszkaniami” zaledwie dwa razy większym od trumny, w którym wszystko – oprócz maszyny do pozbywania się wszelkiego rodzaju odpadków – było wirtualne. To nie mój problem, pomyślał Roddy, ale przekonajmy się, o co im chodzi...

Firma, z której przedstawicielem miał się spotkać, nazywała się Sixth Circle Productions: co wskazywało na to, że jest to kolejna grupa zajmująca się produkowaniem wszelkiego rodzaju odmian wirtualnej rozrywki na potrzeby największych jej dystrybutorów.

Kobieta miała bezpośredni sposób bycia, miły uśmiech, a jej ubranie, które miał okazję oglądać w ich korespondencji elektronicznej, sugerowało spore pieniądze – zarówno marynarka, jak i spódnica oraz dyskretna, biała bransoletka były od Hermesa. Roddy stał się koneserem stylów ubierania się grubych ryb ze świata biznesu i świetnie się przy tym bawił. Dawniej nie cierpiał patrzeć na dobrze ubranych ludzi, bo zawsze przypominali mu o jego niedostatkach w tej kwestii, o tym, z jakim trudem oszczędzał pieniądze, skąpo wydzielane przez matkę, żeby kupić sobie ubranie, nadające się do noszenia przy ludziach. Dlatego, między innymi, rzadko wychodził z domu, chyba że wirtualnie. Ale to już przeszłość...

Wszedł do środka i podał uśmiechniętej recepcjonistce swoje nazwisko oraz nazwisko kobiety, z którą miał się spotkać.

–Dziewiąte piętro – poinformowała go recepcjonistka.

Roddy wsiadł do windy. Spokojnie wjechał na górę, tylko raz sprawdzając stan kołnierzyka w lustrze w oprawie z brązu, zamontowanym na drzwiach windy.

Drzwi otworzyły się i wyszedł na piętro pokryte puszystym dywanem, utrzymane w kolorach ciemnego drewna. Z pobliskich drzwi natychmiast wyszła kobieta, z którą był umówiony.

–Dzień dobry, panie L’Officier – powiedziała, przyjaźnie ujmując jego dłoń na powitanie. – Cieszę się, że znalazł pan dziś dla nas trochę czasu.

–Dzień dobry – odpowiedział Roddy – cała przyjemność po mojej stronie.

–Proszę za mną.

Wszedł do jej biura, a ona zamknęła za nim drzwi.

–Czy podać panu coś do picia, zanim zaczniemy? – spytała.

–Chętnie napiłbym się herbaty – powiedział Roddy.

–Michael – powiedziała w powietrze – herbata dla pana L’Officiera. Cukier?

–Dwie kostki.

–Świetnie. Dla mnie to co zwykle, Michael. Proszę, panie L'Officier, niech pan siada i czuje się jak u siebie.

–Proszę mówić mi Roddy – zaproponował, zagłębiając się w wygodnym, skórzanym fotelu naprzeciwko jej biurka.

–Dziękuję, Roddy. Ja jestem Rachel. Cieszę się, że zechciałeś przyjść, ponieważ moja firma jest bardzo zainteresowana niektórymi technologiami wykorzystanymi przez ciebie podczas budowy Domu Gier. Chcielibyśmy, jeśli to możliwe, uzyskać licencję na szerzej dostępne opcje...

Ta rozmowa rozpoczęła się podobnie jak wiele innych i początkowo Roddy słuchał tylko jednym uchem. Bardziej zajęty był ocenianiem biura (wyglądało luksusowo: rolę odbojnika drzwiowego pełnił nieszlifowany nefryt wielkości jego głowy), jego właścicielka (obyta, bardzo szykowna; poczułby się przy niej niepewnie, gdyby nie wiedział, że ma coś, na czym jej zależy), jej personel pomocniczy (młody mężczyzna w trochę krzykliwym, ale drogim garniturze, który pojawił się z herbatą i z szacunkiem postawił ją przed Roddym, po czym znikł).

Rozmowa sprawiała mu o tyle większą przyjemność, że gdy zaczął wchodzić w szczegóły techniczne, Rachel okazała się znawczynią dziedziny, którą zajmował się Roddy – a raczej technologii wyjściowych. Jej jawny podziw dla sprytu Roddy'ego, też go ujął.

Niektórzy ludzie siedzieli z pokerowymi twarzami, nie pokazując po sobie, co naprawdę myślą o twojej pracy. Można było tylko wyczuć, że nienawidzą cię za to, że wpadłeś na to pierwszy i chcą to od ciebie wyciągnąć, dając ci w zamian możliwie jak najmniej. W związku z tym, Roddy podchodził do większości pertraktacji raczej ostrożnie, chociaż sprawiała mu przyjemność. Jednak to spotkanie przyniosło mu więcej satysfakcji niż poprzednie – jeśli rozmawiająca z nim kobieta ma być jakimś wyznacznikiem firmy, to można się było spodziewać, że pracują w niej wyjątkowo inteligentni ludzie. Nawet zaczął brać pod uwagę ewentualną zmianę swojej tradycyjnej odpowiedzi, która brzmiała „nie” albo zostawiała ich z poczuciem, że będą musieli przedstawić mu o wiele korzystniejszą ofertę, żeby się zgodził na współpracę.

Rachel podsunęła Roddy'emu tak oryginalne zastosowania jego technologii symulowania, że cała sytuacja zaczęła nabierać charakteru twórczej zabawy, a nie ubijania interesów.

Chciała znać dużo szczegółów dotyczących samych początków jego pracy. – Żadnych tajemnic! – powiedziała ze śmiechem. – Tylko ogólności. – Przyjemnie było w końcu usłyszeć, że ktoś nie chce wydrzeć ci twoich sekretów, i w związku z tym Roddy zdradził jej więcej na temat podstawowych struktur programowania niż zamierzał. Oczywiście, nie tyle, żeby dało się je zastosować.

Niemniej, okazała się na tyle bystra, że od razu odkryła potencjał technologii, który tak ją zachwycił, że aż podekscytowana wstała z biurka. Tyle danych w tak niewielkiej przestrzeni, i ta elegancja oprogramowania...

Roddy'emu zaimponowało, że ktoś zrozumiał źródło największej satysfakcji w

opracowywaniu symulacji – elegancją, maksymalizację środków, kiedy dysponuje się niewielkimi nakładami finansowymi i trzeba się liczyć z każdym groszem. To było zupełnie inne od sposobów działania wielkich firm, zajmujących się symulacją, oraz od wolnych strzelców, na przykład grupy, z którą był związany, ale którą zmuszony był opuścić, ponieważ jej członkowie bardziej przejmowali się pieniędzmi niż jakością symulacji i efektem końcowym.

–Och, doskonale znam takich ludzi – powiedziała Rachel, przewracając oczami. Potem usłyszał od niej historię współpracy z jedną z firm, z którą była związana zanim z niej odeszła i zatrudniła się tutaj. Kiedy skończyła, Roddy opowiedział jej kilka anegdot dotyczących Siódemki, która rzekomo koncentrowała się na jakości symulacji, a w rzeczywistości chodziło tam o zachwywanie się własnym intelektem i dopieszczanie własnego ego. A do tego zupełnie nie potrafili przegrywać.

Jednemu z nich zrobił nawet niewinnego psikusa podczas otwarcia Domu Gier.

–Nie chcesz powiedzieć, że się tam zjawili? – Rachel wyglądała na rozbawioną i zdziwioną zarazem. – Przecież zarzekali się, że nie chcą mieć z tobą nic wspólnego!

–Wiem – powiedział Roddy – ale się tam wkradli. Nie miałem nic przeciwko temu, bo to swego rodzaju komplement. Ale jeden z nich, gość który udawał, że jest moim zaufanym przyjacielem, pojawił się na otwarciu tylko po to, żeby wykraść co się da – więc, kiedy go zobaczyłem...

Roddy zawahał się przez króciutką chwilę, myśląc: „Czy powinienem?”. Oczy Rachel błyszczały życzliwym rozbawieniem; uniosła brwi, czekając, co Roddy powie.

–Cóż – podjął Roddy. – Przygotowałem dla niego małą niespodziankę. Zostawiłem mu prezent w oprogramowaniu laboratorium, coś w rodzaju konia trojańskiego.

–Zachichotał. – Następnym razem poczeka na oficjalne zaproszenie.

–Ależ, Roddy, to przecież przestępstwo – powiedziała Rachel, wciąż rozbawionym tonem.

–No, cóż – odpowiedział Roddy. – Po tym, co mi zrobił... – To nie stanowi okoliczności łagodzącej – powiedziała Rachel. Czyżby jej uśmiech nabrał nieco innego charakteru? – Alain Thurston trafił do szpitala z zapaleniem opon mózgowych. Celowe zarażenie kogoś potencjalnie śmiertelną chorobą, traktowane jest według prawa federalnego jako czynna napaść przy użyciu niebezpiecznego narzędzia.

Roddy otworzył usta i zaraz je zamknął. – Ale...

Rachel wyjęła z wewnętrznej kieszeni identyfikator w formie małego portfela, otworzyła go i pchnęła po biurku w stronę Roddy'ego. Spojrzał na niego i natychmiast spociał się jak mysz.

Net Force!

–Obawiam się, że masz problem – powiedziała spokojnie Rachel.

Roddy wciąż pochłaniał wzrokiem identyfikator. Słyszał o nich już wcześniej, o tych odznakach nie do podrobienia, ale nigdy takiej nie widział – i nie sądził, że kiedykolwiek zobaczy.

Hologramy, wirtualny czip, wszystko tu było.

–Dalej – odezwała się Rachel. – Obejrzyj sobie.

Roddy z ociąganiem dotknął wirtualnego czipa. Otoczenie natychmiast zbladło i przed jego oczami pojawiło się logo Net Force, zwielokrotnione w tle, oraz obracająca się głowa Rachel.

Pod spodem widniały podpisy Rachel i wiele innych, między innymi nazwisko wypisane stanowczym i bardzo czytelnym pismem: J. Gridley.

Roddy przełknął z trudem, przekręcił się na krześle i obejrzał przez ramię.

–Nic z tego – powiedziała Rachel, z cieniem współczucia w głosie. – Nie dotarłbyś nawet do windy.

–To była prowokacja...

–Czyżby? – spytała Rachel. – Bądźmy szczerzy – aż się paliłeś, żeby mi powiedzieć. Czy komuś innemu. Zamierzałeś powiedzieć Alainowi, ale w ostatniej chwili się powstrzymałeś. Jesteś sprytny... ale nie wystarczająco. – Pokręciła głową.

Roddy cały się trząsł, chociaż starał się opanować. – Co zamierzasz...? – zaczął, ale musiał przerwać, ponieważ zrobiło mu się sucho w ustach. – Co teraz zrobisz?

Rachel usiadła w fotelu i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Po bardzo długiej przerwie, powiedziała: – To zależy od ciebie.

Roddy zamierzał krzyknąć: „Jak to, sama powiedziałaś, że popełniłem przestępstwo, no dalej, aresztuj mnie!”. Ale część jego mózgu, ta bardziej nastawiona na przetrwanie, przejęła kontrolę nad mową i nie odezwał się wcale.

Popatrzyła na niego.

–Tak – powiedziała i znów zamilkła na chwilę. – To smutna sprawa. Nie chciałabym zadzwonić do twojej matki i powiedzieć, że cały twój talent poszedł na marne z powodu jednego błędnego kroku.

O Boże, matka. Sama myśl o niej sparaliżowała go, jak ptaka, który nagle zobaczył grzechotnika.

–Więc – kontynuowała Rachel – porozmawiajmy o tym, co zrobiłeś.

–To nie takie proste – powiedział przerażony Roddy.

–Nie wątpię – zgodziła się Rachel – zwłaszcza, że nie wiesz, na czym stoisz. Ustalmy to, żebyśmy mogli przejść do rzeczy. Przyznałeś się agentowi Net Force do wirtualnej napaści na niewinnego człowieka. Nie możesz zasłonić się obroną konieczną, szaleństwem, ani żadnym innym tłumaczeniem dostępnym w takich przypadkach. Twój dostawca usług internetowych na pewno chętnie nam przekaże wszystko, co dotyczy twojego laboratorium. My je następnie rozłożymy na czynniki pierwsze, aż ustalimy co i jak zrobiłeś. To może nam zająć miesiące... a nawet lata. Ty, oczywiście, spędzisz ten czas w federalnym ośrodku resocjalizacyjnym. Odpowiesz za narażenie życia osób postronnych i wiele innych zarzutów. Jesteś już w wieku zezwalającym na oskarżenie cię jak dorosłego. Podejrzewam, że znalazłbyś się w... nieciekawej sytuacji. Roddy siedział, trzęsąc się ze strachu.

–Ale mam dla ciebie dwa słowa: rozwój równoległy – powiedziała Rachel, krzyżując ręce.

Roddy zamrugał powiekami.

–To jedna z tych dziwnych rzeczy, których nie rozumiemy do końca – powiedziała Rachel. – Jedno z zagadnień teorii chaosu. Środowisko naukowe zainteresowało się

nim po raz pierwszy jakieś sto lat temu. Grupa małych na odciętej od świata wysepce na Pacyfiku wykopywała dzikie bulwy, rodzaj słodkiego ziemniaka. Małe te odkryły, że ziemniaki opłukane w morzu lepiej smakują. Nic interesującego... do czasu, aż naukowcy studiujący małe z wybrzeża Pacyfiku spotkali się i porównali swoje notatki, z których wynikało, że wszystkie małe zamieszkujące te tereny, po kilku miesiącach od odkrycia, zaczęły płukać w morskiej wodzie słodkie bulwy. Jak się o tym dowiedziały? Przecież nie przez pocztę internetową.

Rachel oparła się w fotelu i zaczęła się bawić bransoletką. – Coś nietypowego i nowego, co pojawia się w jednym miejscu, zazwyczaj po niedługim czasie pojawia się też w wielu innych – powiedziała. – Jest to bardziej niż pewne. Więc... skoro ty wynalazłeś sposób zarażania ludzi chorobami za pośrednictwem Sieci, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w przeciągu kilku miesięcy... może tygodni, ktoś inny wpadnie na to samo.

Rachel pochyliła się nad biurkiem i spojrzała Roddy'emu prosto w oczy. – Ja chcę wygrać ten wyścig – powiedziała zapalczywie. – Rozumiesz? Chcę zdążyć przed przestępcami. Doszedłeś tak daleko, że udało ci się zarazić kogoś nieszkodliwą infekcją. Sprawiającą tyle kłopotów, co przeziębienie, przynajmniej z medycznego punktu widzenia: nieprzyjemna, ale łatwa do wyleczenia. Ludzie, utrzymujący się z zabijania innych, nie poprzestaną na tym. Choroby, które wyślą innym za pomocą maila, będą śmiertelne. Mogą zagrozić naszej planecie... zniszczyć cywilizację.

Roddy przestał się trząść... głównie z powodu szoku. Tego aspektu całej sytuacji zupełnie nie brał pod uwagę. Osobiście lubił cywilizację.

–Masz kłopoty – powiedziała Rachel. – Ja wiem, jak je rozwiązać... a nawet wyjść z nich obronną ręką. Pomóż nam rozpracować swój wynalazek. Wprowadź nas do swojego kodowania, zaprezentuj jak działa, pokaż, jak to zrobiłeś. Naucz, jak się przed tym bronić. Zrób więcej. Opracuj jeszcze groźniejszą wersję. Kiedy przestępcy postanowią wypróbować tę technologię na ludziach, stojących po właściwej stronie prawa, żywych, czy wirtualnych, chcę odpowiedzieć im takim wariantem technologii, żeby już nigdy nie ośmielili się z nami zadzierać. Wyrzucą tę technologię z rąk, jak gorącego ziemniaka – uśmiechnęła się lekko – i nigdy nie ośmielą się go podnieść.

Roddy przełknął kilka razy i spytał: – A potem co się ze mną stanie?

Rachel pochyliła się nad biurkiem i wzruszyła ramionami.

–Jeśli dobrze wykonasz swoje zadanie – powiedziała – naturalnie potraktujemy to jako okoliczność łagodzącą.

A wtedy... cóż, my nigdy nie zapominamy o swoich. – Na jej twarzy pojawił się chłodny uśmiech. – W każdej firmie przyda się „tajna broń”. Hakerzy dorastają i zajmują się ochroną systemów, które kiedyś usiłowali złamać. Znają wszystkie tajemnice. Są bardzo cenni. Przyglądają się współczesnym systemom i zabezpieczają dziury, zanim te jeszcze się pojawią... uczą się zapobiegać włamaniom, które mogłyby zaszkodzić całym gałęziom przemysłu. To dobre zajęcie. Warto coś takiego robić.

Znów rzuciła mu spojrzenie pełne współczucia. – Popeliłeś błąd – powiedziała. – Poniosło cię i nie przemyślałeś swoich działań. To się zdarza. Na szczęście... masz

okazję naprawić błąd.

Skończyła mówić i patrzyła na niego w milczeniu.

Roddy wpatrywał się w identyfikator Net Force, leżący przed nim na biurku. Wpatrywał się w niego bardzo długo... i myślał o swojej matce.

–Dobrze – powiedział w końcu. – Co chcesz najpierw wiedzieć?

Roddy stał w ciemnościach, czekając. Znow się trząsł, chociaż bez widocznego powodu.

Taki powód jednak istniał.

Net Force. Długie ramię prawa... z ręką zaciśniętą na jego gardle. Spodziewał się, że w podobnej sytuacji zachowa się chytrze i nie straci zimnej krwi. Teraz znał gorzką prawdę. Tym bardziej, że nie miał już dokąd uciec, żadnego świata fantazji, w którym mógłby się ukryć.

Poza tym – co było w pewnym sensie dużo gorsze – telefon przestał dzwonić.

Jego matka początkowo twierdziła, że przyniosło jej to ulgę, ale szybko zmieniła zdanie. Po kilku dniach znow była zła, przekonana, że Roddy w jakiś sposób kogoś obraził albo coś zepsuł. Była w tej kwestii tak bliska prawdy, że przez następne kilka dni znow zrobiła z niego lekko wystraszonego syna, do którego się przyzwyczaiła – tego, który nigdy nie pyskował, nie dyskutował. Zastanawiał się, kto poinformował wszystkich o tym, że nie warto z nim prowadzić interesów.

Nietrudno było zgadnąć.

Jego matka nie przestawała narzekać na „zmiany w ich życiu”. Cały czas, kiedy nie przebywał w VR, suszyła mu głowę: najpierw denerwowali ją ludzie z mediów, potem ich nagłe zniknięcie, była zła, że wszyscy interesują się jej synem, a potem zła, że przestali. Roddy nie kłócił się z nią, pozwalając jej mówić, co tylko chciała. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Większość czasu spędzał w Sieci, pracując jak szalony.

Wiele technologii, które obecnie opracowywał w zawrotnym tempie, opartych było na założeniach opisanych przez niego w luźnych notatkach z ostatnich kilku miesięcy. A teraz na gwałt musiały stać się pełnymi podprocedurami... i tak się działo: w niektórych przypadkach tak szybko, że Roddy zaczął się bać. Zwłaszcza jeśli chodzi o chemiczne neuroprzekazniki, szedł naprawdę wielkimi skrótami. Zauważył jednak, że desperacja to bardzo silny bodziec do dokonywania rzeczy, które w normalnych warunkach wydają mu się nieosiągalne. Ta motywacja była w swojej skuteczności podobna do napadu wściekłości, ale o wiele mniej przyjemna.

Stał teraz w ciemnościach i patrzył na ogromny, sześcienny wzór programu Caldera, błyszczący w mroku, geometryczny i solidny w kształcie. Przynajmniej z pozoru. Z powodu swojej świeżości, cała konstrukcja wydawała się Roddy'emu beznadziejnie prowizoryczna i niepewna. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby jego oprogramowanie wyglądało w taki sposób. To mu się nie podobało.

Zazwyczaj całymi dniami zapoznawał się ze strukturą po zmianach, czekając aż zajmą w jego głowie odpowiednie miejsce i znow staną się wiarygodne. A teraz przez kilka godzin dokonał setek zmian... i całość wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała się rozpaść na kawałeczki.

Lepiej nie, pomyślał. Nie ma ochoty skończyć w więzieniu... albo gorzej.

Usłyszał kroki w ciemnościach i odwrócił się w ich kierunku. Nie miał wyjścia i musiał podać Rachel swoje kody dostępu. Teraz szła po ogromnej sali, w której Roddy przechowywał swoje oprogramowania, rozglądając się wokół niczym powściągliwy, ale zaciekawiony turysta. Wolałby się z nią spotkać w Grocie Władcy Gór, gdzie z drogi umykali mu jego niewolnicy, podobnie jak on umykał przed swoją matką, ale wątpił, żeby Rachel doceniła jego poczucie humoru.

Raczej nie. Miała na twarzy wyraz stanowczości, kiedy do niego podeszła i Roddy odniósł wrażenie, że byłoby błędem próbować z nią jakichś sztuczek.

–Dzień dobry, Roddy – powiedziała. – Czy to jest to?

–Tak – odpowiedział.

–Imponujące – zauważyła, patrząc w górę. – Co za struktura. Jak długo to budowałeś?

–Kilka miesięcy. – Zabrało mu to o wiele dłużej, ale nigdy by się do tego przed nią nie przyznał.

Pokiwała głową, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Ale nie nowe elementy.

–Pracowałem nad nimi od czasu naszej ostatniej rozmowy...

–Nie wątpię. Więc powiedz mi, jak dokładnie działają te nowe elementy.

W jej głosie pojawiła się nutka zniecierpliwienia. Roddy pokręcił głową bezradnie, ponieważ jego zdaniem nie da się tego łatwo i szybko wytłumaczyć. Uważał za niesprawiedliwość, że w ogóle musi próbować, skoro tak wiele piękna jego konstrukcji leżało w szczegółach. – Budują odwzorowanie ciała przyszłego celu na poziomie molekularnym – powiedział. – Odwzorowanie istnieje w VR, w całkowitej synchronizacji z oryginałem. Dlatego jest tu tyle pamięci. – Wskazał ręką odpowiednie elementy struktury programu, które posłusznie zaświeciły: była to siatka linii i splotów światła włączona do większej struktury programu. – A właściwie to procedura odtwarza dokładnie części ciała – nawet ja nie potrafię wpasować tu odpowiedniej ilości pamięci, żeby objęła wszystkie informacje zawarte w ciele. Głównie odzwierciedla ona system nerwowy oraz mózg. Nawet to wymaga dużej części pamięci. Poziom energii w atomach i molekułach mózgu oraz systemu nerwowego wciąż się zmienia, więc odbicie też musi się zmieniać.

–A więc – zaczęła Rachel – prawdziwe ciało reaguje na to odbicie?

Roddy skinął głową. – Przestaje odróżniać, który system jest prawdziwy, ponieważ rzeczywisty i wirtualny system komunikują się ze sobą, prawie bez różnicy czasowej – a w każdym razie tak małej, mikrosekundowej, że system oparty na czymś tak wolnym jak bioelektryczność tego nie zauważa. Dwa systemy identyfikują się ze sobą. I kiedy zmieniasz ten wirtualny...

–Prawdziwy też ulega zmianie – dokończyła cicho Rachel.

–Zgadza się – powiedział Roddy. – Gdy to się stanie, zaczniesz wydawać mu instrukcje. Masz do dyspozycji mózg, przysadkę mózgową, szyszynkę i tak dalej, wszystkie źródła chemicznych przekaźników. Instruujesz wątrobę i układ limfatyczny, żeby zaczęły magazynować konkretne proteiny, dostępne z surowców znajdujących się w organizmie – podstawowych aminokwasów, które wszyscy

otrzymują z pożywieniem. A kiedy otrzymasz już te proteiny, każesz śledzenie i wątrobie magazynować albo przetwarzać substancje chemiczne w pożądany sposób.

–Bomby inteligentne – powiedział Rachel – tyle że biologiczne.

–Mniej więcej. Możesz wprowadzać do organizmu wszelkie rodzaje informacji, zwłaszcza do trwałych struktur, takich jak komórki tłuszczowe, jeśli twoje „elementy kodowe” są wystarczająco małe. Możesz, na przykład, powiedzieć organizmowi, żeby przestał reagować na pewne organizmy, które pojawią się ze specjalnym oznakowaniem. System odpornościowy po prostu je zignoruje, chociaż działa bez zarzutu. Żadna ilość sztucznej stymulacji nic tu nie zmieni, w przypadku tej konkretnej choroby. System immunologiczny jej najzwyczajniej w świecie nie będzie widział. Co więcej, możesz poinstruować go, kiedy ma jej nie widzieć. Ciało posiada swoje własne zegary biologiczne, i to kilka, które można nastawić przeciwko sobie, żeby zaprogramować odpowiedni czas. Można zaprogramować kogoś tak, żeby zachorował za tydzień, za rok, za dziesięć lat, kiedy pojawi się właściwy wirus. Mogą nawet nosić w sobie ten wirus przez cały czas i nic się nie stanie, dopóki ty nie zdecydujesz inaczej.

Roddy nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Oprogramowanie tej konkretnej funkcji okazało się niesłychanie trudne, ale udało mu się tego dokonać i był z siebie dumny. Miał nadzieję, że zrobi z niej dobry użytek w Domu Gier, kiedy cała sprawa przyschnie.

Rachel jedynie pokiwała głową. – Okay – powiedziała.

–Na razie nadażam. Ale z tego, co mówisz, wynika, że potrzebna ci będzie część niewirtualna tego „syndromu”, żeby działał najefektywniej. Musisz mieć prawdziwy czynnik zakaźny.

–Z bakteriami jest najłatwiej – powiedział Roddy.

–W niektórych przypadkach są silniejsze od wirusów. Można podać je ofierze w jedzeniu, w wodzie albo drogą powietrzną, w postaci sprayu – jak tylko zechcesz, bo przy odpowiednim oprogramowaniu, bakterie nie skrzywdzą nikogo innego oprócz osoby, dla której są przeznaczone. Dostają się do jej organizmu. Instrukcje chemiczne, umieszczone w tym organizmie, rozpoznają je i zaczynają działać w sposób, jaki ustaliłeś. Organizm przestaje się bronić i człowiek zapada na paskudną infekcję, która nie reaguje na leczenie immunostymulacją. Najlepiej byłoby użyć odpornego szczepu...

–Czy takiego, na który nie ma skutecznych antybiotyków – powiedziała z namysłem Rachel.

–Gruźlicy albo cholery – podsunął Roddy. – Fakt, złym facetom to by się nie spodobało...

–Nie – powiedziała Rachel. – Założę się, że nie...

–A dana osoba zaczyna chorować, trafia do szpitala, gdzie żaden lekarz nie powstrzyma tego, co się dzieje z pacjentem – powiedział Roddy. – Lekarzom nie przyjdzie nawet do głowy, że problem tkwi w systemie odpornościowym, bo system będzie pracował bez zarzutu... nie rozpoznając tylko tego jednego wroga. Zanim ktokolwiek domyśli się, co się dzieje... jeśli w ogóle.

–Cel będzie już martwy – dokończyła Rachel.

Roddy pokiwał głową. (Rachel długo milczała. – No, dobrze – powiedziała w końcu. – Kiedy możemy rozpocząć testy?

–Jeszcze nie jestem gotowy – powiedział Roddy. – Wprowadzenie tych zmian zajmie mi trochę czasu. Widzisz, jeszcze tego nie sprawdziłem i...

–Rozczarowujesz mnie, Roddy – powiedziała Rachel tonem, który wzbudził w nim niepokój. – Oczekiwałam działającej struktury, a dostałam brudnopis... Jak mam to pokazać Gridleyowi, a potem przekonać go, żeby po lunchu nie postawił cię przed ławą przysięgłych?

Roddy zbladł. – Nie! To znaczy, nie, to jest gotowe, jeśli chcesz od razu to sprawdzić, przetestować na kimś, jasne, rozumiem, ale po tych wszystkich zmianach to może nie... – Przerwał, widząc minę Rachel. – No tak, właściwie wszystko powinno działać. Do tej pory działało. Ale będziesz potrzebować drugiej połowy syndromu. Wirusa. Jedyny, który zrobiłem, to ten wykorzystany w przypadku Alaina. Ja nie... dałem rady...

Zamilkł.

–Czego nie dałeś rady? – spytała ostro Rachel.

–Och – powiedział Roddy i lekko się uśmiechnął. – Miałem kilka prototypów innych „infekcji”. Nie zawierały mikroorganizmów, tylko chorobę wyprodukowaną przez odzwierciedlanie: chemiczne wahania, naśladujące infekcje, takie jak Alaina. Toksyny bez wirusów.

Rachel przez chwilę stała prawie nieruchomo. – Chcesz powiedzieć, że zmusiłeś organizm Alaina do wytworzenia toksyn, takich jak te pochodzące od bakterii... ale bez udziału samych bakterii?

–Tak. To nieco mniej skuteczne. Wystarczy podłączyć nerki do dializy. To by raczej nie zabiło celu, chyba że dawka toksyny byłaby wystarczająco duża...

–Bardzo interesujące – powiedziała Rachel. – No dobrze. Zrób to na obydwa sposoby. Przekaż mi wszystkie dane, których będę potrzebowała do wyprodukowania niezbędnych mikroorganizmów. To nie powinno potrwać zbyt długo. Net Force ma dobrych genetyków i biologów. Gdy to przetestujemy i okaże się, że wszystko gra, nie masz się czym martwić. Szybko dojdziemy do porozumienia z Gridleyem i prawnikami. – Rachel znów podniosła wzrok w kierunku wielkiej struktury. – Tymczasem przygotuj dla mnie jak najszybciej pokaz procedury opartej na toksynach. Ile potrzebujesz czasu, żeby sprowadzić tu cel, rozpocząć „odzwierciedlającą” część programu i wprowadzić oznakowane związki chemiczne do jego organizmu?

Roddy uśmiechnął się. – Z tym nie ma problemu. Wszystko już załatwione. Już tu byli...

Nieco później, Rachel Halloran znów wróciła do swojego domu na plaży. Okna były zamknięte, ponieważ padał deszcz. Uderzał o szyby, kiedy usiadła w fotelu przy komputerze w salonie i podłączyła do niego implant. Po przejściu do VR, zobaczyła pokój: ciemny, pokryty drewnianą boazerią, z dużym, ciemnym, lakierowanym biurkiem na przeciwległym końcu. Na biurku stała zielonkawa lampa, rzucając światło

na różne nośniki danych i dokumenty. Siedział za nim młody, szczupły mężczyzna, o rysach twarzy tonących w mroku. Za oknami z tyłu za nim, widniała noc i kilka świateł wielkiego miasta dużo poniżej.

–Michaił, mamy więcej niż kiedykolwiek mogliśmy się spodziewać – powiedziała Rachel. – Tego narzędzia będzie można użyć na mnóstwo sposobów, na przykład do eliminowania dużych grup ludzi, nie pozostawiając po sobie śladów... – Znam kilka organizacji, które by były zainteresowane – powiedział Michaił cichym głosem. – Ustal właściwy gen u docelowej populacji, wydaj polecenie genowi w wirusie i... bum!

Rachel pokiwała głową. – Kula, która potrafi skręcać. Broń, o której od wieków marzy każda tajna organizacja. Wielu ludzi się na tym wzbogaci, Michaił.

–Zapewne – powiedział Michaił tonem jasno sugerującym, że już obmyśla sposoby zredukowania liczby wspomnianych ludzi do minimum. – Myślisz, że twój geniusz szykuje jeszcze jakieś niespodzianki?

–Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że podstawy do tego projektu opracował w kilka miesięcy jako dodatek do innego projektu. Ten dzieciak ma niesamowity talent. Chociaż nie jest zbyt zrównoważony.

–Tak? W jakim sensie?

Rachel wzruszyła ramionami. – Ojciec zginął w wypadku, matka mało zarabia i jest prawdziwą jędzą... Ich związek w najlepszym wypadku można uznać za patologiczny. Dzieciak jest społecznie nieprzystosowany – chociaż szybko się uczy i jest bardzo elastyczny, kiedy czuje konkurencję u rówieśnika. Ale łatwo go zdenerwować, kiedy wydaje mu się, że traci kontrolę nad swoim życiem. Dokąd właściwie nasz człowiek w firmie komputerowej przesyła wiadomości dla tego małego?

–Do serwisu automatycznej sekretarki z obrazem na żywo. Jego matka normalnie odbiera swoje telefony, chociaż nie ma ich zbyt wiele... tak samo jak przyjaciół. Zlikwidujemy ten serwis, kiedy dzieciak da nam to, co chcemy.

–Dobrze. Ale kontroler, który znalazłby sposób obchodzenia się z nim, dysponowałby w przyszłości doskonałym materiałem.

Wydawało się, że na ukrytej w cieniu twarzy pojawił się uśmiech.

–Rachel, zazwyczaj nie bywasz tak sentymentalna. Jeśli ten chłopak ma to, co myślisz... stanie się zbędny, gdy tylko dostaniemy działającą technologię. Wtedy najważniejszą rzeczą stanie się zatarcie wszelkich śladów.

–Oczywiście masz rację. – Westchnęła. Osobiste prowadzenie Roddy'ego byłoby korzystne.

Nawet kilka krótkich spotkań, przekonało ją, że może z nim zrobić co zechce. Ale w jej zawodzie ryzyko było bardzo wysokie, podobnie jak wynagrodzenie.

–A więc – powiedział Michaił – kiedy dostarczy nam gotowy prototyp?

–Jak tylko otrzymamy od naszego lokalnego specjała odpowiednio opracowanego wirusa. Roddy proponował jakiś rodzaj bakterii jelitowej.

–Coli może być dobrym kandydatem – powiedział po namyśle Michaił. – Tyle hipertoksycznych wariantów pojawia się spontanicznie, że jeden więcej nie zwróci na siebie dużej uwagi. Nikt w każdym razie nie będzie podejrzewał, że został sztucznie spreparowany. A jeśli to co mówisz, się sprawdzi, nie będziemy musieli

wykorzystywać niczyjego organizmu dwa razy.

Pomyślał chwilę i powiedział.

–Masz DNA małego Roddy'ego?

Rachel uśmiechnęła się.

–Mój asystent pobrał próbkę z jego filiżanki – powiedziała. – A on sam zostawił uprzejmie kilka włosów i komórek skóry.

–To naprawdę ufny chłopczyna.

–Jak wszyscy w jego wieku. Tym lepiej, bo inaczej któryś z nich mógłby się zgłosić do prawdziwego Net Force, żeby sprawdzić naszą tożsamość i musielibyśmy, jak by to ująć, interweniować. Na szczęście, na razie do niczego takiego nie doszło. Jego małe ego nie potrafi najwyraźniej wziąć pod uwagę możliwości, iż prawdziwe Net Force nie byłoby nim zainteresowane.

–Pewnie masz rację. Tak czy inaczej, gdybym ja opracował taką technologię, to bez względu na rozmiary ego, z nikim nie spotykałbym się osobiście.

–Moim zdaniem, nasz mały Roddy nie do końca wszystko przemyślał. Boję się, że u niego to notoryczne...

–Bardzo dobrze. Skoro był na tyle uprzejmy, żeby opisać ci mechanizmy działania, nie powinniśmy mieć z tym problemów. Każę naszym ludziom opracować czynnik zakaźny i dostarczę ci próbkę. Jeśli dobrze zrozumiałem zasadę działania, będą musieli trochę przy nim pomanipulować, a następnie wyhodować kilka pokoleń tych bakterii, żeby sprawdzić, czy przekazują informację.

Rachel studiowała nieco to zagadnienie. – Sama manipulacja to w dzisiejszych czasach kwestia jednego popołudnia. Natomiast wzrost... Jeśli wykorzystają coli, na każde pokolenie potrzebują dwudziestu minut – czyli jakieś trzydzieści sześć godzin na cały proces.

–Dobrze. Każ mu przygotować ten pokaz... i umów się na lunch z naszym małym geniuszem.

–Zabiorę go w jakieś przyjemne miejsce – powiedziała Rachel.

–Czemu nie. I tak płaci firma. Poza tym to będzie jeden z jego ostatnich posiłków.

Kilka dni po rozmowie z Jamesem Wintersem, Maja porządkowała swoją „willę”. Oczywiście wystarczyłoby wydać polecenie, żeby program uporządkował ją samoczynnie, ale prawie wszystkie szafki, półki i inne magazyny pamięci wyglądały jak szuflady z zabawkami Pączka. Ostatnio była tak zaabsorbowana prawdziwym życiem, że w jej świecie wirtualnym powstał mały bałagan. Przez kilka tygodni zajęta była sprawdzaniem linii kodów swojej symulacji, uszkodzonej przez Roddy'ego, usiłując znaleźć w tych drobnych informacjach, które zostawił w różnych miejscach, niezbite dowody na to, że można by go powiązać z atakiem na Alaina, ale bez powodzenia. Nie udało się jej również uruchomić symulacji. Postanowiła wreszcie, że dla odmiany zajmie się czymś prostszym.

Dlatego właśnie robiła porządki, wyrzucała niepotrzebne rzeczy i, ogólnie rzecz biorąc, na nowo organizowała swoją przestrzeń. Otwarte na oścież rozsuwane drzwi pozwalały podziwiać widok z urwiska, na którym zbudowano willę, aż po zachodni horyzont. Woda w trzech odcieniach błękitu, skąpana w promieniach zachodzącego słońca, szare klify, a po drugiej stronie portu, tonące w półmroku, sześciennne bryły domów z białego kamienia – miejscowa wioska rybacka. To był cały widok.

Nisko na niebie wisiał cieniutki Księżyc, a nad nim Wenus: księżycowy uśmiech i niebiańskie mrugnięcie okiem.

Maja zajmowała się właśnie czwartą z kolei szafką przy zachodniej ścianie. Wyrzucała z niej ikony do kosza za plecami.

Niewiarygodne, że trzymałam je tu tyle czasu, pomyślała, natrafiając podczas tych porządków na wszelkiego rodzaju przedawnione kupony mailowe, tak stare, że nawet jej matka nic by z nimi nie potrafiła zrobić. Były tu też niezliczone numery elektronicznych „czasopism”, z których zapewne zamierzała coś „wyciąć” – chociaż, rzecz jasna, nie pamiętała już co. Wyrzucała je za plecy – ikony w locie stawały w ogniu i spalały się.

Rozległo się pukanie do drzwi. Maja odwróciła się z rękami pełnymi ikon o różnym kształcie i wielkości. – Proszę.

Do środka wszedł Mark Gridley, rozglądając się dokoła z zainteresowaniem. Ostatnio spędzili ze sobą sporo czasu, pracując nad zadaniem, które zlecił im James Winters, choć bez widocznych rezultatów. Maję zawsze dziwiło, że jest taki mały, chociaż miał przecież przezwisko „Mały”. Był to szczupły, niewysoki, wysportowany trzynastolatek. Tajlandzkie korzenie jego ojca uwidaczniały się u niego w postaci ciemnych włosów i przepastnych, brązowych oczu.

–Cześć – przywitał się i przeszedł obok Mai, w kierunku rozsuwanych drzwi. – Gdzie to jest?

–Cyklady – powiedziała. – Zachodnia część archipelagu.

–Domowe porządki? Dla mnie? Nie trzeba było.

Maja uśmiechnęła się szeroko. – Zaczynało brakować mi już miejsca na ikony.

–Znam ten ból – powiedział i podszedł, żeby zajrzeć Mai przez ramię. Obecnie zawartość szuflady zmniejszyła się w znacznym stopniu. – Hej, masz tu niebiański porządek w porównaniu z moją przestrzenią.

To ją akurat zastanowiło. – Cóż, i tak mam dość na dzisiaj – postanowiła Maja i biodrem zamknęła szufladę, wrzucając kilka ostatnich ikonek do kosza.

–To dobrze – powiedział Mark. – A propos, mój tato kazał pozdrowić twojego. Maja zamrugnęła. – Znają się? Nie wiedziałam.

Rzeczywiście to było coś nowego i nieco zaskakującego. Zazwyczaj jej tato odżegnywał się od znajomości z jakimikolwiek organizacjami poza uniwersytetem, a federalne agencje wywoływały u niego reakcje alergiczne.

Mark wzruszył ramionami. – Pewnie się poznali na jakimś koktajlu – powiedział. – Nie mój problem. A skoro już mowa o problemach – powiedział i sięgnął do kieszeni, z której wyjął niebieską, szklaną „mapę” z Domu Gier. – Możemy tam wejść w każdej chwili.

–Świetnie – powiedziała Maja. – Anonimowo?

Mark zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową. – To raczej nie

ma sensu – powiedział. – Jeśli twój koleś do tej pory nie zorientował się, że ktoś szwenda się po jego laboratorium z zamiarem rozpracowania jego działania, to ma mózg wielkości orzeszka. Teraz ma na karku połowę światowych firm, zajmujących się własnym oprogramowaniem, a wszyscy są na pewno anonimowi. Założę się, że traci mnóstwo cennego czasu przetwarzania na śledzenie ich. Możliwe, że nam się powie. Mam coś, czego oni nie mają.

– Tak? – powiedziała Maja, idąca w stronę drzwi prowadzących do głównego wejścia do sali Domu Gier. – Co takiego?

– Hasła jego dostawcy usług, umożliwiające mi dostęp do jego obszaru kodowego – powiedział Mark. – Na mocy swojego kontraktu nie może zabronić wyznaczonym przedstawicielom agend federalnych odwiedzania administrowanej przestrzeni. – Jego uśmieszek skojarzył się Mai z uśmiechem Pączka, rozkoszującego się wizją włochatych potworów z lodówki, czających się na nią pod łóżkiem. – I nimi właśnie dziś jesteśmy. Władza ma swoje dobre strony...

Maja otworzyła drzwi. Zajrzeli do „obszaru wejściowego” Domu Gier, tego samego, który Siódemka odwiedziła w wieczór otwarcia. Maja zawahała się. – A jeśli tam jest? – powiedziała cicho.

– Nie ma go – uspokoił ją Mark. Jeszcze raz spojrzął na „mapkę”. – Dostawca wbudował mi tu funkcję, która ostrzeże nas, jeśli Roddy się pojawi. Ale według moich źródeł, dziś rano ma spotkanie w interesach.

– Źródła – powiedziała Maja, przechodząc przez drzwi i zamykając je za sobą. – To musi być miłe, dysponować siecią ludzi z agencji.

Szli przez chwilę, kiwając na powitanie różnym kosmicznym postaciom, mijanym po drodze. – Fakt, czasem bywa to przyjemne – powiedział Mark i uśmiechnął się od ucha do ucha. – Nie mogę się już doczekać, aż dorosnę i będę jednym z nich.

Maja spojrzała na niego i pokiwała głową. W tej kwestii całkowicie się z nim zgadzała. Miała jedynie nadzieję, że jej szansę „na bycie jednym z nich”, czyli agentem Net Force, są takie same jak Marka.

Przeszli jakieś dwa kilometry, aż dotarli do galerii, gdzie nie było ani „kosmitów”, ani ludzi w wirtualnych przebraniach. – Tu może być – powiedział Mark, podchodząc do jednej ze ścian z błyszczącego kamienia i przykładając do niej dłoń z błękitną, szklaną „mapką”.

Jego ręka przeszła na wylot. Mark zanurzył się w niej i zniknął. Maja wstrzymała oddech i zrobiła to samo.

Przez chwilę panowały całkowite ciemności, a potem wolno zaczęło się rozjaśniać.

–O matko – jęknęła Maja, kiedy pojawił się przed nią widok. Zabrakło jej słów. Kiedy była mała, ojciec przyniósł jej zabawkę, którą jak powiedział, sam się bawił, kiedy był bardzo mały. Było to pudełko bierek, cieniutkich, różnokolorowych patyczków. Potrząsało się pudełkiem i wyrzucało te patyczki na stół, a następnie wyjmowało się po jednym ze stosiku, tak by nie poruszyć pozostałych. Teraz właśnie patrzyła na ogromny sześcienny kształt, o prawie kilometrowej podstawie, zbudowany z „bierek” o setkach kolorów i tysiącach długości, poprzeplatanych ze sobą z wielką starannością. Była to graficzna reprezentacja podstawowej struktury programu Roddy'ego dla Domu Gier... tylko że dla Mai zupełnie nie miała ona sensu. A nawet gorzej, bo wydawało się, że przy najmniejszym dotknięciu całość runie prosto na nich... i ulegnie zniszczeniu to, po co tu przyszli, czyli program odpowiedzialny za zapalenie opon mózgowych Alaina Thurstona.

–Mam nadzieję, że tobie coś to mówi – powiedziała. – Bo dla mnie to czysta greka.

–Nie znasz greckiego? – spytał Mark, wolno podchodząc do najbliższej ściany wielkiej struktury. – A ta wyspa i tak dalej?

Maja smutno pokręciła głową. – Wystarczy wiedzieć, jak spytać, gdzie jest ubicacja i czy są dziś rekiny.

Spojrzał na nią przelotnie. – Rekiny? Nieźle. – Szedł dalej, patrząc w górę na sześcian. – To wirtualny język maszynowy. Jeden z trudniejszych. Nazywa się Caldera.

–Znasz go?

–Aha – powiedział Mark, przyśpieszając kroku, tak że Maja musiała podbiec, żeby za nim nadążyć. – Net Force wykorzystuje go w niektórych symulacjach. Idealny do pakowania dużej ilości danych w małej przestrzeni, co prawdopodobnie zainteresowało Roddy'ego. Każdy z nich – Mark wyciągnął rękę w stronę jednej z „bierek”, która zaświeciła na moment, wydobywając z mroku ciąg ciemnych kropek – to seria połączonych poleceń, jak kilka linii kodowania w starym programie Basic. Jednak każda linia jest zależna pośrednio lub bezpośrednio od innych „bierek”, które są z nią połączone. Zmień położenie jednej z nich, a cały program zacznie działać inaczej. – Zatrzymał się na chwilę, z rękami na biodrach, odchylając głowę, żeby spojrzeć na wierzchnią część konstrukcji.

–Takie twory bardzo trudno odpluskwić – powiedział wreszcie Mark. – Ale i trudno przy nich coś zmajstrować. Każda przesunięta bierka zapamięta okoliczności, w jakich to się stało.

–Więc jeśli ją przemieścisz, Roddy od razu będzie wiedział, że to ty.

–Będzie wiedział, że to ktoś – powiedział Mark. – Ale nie ustalili, kto dokładnie. Z tego, co widzę, nie ma wewnątrz żadnego systemu bezpieczeństwa. Pewnie nie spodziewa się, żeby ktoś dostał się aż tutaj. Ochrona hasła z zewnątrz jest bardzo surowa. A jeśli ma jakieś urządzenia do logowania wewnątrz, potrafię je unieszkodliwić.

Maja nie mogła powstrzymać się od cichego śmieszku.

–Żadnych zabezpieczeń, powiadasz?

Uśmiech Marka stał się ironiczny. – Aha – powiedział.

–Słyszałem co się stało z twoją symulacją. Może odplacimy mu pięknym za nadobne?

–Chyba nie chcesz zniszczyć jego...

–Nie – powiedział Mark. – Mam lepszy pomysł.

Ucichł na chwilę, wpatrując się w wielką strukturę programu. – Raczej nie powinniśmy mieć kłopotów ze zrobieniem tego, co będzie konieczne, bez względu na systemy ochronne. Nawet jeśli znalazł jakiś sposób ich wbudowania przeciwko nieautoryzowanym zmianom w samym programie, to niewiele zmienia. Pod jego nieobecność nawet najlepsze zabezpieczenia mogą jedynie imitować posunięcia Roddy'ego, który przewidziałby konkretne działanie. Założę się, że uda mi się ustalić, co tu jest grane, nie podążając żadnym ze scenariuszy, których by się po mnie spodziewał. A jeśli okaże się, że się myliłem, to się po prostu stąd zwiniemy. – Uśmiechnął się i rzucił jej figlarne spojrzenie.

–O ile nam się uda – powiedziała Maja. – To wyjątkowo chytry gość.

–Zobaczymy – powiedział Mark. Znów zaczęli wędrówkę i przez jakiś czas kontynuowali ją w milczeniu, podczas gdy Mark studiował uważnie strukturę. – Szkoda, że nie wiem dokładnie, czego szukamy – odezwał się wreszcie. – To znaczy, w samej strukturze. To jak szukanie igły w stogu siana.

–W jakim sensie „szukamy”?

–Chodzi mi o konkretne mechanizmy, które wykorzystał Roddy, żeby zarazić twojego przyjaciela Alaina. Procedury wirtualne nie powinny bezpośrednio wpływać na czyjś stan fizyczny. Nie jestem pewien, jak takie procedury mogłyby wyglądać, ale domyślam się, że nietypowo. – Westchnął i szedł dalej.

–Alain podobno raz go tu odwiedził – powiedziała Maja. – I widział, jak Roddy pracuje.

–Z twojego opisu Roddy'ego wynika – powiedział Mark – że nie pokazałby Alainowi nic, co tamten byłby w stanie pojąć.

–No, nie wiem... – Maja wróciła myślami do wieczoru otwarcia Domu Gier. – Wiesz, Alain powiedział coś dziwnego, kiedy zachorował, i to mi utkwiło w pamięci... nie brzmiało to aż tak szaleńczo. Zaczął mówić o nitkach... nie, o

pajęczynie.

–Naprawdę? – zainteresował się Mark. – To jest myśl.

Tu wszystko wygląda bardzo linearnie, prawda?

–Aha.

–Zobaczmy. Procedura kontroli struktury – powiedział w przestrzeń Mark.

–Tutaj – odezwał się głos. Maja podskoczyła do góry, ponieważ był to głos Roddy'ego.

–Zmniejsz widoczność głównej struktury. Wzmocnij wszystkie nietypowe lub nielinearne procedury.

Ogromna struktura z „bierek” zbladła, przybierając szary odcień. Wewnątrz niej znajdowały się, dotychczas ukryte, poplątane, podobne do pajęczyny nitki, które teraz zaczęły jaśnieć wieloma kolorami.

–Innnnnnterесujące – mruknął Mark i zaczął znów iść w stronę odległego rogu sześcianu, gdzie zbiegało się wiele nitek i splotów.

Maja usiłowała dotrzymać mu kroku. Gdy dotarli do rogu, Mark zatrzymał się i przesunął ręką nad jedną z nitek, umiejscowioną najbliżej powierzchni sześcianu, jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów w głębi. Nitka pojaśniała w odpowiedzi, ukazując swoje kropki, podobne do tych w „bierkach”; ciemniejsze plamki tworzące zawile wzory wzdłuż splotów.

–Spójrz na nie – powiedział Mark. – To znów kodowanie. Widzisz, jak się powtarza? Zawsze sześć tych samych kształtów, tylko w innych kolorach. Co ma taki kod?

–Znów zaczął się uśmiechać.

Maja myślała chwilę. – DNA! – wykrzyknęła.

–Zgadza się – powiedział Mark. – Założysz się, że część należy do Alaina?

Pokręciła głową. – Nie lubię przegrywać – powiedziała.

–Nic prostszego niż zdobyć próbkę czyjegoś DNA. Wystarczy, że komuś wypadnie włos.

–No, może nie bezpośrednio jego – powiedział Mark.

–Ale kopia, dokładne odwzorowanie jego części. I może nie ten splot – któryś z tamtych.

–A te wszystkie do kogo należą? – spytała Maja, trochę zaniepokojona widokiem setek splątanych ze sobą nici.

–I tu mnie masz – powiedział Mark. – Ale założę się, że dzieje się tu coś poważniejszego niż głupi dowcip. Spójrz na to. – Pokazał jej jak „bierki” w danej strukturze otaczają przy końcu konkretny splot. – To nie są zwykłe wywołania assemblera do głównego programu symulowania, jak w większości tych „bierek”. One mają przywoływać pewne specyficzne substancje chemiczne. – Pokręcił

głową. – Konkretne substancje chemiczne. Ale jakie? I gdzie?

–Jeśli mamy do czynienia z DNA? To w czymś żywym.

–W czymś ciele? – powiedziała Maja.

Mark nie odzywał się przez chwilę, po czym pokiwał głową:

–Możliwe.

Odetchnęła głęboko, zdezorientowana. – Ale takie polecenia nie mają sensu. Nie powinny działać. Nie powinny być w stanie przekraczać bariery pomiędzy ciałem a umysłem.

–Racja. Ale wygląda na to, że jakoś mu się udało. Spójrz na to. – Mark wskazał miejsce, w którym wijąca się nić oplatała kilka skupisk „bierek”. – Ta struktura wielokrotnie się powtarza. To neuroprzełącznik. On zmusza organizm, żeby to rozłożył, a następnie złożył w inny sposób – polecenie takie wywołuje następną reakcję, w innej części organizmu. Może coś, co po fakcie będzie wyglądało na zupełnie z tym niezwiązane? Oglądałaś kiedyś stare kreskówki? Śweczka przepala sznurek, do którego przywiązany jest ciężarek, on potem spada na deskę, leżącą na kamieniu, która wyrzuca w górę piłkę, która trafia w kurę, ta znosi jajko, które wpada na patelnię...

–Heath Robinson – powiedziała Maja.

–Nie. To znaczy, też, ale myślałem raczej o innym rysowniku, Reubenie Goldbergu. On też robił takie rzeczy. Może i Roddy tak postępuje. Nie próbuje przejść bezpośrednio przez barierę. Wykorzystuje procedury zakończenia programu i podprocedury. Wmawia barierze, że nie istnieje.

Maja usiłowała się w tym wszystkim połapać. – To jest zbyt pogmatwane. Nie jestem pewna, czy potrafię w to uwierzyć... – Ani ja – zgodził się z nią Mark. – I to mnie właśnie najbardziej przeraża. Nawet kiedy mam to przed oczami, wciąż nie jestem niczego pewien. Roddy oszustwem zmusza organizm, żeby ten identyfikował się z częścią wirtualnej procedury. Wykorzystuje do tego neuroprzełączniki... naśladując zjawiska z fotofizyki, gdzie zmieniasz cechy fotonu, a sąsiedni foton w rezultacie również ulega przemianie... chociaż nawet się ze sobą nie stykają. Posługuje się czymś takim, żeby wywołać zmiany na poziomie molekularnym... tak mi się wydaje.

–Tak ci się wydaje?

Mark wyglądał na rozczarowanego, że musi przyznać się do niewiedzy w jakiejś dziedzinie:

–Nie jestem specem od medycyny. Nie mogę być całkowicie pewien, co tu właściwie widzę. Niektóre substancje chemiczne wykorzystywane przez Roddy'ego mają molekularną masę kilku tysięcznych... – Pokręcił głową. – Jednak bez względu na wszystko, sprawa nie kończy się na Alainie. Nie

opracowałyby tego wszystkiego dla jednego żartu. – Pomachał ręką w stronę ogromnej plątaniny nitek, wijących się pomiędzy „bierkami” reprezentującymi konwencjonalny kod. – Mamy tu do czynienia z jakąś większą, poważniejszą sprawą. Może nawet niebezpieczną.

Maja zadrżała.

–Chodź – powiedział Mark. – Spadajmy stąd. Dostaję tu gęsiej skórki.

Maja cieszyła się, że nie musiała sama tego powiedzieć. Zaczęli wędrówkę powrotną. – Więc co teraz zrobimy? – spytała. – Winters będzie chciał dostać raport.

–Poczeka – powiedział Mark. – Nie mamy jeszcze wystarczających danych.

–Będziemy musieli tu wrócić? – Nie była zachwycona taką perspektywą.

Zazwyczaj twierdziła, że nic w Sieci nie jest za trudne, ale tu, z niewiadomych przyczyn, ogarniał ją lęk.

–Przynajmniej jeszcze raz – powiedział Mark. – Zabierzemy ze sobą eksperta od medycyny. Znasz Charlie'ego Davisa? To też Zwiadowca. Mieszka w Waszyngtonie i studiuje na Bradford. Ciężki przypadek miłośnika medycyny. Może nam pomóc.

–Brzmi rozsądnie – powiedziała Maja. Zaczynała poważnie zastanawiać się nad całą sytuacją. Jeśli Roddy zrobił coś takiego Alainowi, trudno przewidzieć, komu jeszcze zechce zaszkodzić w ten sposób. Na kogo jeszcze jest zły? Czy wystarczy mu skrzywdzenie tej osoby, czy będzie chciał zemścić się na jej otoczeniu? Rodzice Mai? Jej brat? Siostrzyczka?

–Znajdźmy go i przyprowadźmy od razu tutaj – powiedziała.

Przeszli z powrotem przez miękką ścianę. Otworzyła na oścież drzwi do swojej „willi” i w pośpiechu weszła do środka, lekceważąc zdziwione spojrzenie Marka.

Drzwi zamknęły się za nimi. Mark odetchnął głęboko.

–No dobrze – powiedział. – Chcesz, żebym odszukał Charlie'ego i przyszedł z nim do ciebie?

–Nie, idę z tobą.

–W porządku.

Razem ruszyli do wyjścia. – Ale powiedz mi jedno – odezwała się Maja po drodze. – Co miałeś na myśli, mówiąc „Mam lepszy pomysł”?

Mark uśmiechnął się, przybierając prawdziwie szatańską minę.

–Byłaś w samym sercu jego symulacji, miałaś kod dostępu, umożliwiający zrobienie wszystkiego, co dusza zapagnie, łącznie z całkowitym zniszczeniem tej symulacji... i niczego takiego nie zrobiłaś. Niech spróbuje rozwikłać tę zagadkę.

Maja wzruszyła ramionami. – Pomyśli, że jestem cienka i tyle. – O, nie. Już nie. Dowie się, że tam byłaś... i to go doprowadzi do szału. – Uśmiech Marka stał się jeszcze bardziej szatański, choć Maja nie sądziła, że to możliwe. – A jeśli chodzi o Roddy'ego... dla niego stałaś się niebezpieczna.

Kiedy minęli jej „drzwi wyjściowe”, kierując się do wirtualnej przestrzeni Marka, Maja złapała się na tym, że zastanawia się, czy to tak do końca dobrze...

Maja i Mark odnaleźli wreszcie Charlie'ego w jego wirtualnym miejscu pracy, gdzie przygotowywał się do egzaminów. Normalnie, nie wzbudziłoby to żadnych komentarzy, ale jego VR okazała się główną salą wykładową Królewskiego Koledżu Medycznego – pokrytą boazerią ze starego drewna i wyposażoną w antyczne ławki, ustawione półkolem pod nobliwą, szklaną kopułą. Tam właśnie, na samym środku, siedział Charlie, otoczony książkami, dokumentami, wydrukami i nośnikami danych, rozłożonymi na stole do sekcji zwłok. Podniósł głowę, kiedy weszli i powiedział: – Mark? – We własnej osobie, że się tak wyrażę.

–Wydawało mi się, że się zarzekłeś, że nigdy tu nie wrócisz – powiedział Charlie, obrzucając go nieco szyderczym spojrzeniem.

–No tak, cóż, mam interes – odparł Mark.

Maja rozglądała się z podziwem po pięknym wnętrzu. – Dlaczego nie chciałeś tu wrócić?

–Pokazał mi, co tu się swego czasu działo we wtorki i czwartki – powiedział Mark, celowo omijając wzrokiem stół do sekcji zwłok. – Coś takiego nie powinno się przytrafić psu.

–Ale się przytrafia – odpowiedział Charlie. – I to niestety często. – Odsunął na bok książki i wskazał im dwa stojące obok krzesła. Chippendale, pomyślała Maja, oceniając oparcia. Jej matka oddałaby wszystko, żeby dostać takie w oryginale. – Mów, co jest grane – odezwał się Charlie.

Opowiedzieli mu całą historię. Charlie wpatrywał się w stół niewidzącym wzrokiem, który zdaniem Mai oznaczał, że próbuje szybko poskładać w całość wiele zaskakujących informacji.

–No dobrze – powiedział. – Uważacie, że Roddy znalazł sposób przekazywania infekcji przez Sieć?

–Być może – powiedziała Maja.

–Albo może doprowadzać do ich powstania – również przez Sieć.

–Coś w tym stylu – potwierdziła Maja.

–Strasznie jesteś dziś ostrożna – prychnął Mark.

–Lepiej uważać, co się mówi – powiedziała Maja.

–Nie, dziewczyna ma rację – powiedział Charlie.

–Trudno będzie ustalić coś na sto procent bez większej liczby danych. Lepiej pójdźmy zobaczyć się z tym klientem.

–Klientem?

–Alainem. A z kim? Chociaż niewykluczone – dodał Charlie – że to nie jedyny przypadek chorobowy. Maja, możesz się z nim skontaktować?

–Dobre pytanie. Nie wiem, czy ktokolwiek to potrafi – powiedziała Maja. – Sprawdźmy, czy jest u siebie.

–Dobrze. Wywołanie – powiedział Charlie. – Maja, podaj kod.

Maja wyrecytowała szereg cyfr i liter, umożliwiając jej dostęp do książki adresowej łączności wirtualnej i powiedziała: – Alain Thurston.

W powietrzu natychmiast rozległ się głos: – Teraz nie przyjmuję żadnych gości, przepraszam. – Był to głos Alaina, nagrany na automatyczny serwis.

–Alain, mówi Madeline Green – powiedziała Maja. – Jestem tu z przyjaciółmi – wydaje nam się, że możemy ci pomóc w sprawie Roddy'ego.

–Teraz nie przyjmuję żadnych gości, przepraszam – odpowiedział system Alaina.

Charlie i Mark spojrzeli po sobie.

–Daj spokój, Alain – powiedziała Maja. – Rozumiem, że musisz czuć się okropnie, ale to się nie poprawi, dopóki ktoś czegoś z tym nie zrobi. Moi przyjaciele są Zwiadowcami Net Force i wydaje nam się, że wspólnie potrafimy opracować jakiś plan działania.

Nastąpiła pauza. Na szczęście nie odezwał się już system Alaina, odmawiający im wstępu.

Powietrze zaiskrzyło się i otoczenie zmieniło się z sali chirurgicznej Królewskiego Koledżu w plażę. Zobaczyli biały piasek, niebieską wodę, błękitne niebo, palmy, parasol z liści palmowych, a pod nim rattanowy stolik i duże wiklinowe krzesło, na którym siedział Alain. Spojrzał z lekkim grymasem na zbliżającą się Maję, Marka i Charlie'ego.

–Dzięki, że zechciałeś się z nami spotkać – powiedziała Maja.

Mark rozejrzał się zaciekawiony. – Niezła plaża – pochwalił.

–Aha – zgodził się Alain, nie zwracając uwagi na komplement.

–Malediwy. Jak w raju, co? Tak do niedawna wyglądało moje życie. Zatrzymałem ten krajobraz na pamiątkę dawnych, dobrych czasów. – Spojrzał na Maję z jeszcze większym grymasem. – Nie rozumiem tylko – powiedział – czemu w ogóle zawracasz sobie mną głowę, po tym, co ci zrobiłem?

–Słucham?

–To ja napuściłem Roddy'ego na twoją symulację. Oczywiście, nie sądziłem,

że tak to się skończy. Co cię obchodzi, czy moje życie rozpadnie się teraz w drobny mak?

Mają zdenerwowała ta próba wzbudzenia współczucia.

–Posłuchaj – powiedziała – umówmy się, że taka ze mnie altruistka, dobra? Albo mam dziwne podejście do zemsty. Jak wolisz, bo ja nie zamierzam tracić czasu na dyskutowanie z tobą o kwestiach etycznych. To Mark Gridley, a to Charlie Evans. Należymy do Zwiadowców Net Force.

–Racja – powiedział Alain, nie wyglądając nawet w połowie na tak zaskoczonego, jak spodziewałaby się Maja. – Powinienem być się domyślić, że teraz dobierze się do mnie Net Force.

Maja zamrugnęła, słysząc to, ale nie skomentowała jego słów.

–Więc, co macie? – spytał Alain.

–Kilka pomysłów – powiedział Charlie. – Ale najpierw musimy się dowiedzieć o twoich kontaktach z Roddym L'Officierem. Fizycznych.

–Nie było żadnych.

–Żadnych? – zdziwiła się Maja. – Nie poszedłeś razem z Siódemką na pizzę, wtedy kiedy on też był?

–Nie, starzy zabrali mnie na jakąś głupią operę – powiedział Alain zniecierpliwionym głosem.

–Więc nigdy się z nim nie spotkałeś na żywo? – upewnił się Mark.

–Nie.

–Ile razy spotkaliście się w VR? – spytał Charlie.

–Od kiedy go poznałem? Jakies kilkanaście razy.

–Czy w tym czasie miałeś z nim bezpośredni kontakt?

–Nie – powiedział Alain, patrząc podejrzliwie na Charlie'ego. – Słuchaj, jeśli myślisz, że jestem...

–To znaczy, czy grałeś z nim w jakieś sporty wirtualne, czy coś w tym stylu? Czy były sytuacje, podczas których mogliście na siebie wpaść?

–Sporty? – Alain roześmiał się. – Roddy nie jest okazem sportowca. Ja też nie.

–No dobrze – ciągnął Charlie. Pomyślał chwilę i spytał:

–Byłeś w jego laboratorium?

–Jasne.

–Ostatnio?

–Jakies półtora tygodnia temu.

–Powiedział wtedy albo zrobił coś dziwnego?

–Hej – powiedział Alain, krzywiąc twarz. – Mówimy o Roddym. On zawsze jest trochę dziwny.

–I wtedy też cię nie dotknął? Nie uścisnął ci ręki, czy coś takiego?

–Nie dostaje się zapalenia opon mózgowych od uścisku ręki – odparł zniecierpliwiony Alain. – Ani od klamek, skoro już o tym mowa.

Mark odwrócił się nieco ostentacyjnie, żeby obejrzeć sobie marlina, który wyskakiwał na powierzchnię niedaleko brzegu. Maja widziała to, czego nie mógł zobaczyć Alain – czyli irytację na twarzy Marka. Natomiast Charlie był nie wzruszony. – I nic tam nie „jadłeś” ani nie „piłeś”?

–Nic takiego nie zaproponował. Roddy by o tym nie pomyślał – a raczej, biorąc pod uwagę jego poczucie humoru, nawet jakby pomyślał, to człowiek by tego zaraz pożałował. – I niczego innego nie dotykałeś?

–Na litość boską, jak można uniknąć dotykania czegoś w scenariuszu wirtualnym – powiedział Alain. – Na tym przecież polega...

–Gołą skórą – wyjaśnił Charlie – albo rękami.

–Nie, nie zrobiłbym... – Alain przerwał. Maja przeniosła wzrok na Charlie'ego i zobaczyła, jak na sekundę otwiera szerzej oczy.

–Tak – powiedział Alain, nieco zdziwiony, że ten szczegół zupełnie umknął jego pamięci. – Splatał jakieś długie nitki... przy jego tronie leżała ich cała kupa. Dał mi kawałek do potrzymania... część tego, nad czym pracował. Wyglądało to jak sznurek... tylko splątany.

–Ile było tych splotów?

–Dwa – powiedział Alain. – A pomiędzy nimi znajdowały się szczelbelki, jak w drabinie. To przypominało...

–DNA – powiedzieli wszyscy razem, a Mark spojrział na Maję rozszerzonymi oczami.

–Nie mógł – powiedziała Maja, niemal buntowniczo.

–W każdym razie nie z prawdziwym DNA. Nikt jeszcze nie opracował pełnego ludzkiego genomu, to znaczy, nie ustalił jeszcze funkcji wszystkich genów, na litość boską, a poza tym, gdyby było inaczej i gdyby każdy gen miał przypisane miejsce i funkcję, to i tak nie można tak po prostu rozłożyć DNA i złożyć go z powrotem jak klocki!

–Owszem, można – powiedział Mark. – Przy wykorzystaniu mikrochirurgii. Ale nie wirtualnie. – Przerwał i dodał: – Przynajmniej na razie.

–Zakład? – odezwała się Maja.

Mark posłał jej spojrzenie, które raz czy dwa razy widziała u Jamesa Wintersa: natychmiastowe przyjęcie do wiadomości nieprzyjemnej prawdy.

–Dał ci kawałek do potrzymania – powiedział wolno Charlie do Alaina. – Interesujące. I to wszystko? – spytał. – Tak – odpowiedział mu Alain. – Odrzuciłem mu go zaraz z powrotem.

–Okay – powiedział Charlie. – Myślę, że tak właśnie cię zaraził. Musimy jedynie dowiedzieć się, jak dokładnie wyglądał ten kawałek, żeby rozpracować jego działanie.

–Spojrzał po pozostałych. – Powinniśmy rzucić okiem na tę przestrzeń, o której mi mówiłeś, Mark. Wtedy będę miał lepszy obraz całości.

–Dobrze.

–Okay, Alain, jeśli będziemy cię potrzebować...

–Znajdziecie mnie tutaj – powiedział Alain, usiłując jednocześnie wyglądać na kogoś zainteresowanego i jednocześnie zupełnie obojętnego na całą sprawę. – Nigdzie się nie wybieram. Może już nigdy.

Pokiwali głowami.

–Och, i przekażcie Rachel moje podziękowania – rzucił na dowidzenia Alain.

–Rachel?

–Halloran. Pracuje dla Net Force.

–Jasne.

–Przywołanie – powiedział szeptem Charlie.

Znów znaleźli się w jego przestrzeni VR.

Mark odetchnął głęboko. – Maja, wybacz, ale ten twój kumpel wygląda tak, jak najlepszy kandydat na kogoś, kogo można zmusić do wymiotów za pomocą pilota od telewizora. Co za strata czasu!

–Jest wystraszony i zły – powiedziała Maja. – Co gorsza, zrobił coś naprawdę głupiego i myśli, że wszyscy o tym wiedzą. I rzeczywiście ma maniery kogoś, kto ma jeża w... Lepiej zostawmy to na chwilę. O czym myślisz?

–Nie warto o tym wspominać, dopóki nie obejrzę miejsca pracy Roddy'ego – powiedział Charlie. – A tak swoją drogą, kto to jest Rachel Halloran?

–Pewnie ktoś z Net Force – powiedziała Maja. – Może pracuje z Wintersem?

Mark zamrugał oczami i pokręcił głową. – Nie kojarzę takiego nazwiska. – Wzruszył ramionami. – Ale w końcu w organizacji pracuje pięć tysięcy ludzi, i wciąż zatrudniają nowych... pewnie jest jedną z nich. Mniejsza z tym, potem się tym zajmiemy.

–Dobrze. – Mark aktywował hasło, przenoszące ich do VR Roddy'ego. Tak jak za pierwszym razem, znów otoczyły ich ciemności, a po chwili pojawiły się światła pierwszej sali.

Mark przyjrzał się dokładnie „mapce” z niebieskiego szkła.

–Nie ma go?

–Zgodnie z informacją z „mapki” był tu niedawno. Ale już poszedł – poinformował ich Mark.

–Dobrze, obejrzyjmy tę jego konstrukcję.

Kilka minut potem znaleźli się w ogromnej, pogrążonej w mroku przestrzeni, którą Maja w duchu zaczęła nazywać Świątynią Boga Bierek. Charlie najpierw stał w milczeniu, wpatrując się w strukturę programu. – Rozumiem, że natrafiliście tu na coś – powiedział – co waszym zdaniem powinienem zobaczyć.

–Tak – powiedział Mark. – Pełno tu neuronowej chemii. Sam zobacz.

Przeszli wzdłuż tej samej ściany olbrzymiego sześcianu, którą już raz oglądali Maja i Mark. Mark studiował mały, błękitny czip.

Maja z zaciekawieniem spojrzała mu przez ramię. W powietrzu pod czipem widać było przesuwające się bez końca szeregi danych.

–Logi dostępu – powiedział Mark, nie zatrzymując się.

–Tu – i jeszcze tutaj.

–Ale pomiędzy tymi dwoma jest jeszcze jeden – powiedziała Maja.

Mark pokiwał głową. – Właściciel i gość – odczytał.

–Gość? – zdziwiła się Maja. – Kogo jeszcze wpuściłby tu Roddy? Na pewno nie Alaina.

Mark pokręcił głową. – Ciekawa sprawa – powiedział i umilkł na chwilę. – Tu, Charlie. Program.

–Zaczynam – odezwał się głos Roddy'ego.

–Pokaż wszystkie nietypowe lub nielinearne konstrukcje.

Większa część ogromnej kostki zbladła. Charlie przyjrzał się splotom i supłom danych.

–Znam trochę język Caldera – powiedział z wahaniem.

–Ale nie tak dobrze jak ty, Mark. Możesz mi pokazać te dane w jakiejś innej konfiguracji?

–Nie oprogramowanie – powiedział Mark. – Ale bezpośrednie odpowiedniki związków chemicznych – tak.

–Może być.

Reszta sześcianu stała się teraz ledwo widoczna, zostały jedynie sploty modeli molekularnych, kłębki atomów połączone wirtualnymi odpowiednikami wiązań chemicznych. Maja popatrzyła na tę całą plątaninę, która teraz wydawała się jej bardziej niezrozumiała niż za pierwszym razem. Natomiast Charlie przechadzał się wzdłuż niej, zatrzymując się od czasu do czasu i nie wydawał się ani trochę zbity z tropu.

–Mieliście rację, co do tych neuralnych elementów – powiedział, przystając na chwilę przy skomplikowanym kłębku molekuł. – Neuroprzekazniki mają tu niezłą zabawę. Połowa rodziny Paracrine... serotonina, metabolity serotoniny, mnóstwo jednoamidów. Spójrzcie tylko na nie. Coś tu się dzieje z nerwami układu współczulnego. Aha, neuropeptyd Y... Mark, wlokący się za nim,

wykrzywił się. – Może przerwiesz na momencik i przejdziesz na angielski?

–Ciężko omawiać specjalistyczne zagadnienia językiem potocznym – powiedział łagodnie Charlie. – Ale tyle powinien zrozumieć nawet ktoś z podstawami biologii. Ten gość niebezpiecznie przesuwa granice neurochemii. Manipuluje przy częściach odpowiedzialnych za wegetatywne funkcje organizmu, takie jak oddychanie, trawienie...

–I reakcje systemu odpornościowego – dopowiedziała Maja.

Charlie spojrział na nią i pokiwał głową. – Ogólnie rzecz biorąc, tak. Ale nerwy znajdują się zawsze w samym centrum akcji. Nagle Charlie przerwał. – Ten obraz jest za mały – powiedział.

–Spróbujmy czegoś innego. Mark, cała ta chemia prowadzi do większych struktur.

–Aha.

–Dobrze. To są bloki ścienne. Zobaczmy, jak wyglądają dźwigi – zerknijmy na to, co ten gość naprawdę buduje.

Podał komputerowi szereg instrukcji, zdaniem Mai, zupełnie bez sensu, chociaż zauważyła, że słysząc je Mark pokiwał głową. Konfiguracja zawartości sześcianu znów uległa zmianie. Tym razem cała sieć, wijąca się wewnątrz niego, wyglądała na delikatniejszą i jeszcze bardziej zawiłą.

Charlie podszedł do odległego rogu sześcianu, przyglądając się mu uważnie, a potem zwrócił się do Marka. – Przydałoby się przemieścić całą tę konfigurację o dziewięćdziesiąt stopni w prawo – jak brzmiałoby takie polecenie?

–Może się zdziwisz, ale „dziewięćdziesiąt stopni w prawo” – powiedział Mark. Cała ogromna konstrukcja zniknęła, po czym pojawiła się znowu, tym razem leżąc na boku, przy którym szli przed chwilą, zanim skręcili za róg. – Oho – powiedział Charlie i ruszył dalej w tym samym kierunku co poprzednio.

–Oho – powtórzył po jakiejś minucie. Zaczynał się złościć. – Spójrzcie na to. Widzicie? To są złącza nerwowe. Spójrzcie na nie wszystkie. To system nerwowy. Gorzej, to szablon systemu nerwowego. Struktura taka sama, a zmienić ma się jedynie DNA w komórkach nerwowych. Żaden problem. To dokładnie taka sama funkcja „znajdź i zamień”, w której najlepsze są komputery. Wyrzuć czyjeś DNA i RNA, wrzuć DNA i RNA kogoś innego, wszystko przy pomocy jednej funkcji... a potem posługuj się nimi wedle własnej woli. Dobry Boże...

Charlie zaczął iść wzdłuż struktury, przysuwając rękę do delikatnych pajęczych nitek światła, znajdujących się najbliżej powierzchni. Kiedy to robił, światło na chwilę stawało się trochę intensywniejsze. – Widzicie to? To nie jest nawet cały system nerwowy, tylko wybrane kawałki centralnej części. Nie cały

mózg, a fragmenty niezbędne do podstawowych funkcji i syntezy protein. Kora mózgowa, przysadka mózgowa, płat węchowy i wzrokowy, mózdzek. Rdzeń przedłużony, a do tego tylko kręgosłup i ganglia obsługujące nerwy rdzenia kręgowego. Ale nic więcej.

–Dlaczego tylko to?

Podszedł kawałek dalej. – Forma odzwierciedla funkcję – powiedział Charlie, w istocie głośno myśląc. – Tu nie chodzi o wyższe funkcje mózgu. Chodzi raczej o hormony – informacyjne związki chemiczne, modulację neuroprzekaźników...

–Tam jest ich jeszcze więcej – powiedział Mark.

Charlie dołączył do niego i przyjrzał się wyodrębnionym przez Marka strukturom. – Acetylocholina – powiedział – tak, oligomery i kinazy proteinowe... O rany.

–Ale po co ktoś miałby budować replikę czyjegoś centralnego systemu nerwowego? – spytał Mark. – A nawet jego części? Żeby go przekonać, że jest prawdziwym systemem nerwowym?

Charlie zatrzymał się w miejscu i zapatrzył przed siebie: – Albo żeby przekonać prawdziwy system nerwowy, że jest wirtualny.

Przez chwilę stali jak sparaliżowani i patrzyli po sobie. – Ale co potem? – zastanawiał się Charlie głośno.

–Żeby skłonić go do wytworzenia substancji chemicznych – powiedziała Maja. – Substancji chemicznych na specjalne zamówienie. Można dzięki nim robić wiele rzeczy... na przykład sprawić, że dana osoba zachoruje.

–Toksyne – powiedział Mark. – Bakterie je wydzielają, kiedy dostają się do wnętrza organizmu.

–Można je zbudować z fragmentów dostępnych protein, jeśli jest się wystarczająco utalentowanym – powiedział Charlie. – A ten chłopak jest. To by nawet wyglądało jak prawdziwa infekcja... odporna na działanie antybiotyków. Aż ciarki człowieka przechodzą.

Wyglądał jak ktoś, kogo zmuszono do zjedzenia czegoś niesmacznego.

–Niewiarygodne – powiedział Charlie. – Dzięki tej technologii można opracować lekarstwo na choroby nowotworowe! Pod warunkiem, że ktoś wie, czego szukać...

Tego już było dla Mai za dużo. – Chcesz mi powiedzieć, że najtęższe mózgi, ludzie pracujący w szlachetnej sprawie, od wielu lat bezskutecznie usiłują wynaleźć taki lek – a ten dzieciak, robiący głupie żarty, tego dokonał?

–Aha.

–To nie fair!

–A kto powiedział, że musi być fair? – zauważył Charlie, choć też z nutką

irytacji i przygnębienia w głosie. – Nie ważne. Wszystko tu jest. Teraz musimy tylko uzgodnić, co z tym dalej robimy. To nie struktura komórkowa, ani jej szablon. To DNA.

Podszedł do końca przy jednej ze ścian wielkiej kostki i zatrzymał się. – Spójrzcie na to. – Poszli wzrokiem za jego ręką. Od razu zrozumieli, że ma rację, widząc podwójną helisę splecioną z wielu nici, znikającą w samym centrum sześcianu.

–DNA człowieka? – spytał Mark.

Charlie pokręcił głową. – W tym przypadku powiedziałbym raczej, że jakiegoś drobnoustroju.

–Wirusa? – rzucił Mark. – Prawdziwego?

Charlie zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową. – Nie, jest bardziej złożone. Zresztą, na jego miejscu nie zawracałbym sobie nimi głowy. Wirusy są głupie. Och, przestańcie, wiem co mówię. Chodzi mi o to, że mają słabe właściwości adaptacyjne. Wirusy w naturalnym środowisku, to już całkiem inna historia. Mają do dyspozycji całe setki, a nawet tysiące pokoleń, żeby się zaadaptować. Ale wirusy produkowane przez mikrobiologów nie mają tendencji do mutowania się i pozostają niezmiennione... ponieważ to ostatnia rzecz, jakiej życzyliby sobie ludzie w laboratorium. Nie można mieć ciastka i go zjeść. Wirus albo jest oswojony albo dziki tuż po powstaniu. Oswojony zawsze może zdziczeć po kilkuset tysiącach pokoleń... ale nigdy nie będzie się tak dobrze adaptował, jak ten naturalny od zawsze.

–Spójrzcie na HIV. Tyle razy wydawało się, że już go ujarzmiliśmy, a on mutował się i ze złośliwym uśmieszkiem zarażał kolejne miliony ludzi.

–No dobrze – powiedział Mark – czym ty byś się, w takim razie, posłużył?

–Bakteriami – odparł Charlie. – Łatwo się je mutuje.

Można je naginać do własnych potrzeb. Na mój gust, nawet zbyt łatwo. Wystarczy płytka Petriego i lodówka. – Uśmiechnął się szeroko. – Sam to robiłem. Jeden z moich nauczycieli chemii, zajmował się biologiczną bronią.

–Bronią?

–Tak – odparł spokojnie Charlie. – Powiedział nam: „Po co paprać się z wirusami, kiedy można uzłośliwić bakterie. Najpierw bierze się je...”. – Przerwał raptownie. – Zresztą, nieważne.

–Tchórz.

–Mów, co chcesz – odpowiedział Charlie. – Ja wiem, że mnie można powierzyć takie informacje, ale wam?

Mark przewrócił oczami. – Teraz się już nie dowiemy.

–Otóż to. Istnieją setki rodzin bakterii specjalizujących się w infekowaniu

nosiciela, którego jednak nie zabijają. A to jest właśnie problem z wirusami. Są w większości zbyt prymitywne i nie umieją robić niczego poza uśmierceniem nosiciela. A te, które go nie zabijają, są po prostu nieskuteczne. Natomiast bakterie są zazwyczaj inteligentniejsze. Żywiąc się tobą, utrzymują cię przy życiu... nauczyły się, że mądrzej jest nie zabijać od razu nosiciela, bo ten może je doprowadzić do następnego. Wygląda na to, że wasz przyjaciel chce połączyć tę technologię z czymś, co mógłby wykorzystać jako „bombę zegarową”, ponieważ w takiej formie potrafiłby ją lepiej kontrolować. – Na twarzy Charciego znów pojawił się wyraz pogardy, świadczący o tym, że ma przed oczami rozległą wiedzę wykorzystaną w złej sprawie.

–Okay – powiedział Mark. – Alain rozchorował się na zapalenie opon mózgowych. To ma podłoże bakteryjne, prawda?

–Zazwyczaj tak. Ale... – Charlie wolno zacierał ręce.

–Okay, istnieje dużo rodzin ziarniaków i pałeczek, które by się nadawały. Tylko że one są zazwyczaj bardziej wyspecjalizowane i nieco delikatniejsze... wrażliwe na wysoką temperaturę i odwodnienie. A co istotniejsze, nie każdy je w sobie nosi. Gdybym chciał pozostać niezauważony, wykorzystałbym coś, co ma w sobie każdy.

–Bakterie coli – powiedziała nagle Maja.

Charlie pokiwał głową. – Na przykład, albo coś z bakteryjnej flory jelitowej. Ale coli znajduje się też w wielu innych miejscach... o czym dowiedzieliśmy się kilkadziesiąt lat temu, kiedy rozzuchwaliły się i zaczęły wytwarzać supertoksyczne szczepy. Nie można dezynfekować całej planety, ani zaglądać każdemu do okrężnicy, żeby się przekonać, czy przypadkiem coś się tam nie mutuje.

Odszedł na kilka kroków od całej konstrukcji i zaczął się jej przyglądać z założonymi rękami. – Moim zdaniem to DNA bakterii – zawyrokował. – Ma niewiele ponad kilometr. Ale te... – Wskazał ręką kilka splotów. – Te są o wiele dłuższe. I one należą do człowieka. O to jestem gotów się założyć. Są o wiele bardziej złożone, poza tym, po co Roddy miałby tracić czas na zwierzęce DNA? Znając jego cel działania... – Charlie wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że jeden z nich należy do naszego kumpla, Alaina.

Inne... – Pokręcił głową. – W każdym razie, jeśli chodzi o same bakterie, w pięć minut mogę się dowiedzieć, co jest grane. Genom coli ustalono już dawno temu. Właśnie na nich najczęściej eksperymentują naukowcy. Mogę wejść do swojego laboratorium i przygotować analizę porównawczą, żeby się dowiedzieć, czy to rzeczywiście coli, czy jeden z jej przyjaciół, oraz który konkretnie szczep tu wykorzystano. Pozostała część...

–Charlie znów patrzył na sploty DNA. – Sam nie wiem – powiedział.

I wtedy nagle otworzył usta i znów je zamknął. Powtórzył to kilka razy, przez co upodobił się do ryby, chociaż Maja nie powiedziała tego głośno. Wreszcie odezwał się:

–Maja, ty spotkałaś Roddy'ego, prawda? To znaczy w sensie fizycznym.

–Co? Nie było w tym nic fizycznego.

–Nie o to mi chodzi. Chciałem powiedzieć – niewirtualnie. – Raz. Całkiem niedawno. Siódemka postanowiła się spotkać, ponieważ większość z nas nie widywała się z resztą inaczej jak w VR. Więc umówiliśmy się w pizzerii „U Szalonego Pete'a”.

Mark złapał się za głowę. – To ten lokal ze staroświeckimi mebelkami. Rany, ale macie gust.

–Mamy, przynajmniej w jedzeniu – odparła Maja.

–Wystrój się nie liczy. Zamieszkać pod ziemią, jeśli ktoś znajdzie pizzę na tyle dużą, żeby Fergal nie dał rady zjeść jej do końca. To było niesamowite. Oblizywał się, kiedy je nam przynosili. Warto było to przeżyć nawet za cenę tandetnego wystroju. Ale, Charlie, dlaczego interesuje cię...?

Nagle głos zamarł jej w krtani.

–Czy przypadkiem nie zrobił czegoś, żeby zdobyć twoje DNA? – spytał Charlie.

–Co? Nie, nigdy mnie nie dotknął.

–Zastanów się. Co dokładnie robił?

Maja pomyślała przez chwilę. – Nic. Było sporo śmiechu, kiedy robił rysunki na serwetkach, naprawdę ma dryg do rysowania i... Przerwała. Tym razem to ona otworzyła usta, po czym zamknęła je z powrotem.

–Serwetki, mówisz – powtórzył Charlie. – Spryciarz.

Oczywiście, były papierowe.

–Tak – potwierdziła Maja. – Wziął jedną od każdego.

–Zaczęła przeklinać własną głupotę. Bez trudu zdobył próbkę śliny ich wszystkich. Stuprocentowy sukces.

–Daj spokój, Mads – próbował ją uspokoić Charlie. – To już musztarda po obiedzie. Skąd mogłaś wiedzieć?

–Nie o to chodzi – odpowiedziała. Ale kłamała. Jej DNA ma elementy identyczne z kodem genetycznym jej matki, ojca, siostry i brata. Teraz może dopaść każdego z nich. I to przez nią.

–Co za gnida. Mała gnida! – krzyknęła Maja. – Przysięgam, że rozerwę go na strzępy, wrzucę do wiadra ze smołą, zagotuję i pokryję nim pas startowy!

–Pomysłowe – powiedział Charlie. – Daj mi znać, jak wyszło. Jeśli ładnie, to

sprzedaj tę technologię Departamentowi Transportu. Zostaniesz milionerką, zanim się obejrzysz. A w twoim przypadku – Charlie spojrzał na Marka – Roddy posłużył się inną techniką.

–Och, daj spokój – powiedział Mark. – Skąd wzięłoby moje DNA?

–Przyszedłeś tu wczoraj anonimowo?

–Nie. Po co?

–Aha. Więc syn szefa Net Force wchodzi do legowiska Roddy'ego i system Roddy'ego zawiadamia go, że pojawił się ktoś potencjalnie interesujący. Instruuje system, żeby ten zaczął cię odwzorowywać. I system buduje tyle, ile się da. – Charlie rozejrzał się wokół. – Jak długo byliście tu wczoraj?

–Jakieś trzy godziny. Nie, prawie cztery.

–Otóż to. Założę się, że jego system badał twoje wirtualne ciało do momentu, aż zakończył dokładne odwzorowanie. Potem obydwie systemy pracowały jednocześnie, aż Roddy zdobył próbkę twojego DNA z jakiegoś łatwo dostępnego źródła. Z komórek płynu mózgowordzeniowego, według mnie. Tam zawsze można znaleźć fragmenty DNA... a nawet całość. Komputer tak długo sondował twoje „odzwierciedlenie” aż zdobył niezbędne informacje, które następnie zapisał w pamięci.

–Sukin...

–Racja – powiedział Charlie, patrząc z niepokojem na konstrukcję. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda taki haczyk na kogoś z Net Force. Teraz właśnie nadszedł taki moment. I może postąpić z wami jak z Alainem. Nie jest mu nawet potrzebna konkretna próbka waszego niewirtualnego DNA. I bez tego osiągnie pożądane efekty.

Charlie znów rozejrzał się wokół. – Pozostaje jedno pytanie. Czy tutaj ma takie odwzorowujące oprogramowanie? Maja i Mark spojrzeli po sobie.

–Hmm – odezwał się Charlie. – Gdybym miał lekką paranoję, tak bym pewnie zrobił. Ktoś tu był, więc chcę mieć przeciwko niemu broń, kiedy zacznie mi zagrażać. Dlatego powinniśmy sprawdzić najnowsze „nagrania” DNA i innych informacji fizycznych. A potem – dodał Charlie – być może zechcemy dokonać pewnych zmian. Obawiam się, że to, co dopadło Alaina, teraz tyka w waszych organizmach.

Maja głośno przełknęła i utkwiała wzrok w Marku.

Kiwnął jej głową, w sposób, który zdaniem Mai był zbyt opanowany.

–Mnie pewnie odwzorowuje dokładnie w tej chwili – powiedział Charlie. – Gdybyście odnaleźli tę funkcję dla mnie – dla was jest już pewnie za późno – byłoby dobrze gdybyście ją zniszczyli, zanim odwzorowywanie zostanie zakończone. Ktoś z nas musi mieć pewność, że zdoła złożyć raport...

–A co do reszty naszych przyjaciół – powiedział Mark – zakładając, że Roddy pojawi się tu, zanim uda się nam wpaść do niego po raz trzeci, myślę, że lepiej będzie, jeśli nie zauważy, że ktoś tu majstrował.

Spojrzał na Maję.

Znów przełknęła ślinę. – Charlie – powiedziała – a co z ludźmi, którzy mają DNA podobne do mojego? Z moją rodziną?

Charlie myślał przez chwilę. – Toksyczny atak im nie grozi – powiedział. – Pokręcił głową. – Za duże różnice w DNA. Musiałby i ich odwzorować.

–Więc zostaw wszystko, tak jak jest – powiedziała Maja i znów przełknęła. Czuła się niemal tak wyczerpana jako po katastrofie Valkyrie.

–Dobrze. Na razie powinniśmy pójść jeszcze jednym tropem – powiedział Charlie. – Odłóżmy na chwilę na bok DNA innych osób. Gdybyście pracowali z materiałem genetycznym i potrzebowali próbki do eksperymentowania, to gdzie byście najpierw poszukali?

Maja spojrzała na Charliego... i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

–U siebie – powiedziała.

–Bingo. – Charlie pokiwał głową. – Ta informacja też powinna tu być. A skoro Roddy może korzystać ze swojego DNA, to my też. Poszukajmy go. Na pewno jest gdzieś w pobliżu. Ale najpierw... gdybym ci narysował przestrzenny wzór związku chemicznego, potrafiłbyś go tutaj odbudować?

Mark wyciągnął rękę, splótł palce i odwrócił je tak, że aż trzasnęły kostki. – Wypróbuj mnie – powiedział.

Charlie pokiwał głową. – Nie powinieneś tego robić, Mark. To szkodzi na stawy.

–Podobnie jak śmierć – powiedział niewzruszonym tonem Mark.

–Dobra, w takim razie o twoje stawy będziemy się martwić później. Który język modelowania chemicznego lubisz najbardziej?

–Hmm, klasyczny stickball, ten sam, którym i ty się posługujesz.

–W porządku. Będziesz mi musiał zaprogramować dość dużą strukturę. Trzeba ją będzie wpasować w tę. Nie chcę, żeby Roddy od razu ją zauważył.

Mark uśmiechnął się od ucha do ucha. – Z tym nie będzie problemu – powiedział i spojrzał na ogromną konstrukcję. – Wiesz ile milionów linijek tekstu prezentowałby ten program, gdyby go wydrukować? Żaden programista nie zna programu tej wielkości na tyle, żeby od razu rozpoznać wprowadzone różnice. Wbuduję je w sam środek i dopasuję do nich stemple czasowe, odpowiadające datom jego najnowszych zmian. Nawet jeśli poinstruuje program, żeby mu pokazał wszystkie nowości, nie będzie w stanie odróżnić swoich zmian od moich. Zostaw to mnie.

–Skoro masz się zająć tak skomplikowanymi rzeczami – powiedziała Maja – to daj mi tę mapę. Stanę na straży.

Mark oddał jej przedmiot, usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i zaczął majstrować przy strukturze. Charlie zajął się swoją częścią oprogramowania, czyli osobliwie wyglądającym wycinkiem jakiejś substancji chemicznej, od czasu do czasu podchodząc do Marka, żeby omówić z nim jakiś szczegół albo dać mu polecenie, dotyczące tego, co powinien zrobić.

Mai wydawało się, że trwa to całe lata, choć zgodnie z zegarem na mapce minęła zaledwie godzina. Problem polegał na tym, że nie miała nic do zrobienia, poza przyglądaniem się ich pracy i pilnowaniem mapy Roddy'ego, żeby zaalarmować ich, gdyby się pojawił. Maja skupiła się na tym, żeby się nie czuć bezużyteczną i nie wchodzić im w drogę. Chwilami było to bardzo trudne. W pewnym momencie nie mogła się powstrzymać i podeszła do Marka. Spojrzała mu przez ramię na fragment oprogramowania Caldera, w którym wprowadzał zmiany. Miała właśnie powiedzieć: „To wygląda na skomplikowane”, ale się powstrzymała. Byłaby to prawdopodobnie najgłupsza uwaga, jaką mogłaby powiedzieć i miałyby na celu jedynie podtrzymanie rozmowy oraz nieudolną próbę ukrycia zdenerwowania.

Po kilku sekundach Mark przeciągnął się i podniósł na nią wzrok. Maja przyjrzała się wprowadzonej przez niego zmianie i powiedziała: – Dobrze się wpasowuje.

–O to częściowo chodzi – powiedział Mark, trąc oczy, a następnie spoglądając na strukturę. – Ale to nie wszystko. Trzeba też podrobić styl Roddy'ego, sposób w jaki programuje. Każdy doświadczony programista rozpozna ingerencje w swój styl. Wiesz, podobnie jak telegrafisci, nadający morsem, rozpoznawali czyjąś rękę.

–Nie mogę w to uwierzyć – powiedział nagle Charlie ze swojego miejsca. – To na pewno ludzkie DNA.

–Sprawdziłeś?

–Tak, najpierw sprawdziłem coli. To znany szczep... z kilkoma wrednymi różnicami. To nie było trudne. Natomiast ten długi kawałek tutaj – Charlie wskazał na jedną z form w strukturze Roddy'ego – ma identyfikator na końcu, na którym jest napisane M. GREEN. – Uśmiechnął się drapieźnie. – Ty też tu jesteś Mark. I Alain.

–O, Boże – jęknęła Maja.

–Nie, to dobra wiadomość – powiedział Charlie. – Teraz już wiem, co Roddy zrobił Alainowi. Nakłonił go do dotknięcia odwzorowania jego własnego DNA, żeby się upewnić, że jest identyczne. A wtedy zegar Alaina zaczął odmierzać

czas. – Czy to się odnosi do wszystkich kodów genetycznych, które się tu znajdują?

–Nie, jest jeszcze kilka innych, oprócz kodu Roddy'ego – powiedział Charlie.

– Właśnie nad nimi pracuję. Ten tutaj wygląda dość dziwnie. Na pierwszy rzut oka nie wiadomo, co to jest. – Zmrużonymi oczami wpatrywał się w strukturę. – Znacie kogoś, kto nazywa się Fuzzy? – Potem zamrugął.

–Mniejsza z tym – teraz już wiem, od czego zacząć. Jak ci idzie. Mark?

–Kończę.

Charlie wrócił do pracy. Mark odetchnął i zrobił to samo, odwzorowując ułożenie splotów w konstrukcji. – Może ci się wydawać, że to wygląda w porządku – powiedział do Mai. – Ale ja muszę dopasować swój styl do stylu Roddy'ego na tyle dokładnie, żeby nie zauważył różnicy, jeśli przyjrzy się bliżej temu fragmentowi. – Skupił uwagę na kolejnej „bierce” oprogramowania.

–Może tu nie spojrzysz – powiedziała Maja.

–Nie będę ryzykował. Poza tym... i tak bym to zrobił.

–Wydaje mi się, że to strata czasu.

Mark przerwał na chwilę. – Może jednak nie. Kojarzysz melona z katedry świętego Patryka?

–Co takiego? – zdziwiła się Maja.

–Właściwie bardziej przypomina dynię – powiedział Mark, pracując przy kolejnym fragmencie. – W katedralnych płaskorzeźbach pełno jest melonów i winorośli, ponieważ jacyś bankierzy, rodzina o nazwisku Mellon zapłaciła za to mnóstwo pieniędzy. Architektoniczny dowcip. W każdym razie, facet rzeźbi jeden z tych melonów, czy dyń, czy jak tam to zwał, a właściwie jego tylną część. I robi to bardzo długo. – Mark przerwał, włączył kolejną „bierkę” do konstrukcji, przyjrzał jej się, po czym kilkakrotnie nieznacznie zmienił jej ułożenie. – Ktoś z dołu widzi to i wrzeszczy do niego:

„Czemu tracisz czas? I tak nikt tego nie zobaczy”. A rzeźbiarz przerywa pracę i odpowiada mu: „Bóg zobaczy”.

Maja uśmiechnęła się lekko. – A morał z tego taki, że...? – Jezu, Majka, daj żyć. – Zmienił nieco pozycję, w jakiej siedział.

–Po prostu lubię solidną robotę. Robienie jej w jakikolwiek inny sposób, to głupota. Zwłaszcza że – dodał, patrząc przez ramię na strukturę Roddy'ego – to cię może zabić. Albo kogoś innego...

–Właśnie – powiedziała Maja i spojrzała na „mapkę”.

Leżała na jej dłoni i pulsowała na czerwono, jak wystraszone serce. Od jak dawna to robi?

–Chłopaki – powiedziała. – Alarm!

–A więc – odezwał się Michaił na szyfrowanej linii wideofonicznej, która w obecnej chwili działała tylko w audio.

Najwyraźniej zajęty był kimś jeszcze, w przeciwnym razie na pewno skorzystałby z opcji wizualnej o tak później porze. – Jak stoją sprawy?

–Wszystko pod kontrolą – odpowiedziała Rachel, spoglądając na porośniętą trawą plażę przed domem. Kołysała ją morska bryza. – Nasz chłopczyk zaprezentował mi wczoraj testową wersję „infekcji” nieorganicznej. Prawie mi się zrobiło żal tego smarkacza.

–Nie chodzi nam teraz o niego, a o klientów, którzy ustawili się już do nas w ogonku.

–Wiem. Roddy dostarczy mi jutro dwa przypadki chorobowe do sprawdzenia. Musiał poczekać, aż ponownie włamią się do jego miejsca pracy, żeby mógł aktywować proces. To nie potrwa długo. Ten mały potwór już zainfekował ich organizmy.

Kiedy tylko wyjdą z jego VR, poczują pierwsze symptomy. Mam ich domy pod obserwacją. Nie będzie problemu z uzyskaniem nagrań wideo, ani późniejszych nagrań ze szpitala. – Zachichotała. – Wiesz, kto jest jednym z celów?

–A czy to ma znaczenie?

–Syn Gridleya.

–Naprawdę? – Nie zdołał powstrzymać się od złośliwego śmieszku.

–Życie sprawia czasem małe, przyjemne niespodzianki. Szczególnie, gdyby ktoś w szpitalu pomylił się w diagnozie.

–Tak daleko bym się nie posuwała. Na pewno nie potrzeba nam teraz nagłaśniania całej sprawy.

–Pewnie masz rację. Ale to była kusząca perspektywa...

Póki co, pakunek jest gotowy.

Roześmiała się. – Uwielbiam ten agenturalny szyfr. Jakby ktoś mógł nas usłyszeć.

–Trudno się pozbyć starych nawyków.

–To dobrze. Już umówiłam nas na lunch... jutro w południe.

–Świetnie. Odpadnie nam jeden problem. A skoro o tym mowa, szef chce, żebyś zatrzymała się w Rydze, kiedy będziesz stąd wyjeżdżać.

–Och? Jakiś problem?

–Nie, wspominał coś na temat premii za dobre wyniki.

Rachel lekko się uśmiechnęła. – Miło kiedy człowieka doceniają.

Rozłączył się. Rozparła się wygodnie w swoim fotelu w małym domku na plaży, zastanawiając się mimochodem, dlaczego Michaił nie rozmawiał z nią przy użyciu wizji. To, w połączeniu z Rygą... Hmmmm.

Zajmowała się tego typu pracą wystarczająco długo, żeby nauczyć się ostrożności... i doszła do wniosku, że każdy człowiek związany z tym projektem może sam łatwo stać się ofiarą, jeśli nie będzie uważać.

Ciekawe z kim się spotkał, skoro nie chciał, żebym zobaczyła tę osobę, pomyślała Rachel. Bardzo ciekawe... Westchnęła. Nie miała bezpiecznego zajęcia, ale to właśnie jedna z przyczyn, dla których się w nie zaangażowała. Pieniądze warte były zachodu, a na dodatek zawsze działo się coś ekscytującego. Nie da się ukryć, że robi się naprawdę gorąco, kiedy ta technologia ujrzy światło dzienne, pomyślała. Może rzeczywiście powinnam zacząć się pakować. Jutro po lunchu z Roddym nie znajdę na to czasu...

Rachel wstała i poszła w kierunku sypialni po swoje torby podróżne, szykując się do kolejnego, prawdopodobnie ostatniego zamknięcia domku na plaży...

Powietrze w miejscu pracy zaczęło wirować. Nad ich głowami rozległ się grzmot piorunu – i nagle przed nimi stanął Roddy, z twarzą wykrzywioną wściekłością. – Kto was tu wpuścił? – wrzasnął.

Maja podniosła do góry mapkę i usiłowała nie pokazać po sobie zdenerwowania.

–A jak ci się zdaje? – spytał bardzo spokojnie Mark, nawet nie odrywając wzroku od pracy. – Twój dostawca usług zaczął podejrzewać, że dzieje się tu coś nielegalnego.

–To włamanie! Manipulujecie przy mojej strukturze! – Roddy rzucił się na Marka z zaciśniętymi pięściami.

–Zapominacie, kto jest władcą tej symulacji! Mogę z wami zrobić, co zechcę! W ciemnościach za nim przemykały się jakieś postaci. Maja miała okazję przyjrzeć się jednej z nich... i pożałowała.

–Już to zrobiłeś – powiedziała z wściekłością, stając pomiędzy Markiem a Roddym, co ją samą wprowadziło w spore zdumienie. – Kombinujesz coś w moim systemie nerwowym, tak samo jak w przypadku mojej symulacji. – Zaczęła zbliżać się do niego krok po kroku. – Włamałeś się tam, wprowadziłeś kilka zmian, myślałeś, że to śmieszne, co? A czego tym razem miało mnie to nauczyć, co, Roddy? Zrobiłeś to dla mojego dobra, co?

Cofał się przed nią i jednocześnie oddalał od bardzo zdziwionego Marka. To jej sprawiło pewną satysfakcję.

–Cała grupa starała się być dla ciebie miła. Ale posunąłeś się za daleko – mówiła Maja, idąc za nim. Ciemne kształty, „służba” Roddy'ego, najwyraźniej nie miały ochoty podchodzić bliżej. Uciekły w kąt przed swoim panem.

–Teraz załatwimy to na serio, ty i ja. Dam ci osobiście lekcję na temat prawdziwego życia. A nie na temat symulowania. Jeśli przeżyję, będziesz

żałował, że ty i twoja ukochana symulacja...

–Zapomnij o symulacji, jest nieważna – powiedział Charlie.

–Co? – spytali Roddy i Maja w ponurym unisono. Głos Roddy'ego zabrzmiał raczej jak pisk, a Mai jak ryk.

Charlie posłał im obojgu krzywy uśmieszek. – Jesteś nie tylko tępy, ale i głuchy, L'Officier? Powiedziałem: zapomnij o symulacji. Masz tu coś o wiele ważniejszego. Symulacja to nic w porównaniu z odzwierciedlającą technologią, którą w sobie zawiera. To prawie śmieszne, gdyby nie fakt, że Maja i Mark zapadają już na zapalenie opon mózgowych, nawet o tym nie wiedząc.

Roddy przełknął głośno ślinę.

–Tak, wiemy o tym – powiedział Mark. – Wydaje ci się, że tylko ty pracowałeś z programem Caldera? Aha, i jeszcze jedno – dodał. – Nie istnieje nikt taki jak Rachel Halloran. – Co? Zwariowałeś, ona...

–Nie należy do Net Force – dokończył Mark. – Możesz mi wierzyć. Mój ojciec kieruje tą organizacją. Sprawdziłem dane personalne, które jak się domyślasz zawierają nazwiska – prawdziwe i przybrane – wszystkich naszych agentów. Nie ma nikogo, kto odpowiadałby jej opisowi, ani nikogo o takim nazwisku.

Roddy wyglądał na zupełnie przybitego. Taka możliwość najwyraźniej nigdy nie przyszła mu do głowy. – Więc kim ona jest?

–Niektórzy ludzie – powiedział Mark – podszywają się pod agentów Net Force dla własnych celów. Czasem wyłącznie z powodu kompleksów. Czasem jest gorzej. Tak jak w tym przypadku. Ta kobieta posłużyła się tobą i twoją pracą, żeby otrzymać broń biologiczną. Czy mam ci to napisać dużymi literami? Sprzeda twoją technologię temu, kto da najwięcej. A wtedy, żeby upewnić się, że tylko oni są w jej posiadaniu...

Roddy szeroko otworzył oczy.

–Już nie żyję – jęknął. – O, Boże.

–Roddy – odezwał się Charlie, odwracając się od wielkiej struktury odzwierciedlającej – nie tragizuj. Są ważniejsze rzeczy do omówienia. Stworzyłeś tu niewiarygodną rzecz. Przy odrobinie wysiłku, twój wynalazek może okazać się lekarstwem na raka. Ten wynalazek, odpowiednio ulepszony, mógłby zwalczać połowę znanych nam obecnie odmian raka... co prędzej, czy później umożliwiłoby wynalezienie podobnego lekarstwa na wszystkie jego odmiany. – Charlie pokręcił głową. – Przy użyciu twojej „odzwierciedlającej techniki” można wprowadzić w życie wszelkiego rodzaju terapie systemu immunologicznego i hormonalnego, i wiele innych. Stworzyłeś tu coś naprawdę wyjątkowego.

–Taaa – powiedział kwaśno Mark. – A teraz musimy się tylko postarać,

żebyś się nie stał wyjątkowo martwy. Cały czas zadając sobie pytanie, dlaczego właściwie nie powinniśmy cię stłuc na wirtualne kwaśne jabłko.

Wstał i Maja, która nagle przestała zwracać uwagę na to, jaki jest mały, zauważyła jednocześnie, że choć nie urósł ani o centymetr, nagle zaczął wydawać się dużo większy. Przyszło jej niespodziewanie do głowy, że syn szefa Net Force przeszedł bardziej niż podstawowe szkolenie, które umożliwiłoby mu skuteczne wprowadzenie w życie części transakcji polegającej na „stłuczeniu na kwaśne jabłko”, wirtualne czy nie.

Roddy znów zaczął się cofać, zbliżając się do Mai.

–Zaczynamy chorować, tak czy nie? – spytał Mark.

–A w każdym razie nasze ciała w domach. Gdy tylko wyjdziemy z VR, poczujemy pierwsze symptomy. Trafimy do szpitala, bez względu na to, co się stanie – nawet jeśli wyłączymy twój mały programik z zarazą. Co zresztą możemy zrobić, skoro już rozmawiamy i wiesz, że weszliśmy do twojego miejsca pracy.

–Jeśli go wyłączycie... – zaczął Roddy.

–Byłoby miło, gdybyś ty to zrobił – zauważyła Maja.

–Jeśli ja go wyłączę – powiedział Roddy, rzucając Mai tak samo wystraszone spojrzenie jak Markowi, i cofając się o kolejny krok – nie rozchorujecie się... To znaczy jeszcze bardziej. Nie będziecie musieli iść do szpitala...

–Ja na pewno zrobię sobie po tym wszystkim badania – powiedziała Maja, przyglądając mu się ze skrzyżowanymi na piersi rękami i ponurą satysfakcją na twarzy.

–Poza tym – odezwał się niespodziewanie Charlie, pod nosząc wzrok znad swojej pracy. – Powiedziałbym, że ta dwójka – kiwnął głową w stronę Mai i Marka – to świnki morskie poddane testowi. A test, którego nikt nie obserwuje nie miałby za wiele sensu... prawda? – Rzucił Roddy'emu przyjacielskie z pozoru spojrzenie. – Założę się, że twoja droga przyjaciółka Rachel zorganizowała obserwację Marka i Madeline. Jeśli się nie rozchorują, źli faceci połapią się, że coś jest nie w porządku i wszyscy rozejdą się do domów, no, może z wyjątkiem Rachel. A jeśli Maja i Mark się nie rozchorują na tyle, żeby potwierdzić, że wykonałeś swoją część umowy, to nie chciałbym być w twojej skórze. – Skupił się z powrotem na swojej pracy. – Co nie znaczy, że kiedykolwiek bym chciał, ale nie czas teraz na takie rozważania.

A więc?

–Wyłączę go, wyłączę go – powiedział pośpiesznie Roddy, wciąż cofając się przed Markiem.

–Będę obserwował każdy twój ruch – powiedział Mark.

–Jedno podejrzane posunięcie i... – Uśmiechnął się szeroko. – Tylko że nie rozumiem po co miałbyś robić coś głupiego, skoro masz szansę uratować własny tyłek.

–Kiedy się rozchorujemy – powiedziała Maja, pocąc się lekko na samą myśl – z całego serca nie znosiła chorować – pomyślała, że wszystko idzie zgodnie z planem... i postąpią tak jak zamierzali.

–Rachel pojawi się tu niedługo potem – powiedział Mark. – Jeśli udało im się zmodyfikować odpowiednią bakterię, będzie musiała tu przyjść, żeby poinformować o tym program i przedstawić jej „zwierciadlaną” wersję. A kiedy to zrobi... Uśmiechnął się porozumiewawczo do Roddy'ego. Roddy zatrzymał się w miejscu.

–Zrobiłeś jej zwierciadlane odbicie, kiedy tu była, co? – zapytał Mark.

Roddy otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem.

–Nie wierzę, że tego nie zrobiłeś – nie ustępował Mark.

–Każdy, kto wchodzi do tego VR, zostaje automatycznie odzwierciedlony. Na przykład ja i Maja.

–No więc...

–Przyznaj się wreszcie!

Roddy zamilkł na chwilę, po czym powiedział rozzłoszczony: – Nie chcę się do niczego przyznawać. Raz się przyznałem i zobaczcie, w co się wpakowałem!

Maja pomyślała w duchu, że przydałoby mu się parę lekcji na temat przyczyny i skutku, ale nic nie powiedziała.

–Roddy – zwrócił się do niego Mark – wpakowało cię w to zbudowanie struktur rujnujących ludziom zdrowie. Nie odwracaj kota ogonem. A teraz zamknij się i słuchaj! To było mądre posunięcie. Zabezpieczałeś swoje tyły... w nieco wredny sposób. Kazałeś systemowi odwzorować jej organizm. Musisz więc gdzieś tu mieć model jej systemu nerwowego.

Roddy nie odzywał się przez chwilę... aż wreszcie pokiwał głową.

–No dobrze – powiedział Charlie. – Mark ma rację. Przyszła tu, zaglądała ci przez ramię i zabrała ci twoją pracę, a ty ją odwzorowałeś. Dobrze zrobiłeś, bo to ci uratuje życie. – Nie uratuje – powiedział Roddy. – Dla mnie już za późno, nie rozumiecie? Ona już ma bakterie! Całą kolonię, odporną na soki trawienne. To najszybszy sposób na zainfekowanie.

–Dzięki Bogu – powiedział Charlie. – To oznacza, że wciąż mamy szansę. Czy zamierza się jeszcze z tobą spotkać?

–Jutro. Na lunchu w „Obelisco”. Na lunchu! – Roddy prawie płakał, choć za wszelką cenę starał się do tego nie dopuścić. – Zabije mnie bakteriami, które jej dostarczyłem! Ale muszę tam pójść! Jeśli się nie pojawię, odszuka mnie i wtrąci

do więzienia!

– Nikt cię nie wtrąci do więzienia. Ona nie należy do Net Force, kimkolwiek jest.

– Więc ci, dla których pracuje złapią mnie i zabiją!

– To wydaje się bardziej prawdopodobne – zgodził się Mark. – Gdybym ja im dał to co ty, też by mnie zabili. Im mniej ludzi wie, skąd się to wzięło, tym lepiej.

Roddy wyglądał na bliskiego załamania. Maja poczuła dla niego współczucie. A jednocześnie przyszła jej do głowy okropna myśl, cudownie okropna myśl... i odwróciła się do Charliego z otwartymi ustami, gotowa podzielić się z nim swoim pomysłem, gdy zobaczyła, że nie musi. On miał już wypisane na twarzy, że wpadł na to samo.

– Masz rację – powiedział Charlie. – Aha, przypomnij mi, żebyś nigdy cię nie wkurzył.

– I wzajemnie – powiedziała Maja, myśląc o Pączku i o tym, co się jej samej mogło przytrafić. – Roddy, musisz spotkać się z nią na lunchu.

– Zabije mnie!

– Spróbuje to zrobić... i sam wiesz w jaki sposób. Ale my przygotowujemy dla niej małą niespodziankę.

Wyjaśnienie zabrało zaskakująco mało czasu. Maja była raczej zszokowana widząc na twarzy Roddy'ego wyraz z gatunku „mam cię”.

Tym razem jednak miał ku temu powody.

– Dasz radę? – spytał Mark. – Jesteś pewien? Bo jeśli nie, to wszystko diabli wezmą.

Roddy utkwiał w nim spojrzenie. – Dam radę – powiedział chrypiącym z przejęcia głosem.

– Dobrze. W takim razie, zbieraj się. Baw się dobrze na lunchu. Słyszałem, że to pierwszorzędny lokal. Potem od razu zadzwoń pod numer, który ci dałem.

Roddy pokiwał głową, wyglądając jak człowiek, któremu zbyt wiele rzeczy przytrafiło się w zbyt krótkim czasie. Zaczął znikać w ciemnościach... ale zatrzymał się.

– Dlaczego to dla mnie robicie, po tym jak was potraktowałem? – spytał prawie niesłyszalnym szeptem.

To pytanie bez przerwy się powtarza, pomyślała Maja. Czy tradycja odpłacania dobrem za zło zupełnie znikła? Możliwe. Tym bardziej trzeba ją wprowadzić na nowo.

Mark i Charlie stali przez chwilę w zupełnym milczeniu. – No, idź już – powiedziała wreszcie Maja. – Roddy... jak będziemy mieli to wszystko za sobą, chcę z tobą poważnie porozmawiać o symulowaniu. Ale teraz naprawdę nie mam

na to ochoty, więc bądź tak uprzejmy i zmiataj stąd. Zobaczymy się jutro.

Roddy posłał jej spojrzenie, którego w żaden sposób nie potrafiła rozszyfrować. I znikł.

Sylwetki w ciemnościach również rozplynęły się jak kamfora. Mark patrzył chwilę za Roddym. – Porządnie pokręcony gość – powiedział. – Ale może da się go uratować.

–Zobaczymy – powiedziała Maja. – A co z nami? Winters wkurzy się, że nie wyjawiliśmy mu szczegółów sprawy, kiedy zaczęło się robić gorąco – chociaż szansę na to, że by nam uwierzył, były takie jak śnieg na Saharze. Szkoda, że go tu nie przyprowadziliśmy, przydałaby się nam pomoc.

–Daj spokój, nie mieliśmy kiedy – powiedział Mark.

–Jeśli garnek ci kipi, to co robisz? Biegiesz o tym komuś powiedzieć? Czy zdejmujesz go z kuchenki? – Wzruszył ramionami, spojrzał na skomplikowaną strukturę, którą prawie skończył budować i westchnął. – A tego już nie potrzebujemy – w każdym razie nie do pierwotnego celu. Jednak biorąc pod uwagę tę Rachel...

–Właśnie – wtrącił Charlie. – I te genetycznie zmutowane bakterie coli. Wciąż gdzieś tam są... a jeśli dostaną się tutaj, mogą narobić kłopotów, jeśli od razu się nimi nie zajmiemy.

–W takim razie – powiedział Mark, idąc powoli wzdłuż zbudowanej przez Charliego struktury – zajmiemy się nimi? – Raz na zawsze – powiedział Charlie z dość krzywym uśmiechem. – Osobiście tego dopilnuję. – Spojrzał na nich. – Niedługo poważnie się rozchorujecie. Zanim stąd wyjdziecie, poczekajcie aż zadzwonię na pogotowie, żeby lekarze wiedzieli, czego mają się spodziewać.

–A czego mają się spodziewać? – spytał dość niepewnie Mark.

–Wielu rzeczy – zaczął Charlie. – Mam nadzieję, że smakowało ci śniadanie, ponieważ niedługo znów je ujrzysz.

Kilka razy. Podobnie jak inne rzeczy, które jadłeś od dzieciństwa do teraz. Na szczęście nie wystąpi zbyt wiele innych symptomów... na szczęście, ponieważ te, których doświadczyście, wystarczająco wypełnią wam czas.

Maja jęknęła. – Jak długo będziemy chorować?

–Do jutra – odpowiedział Charlie. – Leczenie jest proste i przynajmniej będziecie mogli wejść do VR, chociaż z łóżek was nie wypuszczą. A na waszym miejscu, wyglądałbym na bardzo chorego, kiedy przyjedzie po was karetka. Musicie wykrzywiać się z bólu – do kamery. Klienci Rachel na pewno będą was obserwować z ukrycia.

Wyglądało na to, że Charlie nigdy się nie myli. Maja wyszła z VR i regularnie przez następne dwanaście godzin miała okazję przeklinać ten fakt, ponieważ

wszystko sprawdziło się co do joty.

Prawie przez cały czas wymiotowała. Nawet nie musiała pozować do kamery. Wyszło jej naturalnie. Kiedy sanitariusze nieśli ją do karetki, postanowiła zakwalifikować się do Okręgowych Finałów w Rzucaniu Pawia. Miała nadzieję, że w szpitalu okażą jej nieco współczucia, ale pielęgniarki nie rozczuły się nad nią zbyt, pozwalając się domyślić, że widziały w swojej karierze lepsze okazy wymiotujących pacjentów i że im szybciej Maja wyniesie się ze szpitala i udostępni łóżko komuś, kto naprawdę go potrzebuje, tym lepiej. Jedynym pocieszeniem była myśl, iż syn szefa Net Force przeżywa takie same, jeśli nie gorsze katusze.

Tak czy inaczej, czuła się fatalnie. Kiedy tylko udało się jej obejść bez wiadra przez pięć minut, jej matka usiadła przy łóżku i powiedziała: – Dziś rano rozmawiałam z Jamesem Wintersem, kochanie. Nie mogę uwierzyć, że wdałaś się w coś takiego, nic mi nie mówiąc!

Maja zdobyła się jedynie na jęk. – Mamo – powiedziała. – To wszystko stało się tak szybko. Jak wtedy, kiedy kipi ci garnek. Biegniesz, żeby komuś o tym powiedzieć, czy zdejmujesz go z kuchenki?

Jej matka westchnęła i zaskakująco łatwo się poddała, czego Maja nie potrafiła zrozumieć. – Nieważne, kochanie – oznajmiła. – Twój ojciec powiedział mniej więcej to samo. Bóg jeden wie, czemu. Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że brałaś udział w eksperymencie męskiej partenogenezy.

–Zaczęła przekopywać zawartość dużej płóciennej torby, którą nosiła na zakupy w „normalne” dni, jeśli takie w ogóle istniały w jej domu. – Ricky kazał cię pozdrowić i spytać, dlaczego spotyka ludzi, którzy mówią mu, że nie wiedzieli o jego zainteresowaniu symulacjami.

–O rany – powiedziała Maja, całkowicie zapominając o swoim przebraniu za brata w symulacji Roddy'ego.

–Wyjaśnię mu to później.

–Bardzo cię proszę. Pączek przesyła ci to. – Matka wyciągnęła z torby pognieciony rysunek jakiegoś skrzydlatego stwora, w którym po chwili intensywnej obserwacji Maja rozpoznała Archaeopteryxa. Na górze widniał nieco koślawy napis: KOCHAM CIĘ, MAJU, a pod spodem MÓWIŁAM CI, ŻE GO WIDZIAŁAM.

–Jak się miewa?

–Jest zazdrosna. Też chce się przelecieć śmigłowcem pogotowia ratunkowego.

Ktoś zapukał w futrynę otwartych drzwi i do środka wetknął głowę James Winters. – Nie przeszkadzam w czymś?

–Akurat nie wymiotuję – powiedziała Maja. – Więc proszę śmiało.

–Niech pan jej dotrzyma towarzystwa, panie Winters – powiedziała matka Mai. – Mam spotkanie komitetu rodzicielskiego i wszyscy myślą, że stoję gdzieś w korku. – Pochyliła się i cmoknęła Maję w czoło. – Zobaczymy się później, kochanie.

Wyszła, a Winters zajął jej miejsce na krześle i rozejrzał się po pokoju. – Widzę, że masz tu luksusy.

–Wiadro – odpowiedziała Maja – oraz inspirujący widok na parking, podłączenie do VR, które z jakiegoś powodu nie działa. Tak, wszystko na miejscu.

–Chciałem najpierw z tobą porozmawiać – powiedział Winters. – Poza tym, potrzebujesz co najmniej kilku godzin, żeby dość do siebie, zanim zanurkujesz ponownie w VR.

–Oparł się na krześle i z założonymi rękami rozglądał się po pokoju.

–Jak czuje się Mark? – spytała Maja.

–Mniej więcej tak jak ty.

–Auu – powiedziała ze współczuciem.

–Niedługo mu to minie – powiedział Winters. – Mark to odporny osobnik.

Poza tym jest z siebie zadowolony. Jak zwykle zresztą.

Maja uśmiechnęła się lekko.

–A ty? – spytał Winters. – Też jesteś z siebie zadowolona?

–A powinnam? – spytała Maja.

–Podchwytliwe – powiedział Winters. – Jeśli próbujesz wyciągnąć ze mnie pochwałę, być może będę ci mógł odpowiedzieć pozytywnie, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące.

Maja trzymała buzię na kłódkę, próbując odgadnąć, czy to był komplement.

Winters posłał jej ironiczne spojrzenie. – Znalazłaś się w paskudnej sytuacji i starałaś się przeprowadzić możliwie utajnione śledztwo – powiedział. – Kiedy zaczęło się robić gorąco, przemyślałaś sytuację i podjęłaś stanowcze kroki. Kiedy pojawiło się niebezpieczeństwo, postąpiłaś tak, jak robi to osoba głęboko zaangażowana, przyjęłaś je na siebie, a właściwie do swojego organizmu. Tego rodzaju poświęcenie należy pochwalić, bez względu na to, co może przynieść przyszłość.

–Och – powiedziała Maja, niepewna, co oznacza ostatnia część wypowiedzi. – Ale jak pan, to znaczy...

–Mark Gridley – powiedział Winters – nieodrodny syn swojego ojca, czyli maniak na punkcie dokumentacji wszystkiego co robi – całego doświadczenia wirtualnego, przekopiował je do swojego VR. Bóg jeden wie, ile kosztuje

miesięcznie jego pamięć przechowująca dane. Więc widzieliśmy wszystko, co zrobiłaś i powiedziałaś w VR Roddy'ego i w większości przypadków uważam, że zachowywałaś się odpowiedzialnie... wyjąwszy kilka sytuacji, które omówię z tobą, Markiem i Charliem, kiedy was dwoje będzie się mogło odpowiednio skupić na czymś oprócz wiadra.

Rzucił jej surowe spojrzenie. Maja przełknęła, starając się ze wszystkich sił nie myśleć o wiadrze i próbowała sobie przypomnieć, które sytuacje mogły wzbudzić zastrzeżenia Wintersa. – Na razie – powiedział Winters, patrząc przez okno na lądujący ambulans – analizujemy waszą ocenę struktury „odzwierciedlającej”, żeby sprawdzić, jak bardzo się od siebie różnią. A poza wszystkim, sprawa przyniosła bardzo pozytywne rezultaty. L'Officier stworzył coś naprawdę wyjątkowego.

–Chyba go pan nie zamknie w więzieniu, prawda? – spytała Maja.

Winters przyjrzał się jej uważnie. – Twój ojciec ostrzegł mnie, że powiesz coś w tym stylu – powiedział. – Określił tę cechę twojego charakteru jako „niezdolność do wściekania się na kogoś zbyt długo”. Szkoda, że nie można takiego nastawienia rozsiać po Sieci.

–Skąd pan zna mojego tatę? – spytała.

Winters przybrał rozbawiony wyraz twarzy. – Powinnaś jego o to spytać. Może ci powie. A jeśli nie, przyjmij za wyjaśnienie, że niektórych starych kontaktów nie należy nagłaśniać.

Maja zamrugnęła oczami na te słowa. Jej ojciec... i coś dziwnego oraz tajemniczego? Ten niereformowalny, solidny nauczyciel akademicki? – Zaraz, co pan...?

–Co się tyczy Roddy'ego – powiedział Winters, ignorując jej próbę pytania – to jak go potraktujemy, będzie w dużej mierze zależało od jego gotowości do współpracy. Ale nie spodziewam się tu problemów. Przede wszystkim, już z nami współpracuje z całych sił. Najwyraźniej wy troje odpowiednio naświetliliście mu sytuację.

Maja zastanawiała się, co odegrało większą rolę: zdolność Roddy'ego do oceny sytuacji, czy umiejętności „bicia na kwaśne jabłko” Marka Gridleya.

–A po drugie – powiedział Winters – szaleństwem byłoby zostawić go samemu sobie albo wydać na pastwę kolejnej szajki, która zmusiłaby go do wyprodukowania podobnego programu. Rozeszły się już plotki, że istnieje wirtualna technika zarażania. Dołożymy wszelkich starań, żeby tę plotkę potraktowano jedynie jako plotkę, ale to nie wiele pomoże. Wypuściliśmy już dzina z butelki, a plotki zawsze dają ludziom do myślenia. – Winters westchnął.

–Lepiej mieć Roddy'ego na oku i równocześnie chronić jego i jego matkę. No

i pomóc mu w odkrywaniu innych cudownych rzeczy, które jest w stanie wymyślić, gdy da mu się wolną rękę i jakąś sugestią od czasu do czasu. Nie ulega wątpliwości, że już przysłużył się nauce, chociaż w wielce podejrzanych okolicznościach.

–Co zrobicie z Rachel? – spytała Maja.

Winters uśmiechnął się i był to uśmiech naprawdę lodowaty. – Raczej, co wy już z nią zrobiliście, prawda?

–Cóż...

–Wydaje mi się, że odkręcanie tak zaawansowanej infekcji byłoby stratą energii. Do tego tak pięknie paskudnej. Jezu, ciebie i Charliego trzeba trzymać od siebie z daleka. Jak sól i wodę. Myślę, że stanie się z nią to, co i tak zaplanowaliście.

Maja uśmiechnęła się od ucha do ucha.

–O tym właśnie mówię – powiedział zrezygnowany Winters, kręcąc głową. – Za nic bym tego nie przepuścił... i ciebie bym też o to nie prosił. Nie fair byłoby cię trzymać z dala od polowania. Kiedy będziemy zamierzali zwinąć Rachel... damy ci znać. W końcu nie ma powodu, żebyś nie mogła się tam zjawić w wirtualnej formie.

Mai serce skoczyło w piersi.

–Pójdzie siedzieć, co do tego nie ma wątpliwości – powiedział Winters. – Ludzie, którzy obserwowali z ukrycia dom twój i Gridleya zdobyli wszelkie niezbędne dowody... a pracownicy szpitala opowiadali nieprawdopodobne historie. Szalone gorączki, konwulsje, wiadra pełne...

Maja nagle wytrzeszczyła oczy i natychmiast przechyliła się na drugą stronę łóżka.

–Przykro mi – powiedział Winters. – Zadzwoń później, kiedy nie będziesz tak zajęta i pomówimy o twojej przyszłej karierze w Net Force...

Chociaż Maja wisiała głową do dołu, serce waliło jej jak szalone, z oczu leciały łzy, a w ustach miała paskudny smak, to i tak udało się jej uśmiechnąć, chociaż gardło bolało ją jak diabli.

Rachel pojawiła się na lunchu w „Obelisco” trochę przed czasem. Przywitała kierownika sali dwudziestodolarówką i poprosiła o zaciszny stolik. Usiadła i pozwoliła, żeby kelner przyniósł jej kieliszek pierwszorzędnego burgunda, podczas gdy sama podziwiała słoneczny wystrój wnętrza, ściany zdobione złotymi motywami oraz girlandami winorośli. W pomieszczeniu znajdował się też grill opalany węglem drzewnym. Podobno podawano tu wyśmienite steki, o czym zamierzała się przekonać osobiście, zwłaszcza, że rachunek zapłacą jej zleceniodawcy.

Roddy zjawił się punktualnie i, choć był zdenerwowany, rozchmurzył się czując smakowite zapachy, które uderzyły go w nozdrza przy wejściu. Tego akurat Rachel się spodziewała. Podczas kilku ich wspólnych posiłków miała okazję się przekonać, że Roddy to głodomór, któremu wbito do głowy, że z talerza należy zmiatać jedzenie do czysta. To idealnie odpowiadało jej zamiarom. Roddy usiadł i przez chwilę gawędzili na temat menu, złożyli zamówienie i dalej wymieniali nic nie znaczące uwagi, czekając na przekąski. Roddy aż się palił, żeby wyciągnąć z niej informacje na temat aktualnego stanu rzeczy, ale Rachel nie miała najmniejszego zamiaru psuć mu apetytu, aż wykorzysta go do swoich celów, więc zmieniła temat, rozkoszując się jedzeniem.

Zanim podano główne danie, Roddy wypił cztery szklanki wody mineralnej, w związku z czym musiał się udać do toalety. Rachel знаła ten jego zwyczaj. I wtedy, zgodnie z instrukcjami, które dała kelnerowi, podano: jej pieczeń wołową z grilla z bakłażanami oraz cielęcinę z morelami i smażoną cebulką dla Roddy'ego.

Idealnie, pomyślała Rachel, po czym, upewniwszy się, że chłopak nie wraca jeszcze z toalety, wyjęła z torebki pojemnik wielkości naparstka.

Była to kolejna z ironii losu. Jedną z firm farmaceutycznych, ta sama, która w poprzednim stuleciu wstawiała się opracowaniem lekarstwa na wzdęcia i nietolerancję laktozy, opracowała również płyn, który w zetknięciu z jedzeniem natychmiast zaczynał świecić na pomarańczowo, jeśli na powierzchni jedzenia znajdowały się jakiegokolwiek ze szkodliwych szczepów coli. Wszyscy używali tego płynu, tak naturalnie jak ktoś kto korzysta z osobistej buteleczki sosu chili. Rachel delikatnie pokropiła jedzenie Roddy'ego i wlała trochę płynu do jego szklanki z wodą. Przez chwilę wpatrywała się w talerz, a nie widząc żadnych zmian, spokojnie oparła się z powrotem na krzesło. Nikt wokół niej nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że pojemnik zawiera bardzo specyficzny szczep coli.

Roddy wrócił z łazienki i usiadł przy stole. Natychmiast zaczął pałaszować lunch, jakby nigdy nie widział jedzenia i nigdy więcej miał go nie zobaczyć. Cóż, nie było to dalekie od prawdy, pomyślała Rachel. Przez chwilę rozmowa nieco kulała, ponieważ obydwójce zajęli się swoim jedzeniem. Potem, kiedy Roddy prawie skończył, wypił duży łyk wody mineralnej i z determinacją osoby, która nie zamierza niczego odkładać na później, powiedział: – Więc, skoro już załatwiliśmy interes... co dalej?

–Cóż... – Grała na zwłokę, przyglądając się, jak Roddy je, żeby mieć pewność, że przyjął niezbędną dawkę.

–Zaprosiłam cię na ten lunch między innymi dlatego, że chcę sfinalizować nasz biznes.

–Sfinalizować?

–Tak, to rzeczywiście brzmi dość obcesowo. Wybacz, czasem przemawia przeze mnie biurokrata. Obawiam się, że nie będziemy już potrzebować twoich usług.

Roddy zatrzymał widelec w połowie drogi do ust, wbijając w nią wzrok. – Ale ja myślałem, że...

–Przykro mi. Próbowałam się za tobą wstawić u Gridleya – mówiłam ci, że to zrobię. Niestety, nie udało mi się zbyt wiele uzyskać. Jest przekonany, że masz za dużo minusów. Ta cała sprawa z twoimi przyjaciółmi wygląda bardzo źle... a kiedy się dowiedział, że szykowałeś ataki na jeszcze parę osób... nie mogłam zrobić nic, żeby nakłonić go do zmiany zdania. W Net Force bardzo się ceni lojalność, a ponieważ ty notorycznie robiłeś takie numery... cóż... wzbudziłeś zdecydowane obiekcje kierownictwa. Przykro mi, że rozbudziłam twoją nadzieję.

–I tak po prostu zabierzecie mi moją technologię symulacji, moje odzwierciedlanie? To kradzież!

–Nie można ukraść czegoś, co dostaje się w prezencie – powiedziała chłodno Rachel. – Zresztą możesz być pewien, że użyjemy tej technologii dla dobra narodu.

–Jakiegoś na pewno, pomyślała rozbawiona, nie bez trudu zachowując poważny wyraz twarzy.

–Nie możesz, ja...

–Co? Podasz mnie do sądu? – Pozwoliła sobie na oszczędny uśmiezek. – Kto by ci uwierzył? Nie zapominaj też o kwestiach bezpieczeństwa. Jeśli podasz to do wiadomości publicznej, Net Force zaprzeczy wszystkiemu. Będę z tobą szczerą, Roddy. W chwili obecnej, sprawy przybrały na tyle pomyślny obrót, że Gridley jest skłonny wycofać oskarżenie w stosunku do ciebie i puścić cię wolno. Nazwijmy to drobnym nieporozumieniem pomiędzy tobą i twoimi przyjaciółmi. Wyniknęło z tego coś dobrego, więc Net Force nie pociągnie cię do odpowiedzialności. Ale jeśli zaczniesz robić hałas wokół całej sprawy... wtedy obawiam się, że będziemy zmuszeni wyjawić naszą wersję wydarzeń, a to zaprowadzi cię prosto do więzienia federalnego. Nieciekawy scenariusz, prawda?

Roddy siedział jak sparaliżowany. Po chwili wstał i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku toalety.

Rachel nie uśmiechnęła się, chociaż miała na to ochotę.

Wrócił po upływie kilku minut. Usiadł i jednym haustem wypił zawartość swojej szklanki, po czym dokończył jeść lunch. Wyglądało na to, że nie ma jej nic więcej do powiedzenia.

Próbowała rozwiązać mu język, ale domyślała się, jak musi być wściekły... mały mądrała został znieczulony wystrychnięty na dudka.

Rachel westchnęła, wstała i poszła do toalety, po czym wróciła, żeby wypić kawę i zapłacić rachunek. Kiedy kelner go przyniósł, dopiła kawę, wytknęła błąd w rachunku, uśmiechnęła się widząc jego irytację, po czym wstała. – Mam dziś jeszcze inne spotkania – powiedziała pojednawczym tonem. – Przykro mi, że tak to się kończy. Żegnaj, Roddy. Trzymaj się z dala od kłopotów. Będziemy cię mieli na oku...

Wstała i ruszyła do wyjścia. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, kiedy obejrzała się przez ramię, był Roddy, z twarzą ukrytą w dłoniach, i trzęsącymi się od płaczu ramionami.

Biedny dzieciak, pomyślała Rachel bez specjalnego żalu i poszła zająć się swoimi sprawami.

Cicho wślizgnęła się do laboratorium Roddy'ego i przeszła wzdłuż jednej ze ścian olbrzymiego sześcianu – energicznie, ale bez pośpiechu, jak ktoś kto ma prawo tu przebywać i nie musi panikować. W ręku niosła coś w rodzaju klatki dla kota.

–Wizualizacja, scenariusz dwa.

Znalazła się w labiryncie podobnym do francuskiego ogrodu: wysokie, idealnie przycięte, geometryczne w kształcie krzewy, tworzące ogromny kwadrat. Bezbłędnie odnalazła drogę w gmatwaninie, jak ktoś doskonale obeznany ze strukturą oprogramowania.

Dotarła do samego jej centrum i postawiła klatkę na ziemi. Środek struktury też miał kształt kwadratu, w którym znajdowała się stalowa bramka. Otworzyła ją i wstawiła klatkę, po czym zamknęła bramkę i, przełożywszy ponad nią rękę, otworzyła drzwiczki, uwalniając to, co się wewnątrz znajdowało.

Wytoczyły się na wolność powoli, wydając przy tym syczący dźwięk. Połyskiwały w słońcu wiszącym nad labiryntem, a ich grube skóry nabrały w jego świetle tęczowego blasku. Poruszały się, odpychając się od podłoża cienkimi, podobnymi do korkociągu ogonami. Uderzyły w ścianę labiryntu i odskoczyły od niej, po czym ruszyły znów i odbiły się od bramy.

Rachel obserwowała je przez dłuższą chwilę, upewniając się, że nie uda się im wydostać, dopóki ona sobie tego nie zażyczy. Czyli niebawem. Sama ucieknie, wydając jednocześnie polecenie, które dostała od swoich programistów, uwalniające infekcję i uruchamiające bombę zegarową w organizmie Roddy'ego. Kiedy tylko chłopak wróci do VR, infekcja się uaktywni. Niedługo potem zacznie źle się czuć. Technicy powiedzieli jej, że pierwsze symptomy neurologiczne pojawią się w ciągu kilku godzin, natomiast dolegliwości

natury cielesnej niewiele później. Za jakąś godzinę Roddy zacznie wariować, kilka godzin potem straci przytomność, a za trzydzieści sześć godzin umrze... no, maksymalnie za czterdzieści osiem godzin. Szkoda tracić taki potencjał, ale gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Kiedy sprawa dobiegnie końca, Rachel będzie bardzo zajęta sprzedażą nowej technologii. A wtedy nadejdzie czas najlepszego kawioru podawanego bogatej emerytce na tle tropikalnego krajobrazu...

–Paskudne bestyjki, co? – odezwał się jakiś młody, obcy głos.

Podniosła wzrok.

Po drugiej stronie labiryntu stała nie jedna, ale trzy osoby. Mały, szczupły, ciemnowłosy chłopak, z domieszką orientalnej urody; dziewczyna o brązowych włosach i oczach, starsza, o jasnej cerze, nieco lepiej zbudowana; czarny chłopak, może w wieku dziewczyny, dość szczupły. Patrzyli na nią z mieszaniną rozbawienia i niesmaku.

Rachel odetchnęła głęboko. Nie miała pojęcia, kim są: może przyjaciółmi Roddy'ego? Wszystko jedno. Miała broń i wątpiła, żeby potrafili ją powstrzymać przed jej użyciem.

–Zakończ wizualizację – powiedziała.

–Kontrpolecenie – powiedział Mark.

Labirynt nie zniknął. Rachel poczuła, że się poci i zrobiła krok w ich stronę.

–Nie – powiedział Mark. – Ani kroku dalej.

Roześmiała się na głos. – Dlaczego nie miałabym zrobić tego, na co mam ochotę? Przecież one nie...i jedna z coli rzuciła się na jej nogę. Rachel pośpiesznie się cofnęła.

–Między innymi dlatego – powiedział Charlie. – Widzisz, kiedy byłaś tu ostatnio, zostawiłaś swój kompletny wzorzec immunologiczny, no i pomyśleliśmy sobie, że skoro tak się interesujesz bakteriami...

–Nie wygłupiaj się, mały – warknęła Rachel. – One nic mi nie mogą zrobić...

–Im to powiedz – odezwała się Maja. Coli nie przestawały zbliżać się do Rachel.

–Wydaje ci się, że nie zostałeś zainfekowany – powiedział Charlie. – Niestety, jest wręcz przeciwnie. Kiedy wyszłaś do toalety i zostawiłaś Roddy'ego samego przy stole, dopilnował, żeby i twoje jedzenie zostało zarażone. Rachel odwróciła swoją piękną twarz w stronę Marka i zmrużyła oczy.

–Mały sukinsyn – zasyczała. – Wrobił mnie!

Próbowała sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Jedna z coli skoczyła jej na nogę i owinęła się wokół kostki.

Rachel wrzasnęła, stanęła na jednej nodze i próbowała pozbyć się bakterii obcasem.

–Wątpię, żeby to teraz wiele pomogło – zauważył Mark.

–Widzisz, to całkowicie rozwinięta infekcja, jeśli się nie mylę. Ile zostało jej czasu, Charlie?

–Godzina do pierwszych symptomów – powiedział Charlie. – Ostry ból głowy, łamanie w stawach, wzrost ciśnienia śródczaszkowego i zapalenie opon mózgowych. Symptomy endokrynologiczne jakąś godzinę później: delirium, ataki szaleństwa, uszkodzenie kory mózgowej, może nawet tarczycy, jeśli sprawy przyjmą bardzo zły obrót. Rozległy zawał serca i... śmierć.

Mark popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Naprawdę jej to zaaplikowałeś?

–Gdyby miała sztuczne zastawki serca, a ja wystarczająco dużo czasu, na pewno bym to zrobił – powiedział i posłał Rachel spojrzenie godne lekarza sądowego, aż Maja poczuła ciarki na plecach.

–Ale śmierć – powiedział Mark – to nie blef. Masz trzydzieści sześć godzin, Rachel.

Stała jak sparaliżowana z pobielającą twarzą. Coli zsunął się z jej nogi i umknął w poszukiwaniu ciekawszego obiektu. Ale Rachel nie miała już takiej możliwości. Teraz była uwięziona w VR. Gdy tylko z niego wyjdzie, choroba stanie się aż nazbyt rzeczywista.

Z cienia wynurzyła się kolejna postać. – Zaryzykowałbym stwierdzenie – odezwała się – że zraziłaś do siebie kilkoro naszych młodszych agentów. A to niebezpieczne... ponieważ nie są oni jeszcze tak zdyscyplinowani jak w późniejszych etapach kariery. – Spojrzał na Marka w ten sposób, że Maja domyśliła się, iż dyskutowali na ten konkretny temat nie raz, i to bez skutku. W polu widzenia stanął James Winters, a wokół niego pojawili się agenci Net Force, a nie potworki Roddy'ego. Winters sięgnął do kieszeni i wyjął z niej identyfikator. – Net Force – powiedział.

–Ta odznaka akurat jest prawdziwa. Aresztujemy cię pod zarzutem popełnienia usiłowania zabójstwa, pogwałcenia kilku przepisów dotyczących broni chemicznej i biologicznej oraz podszywania się pod funkcjonariusza Net Force.

Rachel wyskoczyła z labiryntu i zniknęła w ciemności. Agenci ruszyli za nią w pościg. Mark z nimi. Winters wolno ruszył ich śladem, wsłuchując się w spokojne komendy, które wydawali sobie ludzie otaczający podejrzaną przed schwytaniem.

–No dobrze – odezwał się Charlie. – Chodź. Zostało nam jeszcze jedno do zrobienia. – Skinął głową w stronę labiryntu. Zaciekawiona Maja poszła za nim.

–Komputer – powiedział Charlie. – Postaw ścianę.

Pojawiła się natychmiast, świecąc delikatnym błękitem. Odbijała wszystkie zakręty i zaułki labiryntu, którymi szła Rachel. – To substancja chemiczna, którą opracowałem wczoraj – wyjaśnił Charlie. – Przeciwstawia się zewnętrznym powłokom coli, ich „kapsułom”. Zawiera w sobie proteiny, których coli nie tolerują. Istniała pierwotnie w strukturze Roddy'ego, ale Rachel ją zniszczyła. Mniejsza z tym. Idziemy na polowanie.

–Polowanie na co?

–Na coli – powiedział Charlie, zagłębiając się w labiryncie. – Zewnętrzne wirusy nie będą działać bez nich.

Musimy je znaleźć i zlikwidować, i to jak najszybciej – nie możemy ryzykować, żeby się stąd w jakiś sposób wydostały. Chociaż to mało prawdopodobne...

–Pomyślałeś o tym wcześniej?

–To jak symulowanie bez symulacji – powiedział spokojnie Charlie, kiedy pokonywali jeden z zakrętów labiryntu. – Wypróbowujesz zawczasu wszystkie opcje w myślach. Tak robią lekarze. Wyeliminuj to co niemożliwe i lecz to co zostanie.

Skręcili w prawo, w lewo i jeszcze raz w lewo.

–Wiesz, gdzie idziemy? – spytała.

–Nie. Przedtem była tu taka mała zagroda.

–Och, świetnie – wyrwało się Mai, ale zaraz umilkła.

Przytłumiony dźwięk: coś pełzającego po ziemi. Jak gazeta popychana wiatrem po kamiennej posadzce. Sssszszsz, sssszszsz. Sssszsz.

–Słyszałeś? – spytała.

Charlie wsłuchiwał się przez chwilę. – Tak. Tędy.

Poszli za dźwiękiem. Nie zmieniał źródła lub w bardzo niewielkim stopniu, więc mimo iż weszli w kilka ślepych uliczek, wciąż czuli, że się do niego zbliżają. Wreszcie skręcili i... Maja zatrzymała się, z przejęcia nie mogąc wydusić słowa. Na końcu ślepej uliczki, szerokości może trzy metry na trzy, znajdowały się coli. Prześlizgiwały się jedna po drugiej, odpychając się połyskliwymi ogonami. Czasem trafiały na ścianę i odbijając się od niej, zmieniały kierunek, znów się skupiały i próbowały znaleźć inną drogę – w stronę Charliego i Mai. Tym razem zbliżały się bez przeszkód, bo nic nie stało na ich drodze.

–To nie są prawdziwe bakterie – wydukała Maja i zaraz pokręciła głową nad własną głupotą.

–Te? Nie. Są po prostu powiększone tysiącokrotnie, żeby można je było zobaczyć i tyle.

–Według mnie wyglądają cholernie prawdziwie – powiedziała Maja, patrząc jak wściekle uderzają ogonami o ziemię, a każda z nich symbolizuje jeden

całkowicie zarażony organizm.

Prawie spodziewała się, że zaczną warczeć. – Co mamy z nimi zrobić? – spytała. – Bat i marchewka?

–Wygląda na to, że mają już swoje baty – powiedział Charlie. – Myślisz, że marchewka coś tu pomoże?

–Wszystko będzie lepsze, niż stanie tak z pustymi rękami!

Charlie sięgnął gdzieś w bok i podał jej marchewkę.

–Proszę. Trzymaj je w kącie, ale wypuść jedną. Zamierzam załatwić ją nożem.

Maja zadrżała. Marchewka była czymś więcej niż symbolem: na końcu miała struktury, które wyglądały jak enzymy. Wyciągnęła w stronę coli marchewkę niczym miecz.

Jedna z bakterii przeskoczyła obok. – Małe pluskwy – warknął Charlie i nagle w jego ręce pojawił się nóż w kształcie półksiężyca.

–Uroczy – powiedziała Maja, obrzucając przedmiot pobieżnym spojrzeniem.

–To indonezyjski nóż kukri – wyjaśnił Charlie. – Mój tata ma taki. – Nie spuszczał wzroku z coli, która zbliżała się do niego, podskakując na ogonie.

–To tylko połowa problemu – powiedział Charlie. – Małe skubańce są wyjątkowo skoczne.

Wykonał tak szybki ruch, że Maja nie zauważyła nawet, kiedy zaatakował coli, próbującą przemknąć się obok niego. Błysnęło ostrze noża. Na ziemię upadł ogon obcięty tuż przy nasadzie.

Bakteria też, i choć próbowała skakać jak poprzednio, było to niemożliwe, ponieważ ogon uderzał rytmicznie o ziemię kilka metrów dalej.

Coli zasyczała. A za nią pozostałe. Dźwięk był tak ohydny, że włosy stanęły Mai na karku. Wszystkie naraz skoczyły w stronę marchewki, i Maja musiała zagonić je z powrotem na miejsce.

Posłuchały jej, sycząc jak oszalałe.

–Jak one to robią, przecież nie mają płuc!

–To reakcja chemiczna. Słyszysz wiadomość o chemicznym bólu – powiedział Charlie, kopiąc na bok unieszkodliwioną coli. – I z tego, co wiem, one odczuwają nawzajem swój ból, bo wszystkie są niemal tym samym organizmem, klonami.

–Myślałam, że bakterie mają płeć – powiedziała Maja.

–W każdym razie niektóre z nich.

–Nektóre tak – zgodził się Charlie, unosząc znów nóż do góry i wybierając cel. – Nie spodobałoby ci się to, co by z nich wyrosło. Ale ta nie będzie już miała okazji się reprodukować.

Zamachnął się nożem. Rozległ się kolejny syk, jeszcze bardziej rozpaczliwy i pozostałe coli znów próbowały zaatakować Maję.

Jedna przemknęła się obok niej, kiedy Maja usiłowała zapędzić je do kąta marchewką. Zaczerwieniła się ze złości i skoczyła do góry.

–Uważaj na ogon! – krzyknął Charlie, ale niepotrzebnie, bo...

Maja skoczyła obiema nogami na uciekiniera i przygwoździła go do ziemi.

Rozległ się jeszcze głośniejszy syk, ale pozostałe coli nie kwapiły się już do skoku. Maja zeskoczyła z coli – a ta próbowała odzyskać poprzedni kształt, wściekle bijąc ogonem o ziemię.

–Twarde sztuki – powiedział Charlie. – To przez tę wzmocnioną błonkę cytoplazmatyczną. – Pochylił się nad nią z nożem i zamachnął się. Rozprysnęła się cytoplazma.

–A co z ogonem? – spytała Maja, kierując uwagę z powrotem na coli w kącie. – Czy na nim też są jakieś toksyny?

–Nie wiem – powiedział Charlie. – Wolałem jednak, żebyś nie dowiedziała się o tym osobiście.

Ona też nie miała na to ochoty. – No, dalej – powiedziała, czując lekkie mdłości – co nie wymagało wielkiego wysiłku po ostatnich dwunastu godzinach.

– Wykończmy je.

I tak zrobili, likwidując jedną po drugiej. Zajęło dobrą chwilę, zanim Charlie obrzucił wzrokiem ostatnią z odciętym ogonem. – Podprocedura ściany -, powiedział. – Czy zostały jeszcze jakieś?

–Nie. Wszystkie nie żyją.

–Otwórz wewnętrzną ścianę.

Zniknęła. W ich stronę szła grupka agentów Net Force, prowadząc kogoś ze sobą. Mark szedł na czele. – Hej, gdzie się zgubiliście? – spytał.

–Mieliśmy sprawę do załatwienia – powiedział Charlie i beztronskim ruchem rzucił kukri w powietrze. Nóż zniknął. – Mała dezynfekcja.

Podeszli agenci Net Force z Rachel, która miała ręce związane z tyłu, a na twarzy wyraz niepohamowanej wściekłości. Na końcu szedł James Winters.

–Panna „Halloran” zgodziła się opowiedzieć nam wszystko o ludziach, dla których pracuje – oznajmił Winters. – Dzięki temu niedługo dołączą do niej w miejscu sprzyjającym rozmyślaniom. W zamian nasi technicy oczyszczą jej organizm z infekcji. Dokładnie też przyjrzymy się tej strukturze, żeby się przekonać, co jeszcze może zrobić dla ludzkiej rasy. – Kiwnął głową w stronę trójki Zwiadowców. – Dzięki wam.

Rachel rzuciła im mordercze spojrzenie. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – powiedziała. – W bardziej sprzyjających okolicznościach.

Agenci Net Force wyprowadzili ją z VR. Winters spojrzął za nimi i powiedział: – Wy dwoje lepiej wracajcie do szpitala. Charlie, będę chciał się z tobą spotkać w tym tygodniu, żeby o tym porozmawiać. Mark, z tobą też. Potrzebne nam szczegóły twoich zmian wprowadzonych do symulacji. A to dla ciebie, Maju.

Rzucił jej ikonę. Złapała ją, zdziwiona.

–Prezent od przyjaciela. Kiedy wrócisz do domu, włącz go w swoim VR. – Winters obrzucił konstrukcję długim spojrzeniem. – Dobra robota – powiedział i odwrócił się.

Trójka Zwiadowców popatrzyła po sobie i poszła w jego ślady.

Minął dzień lub dwa, zanim Maja mogła przekonać się, co zawiera ikona. Lekarze w szpitalu nie chcieli jej wypuścić za szybko, biorąc pod uwagę charakter jej choroby, ale w końcu wszyscy zgodzili się, że nie ma powodu, żeby ją dalej hospitalizować.

Tata zabrał ją do domu i miała ochotę zadać mu pewne pytanie po drodze... ale zmieniła zdanie.

Kiedy przyjechała do domu, w kuchni panowała błogostawiona cisza, ponieważ Pączek, jej brat i matka pojechali na zakupy. Maja usiadła przy kuchennym stole w implantowym krześle i włączyła swoje VR, pół na pół z kuchnią.

Ikona leżała na stole, obok chlebaka i innych przedmiotów.

–Aktywacja – poleciała komputerowi, czując się nagle tak zmęczona, że aż nieciekawa co zawiera.

Przerwa.

Ciemność.

...Nad pasem startowym bazy Muroc. Niebo w kolorze indygo, usiane gwiazdami. Szron na liściach przy hangarze. Gdzieś daleko przedrzeźniacz wyśpiewywał jak szalony swoje melodie. Maja wstała wolno z krzesła, patrząc w dal na ciemny, długi kształt, podczas gdy przedrzeźniacz zaczął mało przekonująco udawać dźwięk startującego silnika...

Maja wzięła głęboki oddech zimnego powietrza. – Opisz plik – poleciała. – Czy ma jakąś wiadomość?

–Program symulacji, napisany przy pomocy DelEx, wersja 4.0. – poinformował ją komputer. – Nazwa pliku MADDY2.DLXAT. Dołączona wiadomość tekstowa.

Oryginalny plik. Mój oryginalny plik. Nietknięty!

–Pokaż wiadomość – powiedziała.

Na tle nocnego nieba pojawiły się wielkie płonące litery, oświetlając srebrzystą sylwetkę Valkyrie.

ZAWSZE RÓB KOPIE REZERWOWE, przeczytała, a gdzieś od strony przedrzeźniacza dobiegła imitacja śmiechu Roddy'ego.

Maja wahała się przez dłuższą chwilę... i też się roześmiała, po czym półgłosem powiedziała to, co on by na pewno powiedział:

–Mam cię.

KONIEC

*Tactical Air Navigation – system nawigacji lotniczej bliskiego zasięgu [przyp. red.]

* V1 – prędkość, przy której pilot może jeszcze zatrzymać startujący samolot, V2 – prędkość pozwalająca na oderwanie się samolotu od pasa [przyp. red.]

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/